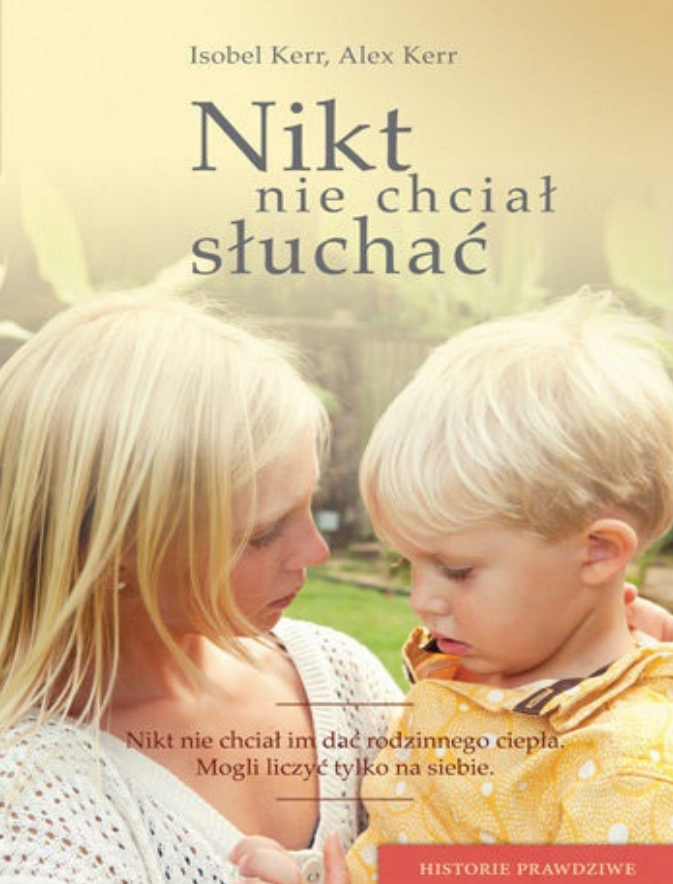


Isobel Kerr, Alex Kerr

Nikt nie chciał słuchać

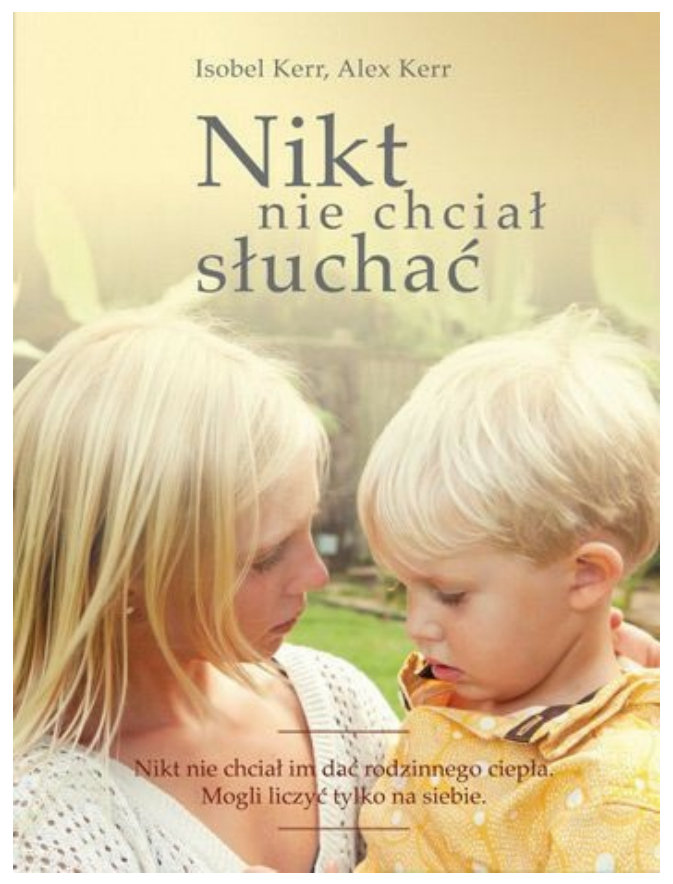
A close-up photograph of a woman with long, straight blonde hair and a young child with short blonde hair. They are both looking down and to the right, appearing to be in a conversation or looking at something together. The woman is wearing a white, patterned cardigan. The child is wearing a yellow garment with white polka dots. The background is a soft-focus outdoor setting with green foliage.

Nikt nie chciał im dać rodzinnego ciepła.
Mogli liczyć tylko na siebie.

HISTORIE PRAWDZIWE

Isobel Kerr, Alex Kerr

Nikt nie chciał słuchać



Nikt nie chciał im dać rodzinnego ciepła.
Mogli liczyć tylko na siebie.



KERR ISOBEL, KERR ALEX

NIKT NIE CHCIAŁ SŁUCHAĆ

Nikt nie chciał im dać rodzinnego ciepła. Mogli liczyć tylko na siebie...

Isobel i Alex dorastali w strachu przed okrutnym ojcem.

Jednak prawdziwy łoszmar zaczął się dla nich dopiero gdy on w przypiływie szału zamordował ich matkę. Odtąd będą się tulać po kolejnych domach opieki i rodzinach zastępczych.

Czy będą skazani na dorastanie wśród ludzi o zimnych sercach? Czy znajdzie się ktoś, kto zechce ich wysłuchać?

Nikt nie chciał słuchać to przejmująca opowieść o sile łączącego rodzeństwo uczucia i o tym, że nawet w najtrudniejszych warunkach warto walczyć o szczęśliwe zakończenie.

ROZDZIAŁ 1

ALEX

Zazwyczaj moja siostra Isobel wracała ze szkoły przede mną, ale tamtego popołudnia nie mogła znaleźć w szatni swojego stroju gimnastycznego, razem z przyjaciółką została więc w szkole chwilę dłużej, by go odszukać. Ja wyszedłem z lekcji nieco wcześniej niż zwykle i, jak zawsze, poszedłem prosto do domu. Gdyby Isobel wyszła o swej zwykłej porze i wróciła przede mną, weszłaby do domu, zanim policja zdążyłaby przyjechać i ją zatrzymać. A wtedy wszystko by zobaczyła. Może nawet i ją by zaatakował.

Wszystko wydarzyło się 11 stycznia 2002 roku. Było trochę po piętnastej trzydzieści, lada moment miał zapaść zmierzch. Przeszedłem na drugą stronę głównej, ruchliwej ulicy, która biegnie między domem a szkołą. Miałem trzynaście lat, a Isobel piętnaście. Już od dawna sami chodziliśmy do szkoły i sami z niej wracaliśmy. W mojej drodze powrotnej nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, nic, co by mnie ostrzegło przed czyhającym niebezpieczeństwem czy przed horrorem, jaki właśnie rozegrał się za zamkniętymi drzwiami mojego domu. Myślałem o zwykłych codziennych sprawach, o zadaniu domowym, które miałem odrobić po zajęciach pozalekcyjnych zaplanowanych na ten dzień, zastanawiałem się też, co będzie na obiad.

Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłem, gdy wszedłem na naszą cichą uliczkę, był czerwony vauxhall nova mamy, zaparkowany przed domem. Mama była nauczycielką w szkole i zwykle wracała do domu kilka godzin później niż dzisiaj.

Kiedy tego ranka wyjeżdżała do pracy, nie wspominała, że wróci wcześniej, więc fakt ten mnie zdziwił.

Przeszedłem przez nasz ogródek znajdujący się przed domem i zbliżyłem się do domu na odległość kilku metrów, po czym machinalnie, tak jak robiłem to zawsze, wy dobyłem klucz do frontowych drzwi, żeby wejść do środka. Kiedy chwyciłem klucz, by włożyć go do zamka, jakiś ruch na ulicy za moimi plecami, sprawił, że się odwróciłem. Zobaczyłem wóz policyjny, którego jaskrawe oznakowanie wyróżniały go spośród wszystkich innych samochodów stojących na jezdni.

Na moment zastygłem w bezruchu, przypatrując się, jak z auta wysiada młody policjant w mundurze i w kamizelce kuloodpornej, z wyglądu nieco przypominający jednego z tych członków brygady antyterrorystycznej, których widuje się w serialach telewizyjnych. Jego ruchy nie zdradzały wielkiego pośpiechu, więc obróciłem się z powrotem do drzwi i włożyłem

klucz do zamka. Policjant zawołał za mną, sprawiając, że podskoczyłem.

- Nie, nie, chłopcze! - krzyknął. - Zatrzymaj się! Nie wchodź do środka. Zaczekaj minutę tam, gdzie jesteś.

Podszedł do mnie i skinął głową w kierunku muru, który oddzielał nasz ogród od ogrodu sąsiada. W

tonie jego głosu, kiedy wydawał mi te polecenia, nie było nic szczególnie dramatycznego, sprawiał wrażenie, że to dla niego sprawa rutyny, choć wydawało mi się dziwne, że nie pozwolił mi wejść do mojego domu. Isobel i mnie zawsze uczono szacunku do reprezentantów władzy, więc zrobiłem, co mi kazał, o nic nie pytając i zostawiając klucz w zamku. Nie wiedziałem, co się dzieje, i nie byłem pewien, o co pytać. Zawsze w nowych sytuacjach, kiedy traciłem pewność siebie, siedziałem cicho i czekałem, co się wydarzy, zamiast zadawać mnóstwo pytań i żądać, by ktoś powiedział mi, o co chodzi, jak przy puszczałnie postąpiłaby na moim miejscu Isobel.

Pod moim ciekawskim spojrzeniem policjant zapanował

nad mimiką, a następnie grzecznie zadzwonił do drzwi, jakby po prostu składał wizytę. Zastanawiałem się, czy mama i tata znowu się kłócili i czy któryś z sąsiadów zadzwonił ze skargą w sprawie hałasu albo w obawie o to, czy mamie nic nie grozi.

Zdecydowałem, że jeśli to ojciec otworzy drzwi, nie będę się wtrącał, niech policjant sam załatwi sprawę.

Tata często groził, że się powiesi albo że podpali dom, kiedy wszyscy będziemy w środku. Może to zabrzmiało melodramatycznie, ale uważałem, że jeśli o niego chodzi, wszystko jest możliwe. Może tym razem rzeczywiście spełnił którąś groźbę i mama musiała zadzwonić na policję.

Isobel i ja tak bardzo baliśmy się groźby podpalenia, że zanim zśliśmy do łóżek wieczorem, staraliśmy się odnaleźć wszystkie zapalniczki w domu i schować je. Było to naprawdę bezcelowe, bo nie mieliśmy pojęcia, co tata trzyma w swoim pokoju. Nigdy nie zostaliśmy wpuszczeni do jego pokoju na piętrze, w którym spędzał większość dni i nocy, i nie mieliśmy nawet pojęcia, jak ten pokój wygląda.

Kilka sekund po tym jak policjant zadzwonił, drzwi domu otworzyły się i stanął w nich ojciec. Otworzył drzwi szeroko, pozwalając, by policjant zajrzał w głąb domu, od korytarza, przez kuchnię, aż na tyły. Ja stałem z boku, więc nie mogłem niczego zobaczyć. Tata, ujrawszy w progu policjanta, zupełnie nie sprawiał wrażenia zdziwionego. Wyglądało to raczej tak, jakby go oczekiwał. Ojciec to rosły mężczyzna, sprawiający groźne wrażenie, z nieodmiennie złowróżbnym wyrazem twarzy. Cokolwiek policjant dojrzał z progu, wystarczyło, by zaszokowany, cofnął się o krok i gwałtownie sięgnął po mikrofalówkę, przykładając ją sobie do ust.

- Blue murder - powiedział do tego, kto słuchał po drugiej stronie.

Przez chwilę byłem zdziwiony tym wyrażeniem.

„Screamingblue murder”, o ile się orientowałem, oznacza po prostu krzyk na całe gardło, ale być może to był kod, jakiego używa policja, oznaczający coś innego - a może się przesłyszałem? Policjant z pewnością wyglądał teraz na wstrząśniętego. To jego poruszenie bardziej niż cokolwiek innego nasunęło mi myśl, że w domu ktoś stracił życie. Czuję, jak ścisła mnie w gardle, nadal jednak siedziałem, gdzie mi kazał, nie powiedziawszy ani słowa. Po prostu obserwowałem i

czekałem, starając się zrozumieć, co się dzieje i co powinienem teraz zrobić. Zwykle reagowałem w ten sposób na większość rzeczy. Policjant sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o moim istnieniu, a w każdym razie nie patrzył w moim kierunku. Odstaąpił od drzwi i pospiesznie wrócił na ulicę.

Przez kilka minut nic się nie wydarzyło i nagle w złowrogą ciszę popołudnia wdarł się pisk opon i hamulców -

nadjechał kolejny wóz brygady antyterrorystycznej i wyskoczyło z niego czterech następnych policjantów.

Słyszałem, że za nim nadjeżdżają kolejne samochody, a potem zobaczyłem, jak zatrzymują się gdzie popadnie, wypełniając całą ulicę. Teraz czuło się gorączkową atmosferę; wszyscy wokół mnie biegali, podczas gdy ja siedziałem na murku i czekałem, aż ktoś powie mi, co powinienem zrobić. Przez cały czas zastanawiałem się, gdzie jest mama, a jednocześnie nie chciałem myśleć o nasuwającej się odpowiedzi. Proszę, tylko nie to.

Tata nadal stał w progu, jakby cały czas spodziewał się policji, i nie protestował, gdy jeden z policjantów przeczytał

mu jego prawa. „Ma pan prawo nic nie mówić. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu w sądzie”. Tata dał się przeszkukać, podniósł ręce do góry, pozwalając poklepać się po dżinsach i podkoszulce. Wyjęli nóż z kieszeni jego spodni, unosząc go ostrożnie, jakby to było coś drogiego.

- Mogę coś powiedzieć do syna? - Zapytał tata policjantów, pierwszy raz zerknąwszy w moją stronę.

- Trzeba było wcześniej o tym myśleć - odrzekł starszy policjant, a ja odczułem ulgę.

Na tym etapie nie wyobrażałem sobie, bym mógł słuchać czegokolwiek, co miał mi do powiedzenia. W rzeczywistości, nigdy nie chciałem niczego od niego usłyszeć. Dobrze było poczuć, że ma się zapewnioną ochronę policjantów, ale nie mogłem zrozumieć, dlaczego teraz tak się wokół nas roili, a wcześniej nie zrobili nic, żeby nam pomóc - w żadnej z sytuacji kiedy Isobel dzwoniła do nich, gdy tata zachowywał się agresywnie.

Patrzyłem z murku, jak wyprowadzają go z domu. Kilku policjantów stworzyło wokół mnie coś w rodzaju kręgu i miałem wrażenie, że myślą, iż mogłoby mi chcieć pójść z nim.

Nie musieli się o to obawiać. Nigdzie się nie wybierałem, a już na pewno nie z ojcem. Zaprowadzili go do tego drugiego z kolei samochodu policyjnego i pochylili jego głowę tak, żeby mógł usiąść na tylnym siedzeniu. Patrzyłem, jak jego lśniąca łysa głowa znika we wnętrzu samochodu. Tymczasem nadjechało siedem następnych wozów policyjnych, pięć aut nieoznakowanych, dwie karetki pogotowia i ambulans. Ciężko było sobie wyobrazić, skąd

wszystkie się wzięły, tak szybko przyjeżdżając. Czy tylko czekały, aż znajdzie się coś do roboty? Cała ulica była zapchana samochodami.

Żaden z policjantów nic do mnie nie powiedział, wszyscy byli prawdopodobnie zbyt zajęci swoimi obowiązkami.

Czekałem na Isobel, która musiała wiedzieć, co powinniśmy zrobić. Isobel porozmawia z nimi i dowie się, co się dzieje, pomyślałem. Zawsze mogłem na niej polegać.

Gdzież ona, u licha, się podziewała? Kilka minut później z ulgą zauważyłem na zakręcie jej znajomą postać.

ROZDZIAŁ 2

ISOBEL

Największą zagadkę stanowi dla mnie to, dlaczego mama i tata w ogóle zaczęli być ze sobą, ponieważ ani Alex, ani ja nigdy nie widzieliśmy najmniejszych śladów więzi, uczucia ani wzajemnego przyciągania między nimi. Nawet kiedy pary są wycieńczone ciągnącymi się przez lata kłopotami finansowymi, problemami z pracą czy z rodziną, i tak zazwyczaj można dostrzec między nimi jakieś resztki miłości, która niegdyś musiała istnieć. Ale nie w przypadku mamy i taty. Można było zauważyć, że mama chce zadowolić ojca, ale tylko dlatego że bała się tego, co mógłby zrobić, gdyby zachowywała się inaczej, i ponieważ nade wszystko pragnęła spokojnego życia. On z kolei nawet na sekundę nie potrafił

ukryć swojej nienawiści do niej i czerpał ogromną przyjemność z maksymalnego utrudniania jej życia.

Jeśli w przeszłości łączył ich romans czy jakaś historia miłosna, żadne z nich nigdy o tym nie wspomniał ani przy mnie, ani przy Aleksie, a nie ma nikogo, kogo moglibyśmy o to zapytać, ponieważ nie ma żadnych członków rodziny, którzy znaliby rodziców za młodu. Nasza rodzina nigdy nie była mocna w rozmowach o emocjach ani we wnikanii w stany duszy. Wszyscy po prostu byliśmy zajęci sprawami życia codziennego, odpychaliśmy od siebie nieprzyjemne myśli w nadziei, że nie powrócą, jeśli będziemy wystarczająco długo je ignorować.

Jedynym źródłem informacji o naszej przeszłości jest Jillian, dobra przyjaciółka mamy w szkole, w której mama pracowała dwadzieścia trzy lata, i jedna z bardzo nielicznych osób, którym mama powierzała tego rodzaju sekrety. Mama nie wierzyła w sens wtajemniczenia kogokolwiek w swoje życie prywatne - robiła to tylko wtedy, gdy musiała. Tłamsiła wszystko w sobie, prawdopodobnie sama chciała o tym wszystkim zapomnieć. Kilkoro spośród jej kolegów nauczycieli, którzy znali ją od dwudziestu lat lub dłużej, nie wiedziało nawet, że jest mężatką, choć wiedzieli wszystko o Aleksie, o mnie i o naszych osiągnięciach. Nie była skłonna rozmawiać o swoim małżeństwie, poza tym nie ulega wątpliwości, że nie mogłaby powiedzieć niczego miłego na temat taty. Wiem, że nie chciałaby, by ktokolwiek dowiedział

się, że jej życie osobiste jest strasznym koszmarem.

O ile mogliśmy się zorientować, mama i tata kompletnie do siebie nie pasowali, a tata był zupełnie nieprzystosowany do życia rodzinnego w jakiegokolwiek formie. Taki mężczyzna jak on zapewne nigdy nie powinien był się żenić, a z pewnością nigdy nie powinien był mieć dzieci.

Oczywiście nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, kiedy byliśmy mali - myśleliśmy, że wielu ojców zachowuje się tak jak on. Ojcowie naszych przyjaciół przez większą część dnia byli w pracy, więc nie mieliśmy z nimi bliższego kontaktu -

nasze życie towarzyskie w znacznej mierze kręciło się wokół

dzieci i ich matek, więc samo to, że nasz tata prawie cały dzień siedzi zamknięty w pokoju, nie wydawało się niczym dziwnym. Tak po prostu było w naszym domu.

Wiemy, że kiedy mama i tata się poznali, jej rodzice nie byli zadowoleni z tego związku. Może po części to właśnie podobało się mamie - to był jej jedyny akt buntu przeciwko dziadkowi, który był dla niej wielkim autorytetem. Pochodziła z niezwykle zdyscyplinowanej rodziny i mogło być tak, że chciała udowodnić dziadkowi, który pracował w żandarmerii wojskowej, że potrafi podejmować samodzielne decyzje i że nie będzie mu przez całe życie podporządkowana. Jeśli tak się rzeczy miały, była to bardzo zła decyzja, której mama musiała gorzko żałować. Ale kiedy raz się do czegoś zobowiązała, nie było mowy o wycofaniu się. Zgodziła się wyjść za tatę i być z nim „na dobre i na złe”, i nawet przez sekundę nie zboczyła ze ścieżki, którą sobie wyznaczyła, choć zawsze wychodziło jej to

„na złe”, a nigdy „na dobre”. Może po prostu chciała mieć dzieci, a tata był pierwszym mężczyzną, który się jej oświadczył. Nigdy się tego nie dowiem.

Babcia i dziadek mieszkali w domku parterowym w Torquay. Odwiedzaliśmy ich wraz z mamą podczas każdych ferii i każdych wakacji, ale ojciec nigdy tam z nami nie jeździł. Dziadkowie nie chcieli mieć z nim nic wspólnego i, jak się domyślam, on z nimi również. Już od samego początku musiało w nim być coś, co przesądzało o tym, że nie mógł być dobrym mężem dla mamy czy jakiegokolwiek innej kobiety. Ani dziadek, ani babcia nie mówili nic na jego temat w naszej obecności, nie pamiętam nawet, by ktoś wspomniał o nim przy nich choćby słowem. Dla nich zdawał się nigdy nie istnieć.

Nawet gdy dziadek już odszedł z wojska na emeryturę, pozostał niebywale surowy i ponury - nieustannie wydawał

rozkazy warkliwym tonem i doszukiwał się uchybień we wszystkim, co robiliśmy. Zachowywał się tak jakby robił nam musztrę na placu apelowym. Kiedy do niego jeździliśmy, był

już starym człowiekiem, przez większość czasu przesiadywał

w fotelu, pałac fajkę i spozierając na nas wilkiem, ilekroć wydaliśmy choćby najmniejszy dźwięk. Łatwo było sobie wyobrazić, jak surowy musiał być wobec mamy, kiedy była młoda. Nigdy nie pozwalano nam się bawić, gdy był w pobliżu.

Musieliśmy wtedy siedzieć na miejscu i być cicho. Mogliśmy się bawić jedynie wtedy, gdy wyszliśmy gdzieś z mamą i babcią albo gdy dołączaliśmy do innych dzieci z okolicy, z którymi się zaprzyjaźniliśmy w ciągu wielu lat naszych przyjazdów do Torquay. Alex i ja zawsze dosyć łatwo nawiązywaliśmy przyjaźnie w nowych miejscach i nigdy nie byliśmy nieśmiali.

Dziadek zdawał się nie interesować żadnym z nas i nie ulega wątpliwości, że Alex i ja nie lubiliśmy go. Może był

rozczarowany tym, jak potoczyło się życie mamy, jednak nie podjął żadnych starań, by jakoś jej pomóc, poza tym że pozwalał, byśmy przyjeżdżali do niego na wakacje. Jeśli był

tak poirytowany naszym wtargnięciem w jego spokój i ciszę, jak nam się wydawało, zapewne powinniśmy być mu wdzięczni za to, że decydował się na takie poświęcenie.

Babcia była macochą mamy. Jej prawdziwa matka zmarła bardzo młodo, kiedy mama była jeszcze nastolatką, ale dla mnie i dla Aleksa żona dziadka była prawdziwą babcią - jedyną babcią, jaką kiedykolwiek znaleźliśmy. Nikt też nie powiedział

nam, że nasza prawdziwa babcia umarła - dowiedzieliśmy się o tym, gdy byliśmy znacznie starsi. To była kolejna z tych rzeczy, o których się nie mówiło. W naszej rodzinie było mnóstwo tego rodzaju sekretów, rzeczy, o których się nigdy nie wspominało, ponieważ uważano je za zbyt osobiste, a może zbyt bolesne. Alex i ja instynktownie wyczuwaliśmy, że nie powinniśmy zadawać pytań, wiedzieliśmy, że mama nie lubi rozmawiać o takich sprawach. Zresztą w gruncie rzeczy nie miało to dla nas znaczenia, dopóki mama była w pobliżu.

Dzieci troszczą się tylko o swój mały świat, a ponieważ ona dbała o wszystko w naszym życiu, nigdy nie mieliśmy powodów, by pogrążyć się w mroku historii naszej rodziny.

Kiedy byliśmy na tyle dorośli, by chcieć więcej rozumieć na temat przeszłości, było na to za późno, ponieważ mama, babcia i dziadek już nie żyli. Póki byliśmy mali, nie musieli-

śmy pytać, dlaczego cokolwiek jest właśnie takie, a nie inne, ponieważ mama zajmowała się wszystkim. Wiedzieliśmy, że jesteśmy dla niej najważniejsi, więc nie było potrzeby nadmiernych rozrzasań, wnikiwania w sprawy rodzinne, które ona najwyraźniej wolała pominąć. Mieliśmy wystarczająco dużo rzeczy, które nas zaprzątały i które stymulowały nasze umysły. Zazwyczaj dzieci chętnie biorą życie takim, jakie ono się wydaje, jeśli tylko czują się bezpieczne i kochane i wiedzą, na czym stoją. Z mamą zawsze doskonale wiedzieliśmy, na czym стоимy.

Kiedy dziadek umarł, ja miałam około dziesięciu lat, Alex

- około siedmiu. Babcia przeprowadziła się do King's Lynn i niedługo później umarła. Mimo trudnych relacji, jakie łączyły ją z ojcem, musiał to być cios dla mamy, ponieważ wycieczki do Torquay stanowiły ucieczkę dla niej i dla nas, pozwalając nam zapomnieć o tacie i wszystkich domowych problemach.

Choć dziadek był człowiekiem pozbawionym radości, i tak okazywał mamie dużo więcej uczucia niż tata, a babcia była zawsze przeurocza i bardzo przyjacielska. Pomijając wszystko inne, dziadkowie zapewniali nam możliwość wakacyjnego relaksu, a mamy nie było stać na to, by regularnie nas dokądś zabierać -odkąd nie mieliśmy już więcej darmowych wakacji.

Sądzę, że rodzina, z której pochodził ojciec, musiała być zupełnie inna od rodziny mamy, choć nigdy nie poznaliśmy nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o nim albo o jego dzieciństwie. Można

było odnieść wrażenie, że pojawił się w naszym domu jako całkowicie uformowany człowiek -

samotnik w średnim wieku bez historii, bez jakiegokolwiek przeszłości, o której by kiedykolwiek wspomniano. Mama nigdy o nim nie mówiła, a my oczywiście nie śmielibyśmy otwarcie zapytać go o cokolwiek. Zналиśmy tylko kilka podstawowych faktów, a więcej poznaliśmy w czasie jego procesu, jednak żaden z nich w żaden sposób nie wyjaśniał, jak ojciec stał się człowiekiem, którego znaleźmy.

Pochodził z północnego wschodu, zdaje się, że z Newcastle, a urodził się w 1948 roku. Powiedziano nam, że jego rodzina składała się z dwanaściorga osób, ale nigdy nie poznaliśmy jego rodziców ani żadnych braci i sióstr, więc nie wiemy, czy to prawda. Nawet gdy jeden z jego braci przyjechał

do pracy do Redditch, miasta na południe od Birmingham, w którym wtedy mieszkaliśmy, nie mieliśmy okazji go poznać.

Nie wiem, czy on i tata spotkali się wtedy, ale tak czy owak tata by nam go nie przedstawił. Lubiał rozdzielać poszczególne sfery swojego życia i trzymać je w tajemnicy, jakby to dawało mu iluzję, że ma nad nimi kontrolę. Nienawidził mamy i mnie z powodów, których nigdy w pełni nie zrozumiałam, zatem dłaczego miałby chcieć przedstawiać nas swojemu bratu?

Najprawdopodobniej nienawidził również swojego brata, choć nie pamiętam, by kiedykolwiek wspomniał o nim choćby słowem. Nienawidził chyba wszystkich z wyjątkiem Aleksa.

Czasem mama uchylała rąbka tajemnicy jego przeszłości, ale byliśmy zbyt młodzi, by wypytywać o więcej. Wiem, że tata już wtedy, gdy poznał mamę, miał kłopoty z prawem, choć nie jestem pewna, z jakiego powodu. Sądzę, że uciekł z domu i jakiś czas spędził w poprawczaku za kradzież. Zawsze utrzymywał, że ten okres był najlepszy w jego życiu, co najmniej jakby wspominał

radosne lata szkolne. Wierzę, że to prawda, ponieważ nigdy nie lubił brać za nic odpowiedzialności, podejmować jakichkolwiek decyzji ani troszczyć się o swoje potrzeby.

Zamknięcie w instytucji, która o wszystkim decyduje za niego, w pełni by mu odpowiadało. Nigdy nie radził sobie z pieniędzmi, płaceniem rachunków ani z żadnym ze zwykłych codziennych obowiązków, które narzuca człowiekowi życie.

Choć więc nie poznaliśmy żadnych szczegółów wykroczenia, z powodu którego zamknięto go w podobnym miejscu, mieliśmy wrażenie, że tata od początku był trochę narwańcem. To z pewnością nie mogło się podobać zdyscyplinowanemu i władczemu wojskowemu, jakim był dziadek

Na procesie tata powiedział kilka słów o tym, jak trudne było jego dzieciństwo, utrzymując, że to z tego powodu jest właśnie tym, kim jest, ale zdaje się, że sędzia nie wziął tego pod uwagę. Nic,

co przydarzyło się ojcu jako dziecku w latach pięćdziesiątych, nie mogło usprawiedliwić tego, co zrobił

tamtego popołudnia w styczniu 2002 roku.

Podejrzewam, że jeszcze jako dziewczyna mama była zawsze bystra i pracowita. Wydaje mi się, że starała się przede wszystkim spełnić oczekiwania dziadka, który wymagał od niej, by dobrze się uczyła. Poszła na studia trochę później niż pozostali, kiedy miała już dwadzieścia kilka lat. Nigdy nie powiedziała nam, co robiła przez te lata przerwy od nauki, ale kiedy już postawiła sobie za cel skończyć studia i zostać nauczycielką, nic nie mogło jej powstrzymać ani opóźnić realizacji tego planu.

Wyjechała na studia z domu rodzinnego w Manchester do Londynu i to właśnie w tym okresie poznała tatę, który mniej więcej wtedy przyjechał do Londynu z Newcastle, żeby pracować jako serwisant komputerów. Może znaleźli wspólny język, ponieważ oboje uciekli od rodzin i mieszkali samotnie w wielkim, obcym mieście. Może dlatego że mama była trochę starsza od pozostałych studentów na roku, nie miała zbyt wielu przyjaciół, a jest niemal pewne, że tata już wtedy był

samotnikiem. Niezależnie od tego, z jakich powodów tak się stało, wprowadzili się oboje do Finsbury Park, w północnym Londynie, i rozpoczęli swój skazany na porażkę związek.

Kiedy mama obroniła dyplom, zaczęła pracę w Wolverhampton, a w 1979 roku rodzice wzięli ślub. Kupili dom w Redditch, miasteczko oddalonym o około godzinę jazdy od Wolverhampton. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrali Redditch i dlaczego nie zamieszkali bliżej szkoły, w której pracowała mama, lecz kiedy urodziłam się w 1986 roku, nadal tam mieszkali. Nigdy o to nie pytałam, ponieważ tak po prostu rzeczy się miały. Całe życie nasza codzienność wyglądała tak samo - ja i Alex chodziliśmy do szkoły, mama dojeżdżała do Wolverhampton, a tata siedział w domu zamknięty w pokoju na piętrze. Godzina drogi do pracy oznaczała, że mama musiała wstawać bardzo wcześnie rano, żeby tam dotrzeć, zanim zaczną się lekcje, zawsze jednak wracała do domu na tyle wcześnie, żeby móc zabrać mnie i Aleksa na nasze popołudniowe zajęcia pozalekcyjne, zawsze też była z nami w czasie wakacji. Tak więc poza tym, że nie było jej rankiem, gdy wybieraliśmy się do szkoły, była przy nas zawsze, ilekroć czegoś potrzebowaliśmy. Nie mieliśmy powodu, by pragnąć zmiany tego stanu rzeczy. Małe dzieci chętnie akceptują zastaną sytuację, jeśli tylko czują, że ktoś się o nie troszczy i że są kochane. Niezależnie od tego, jak zła była relacja między rodzicami, nie mieliśmy powodów, by czuć się niepewnie.

Droga, jaką mama musiała pokonać na początku i pod koniec każdego dnia pracy, musiała być dla niej strasznie męcząca, choć nigdy się nie skarżyła. Kiedy byliśmy mali, rzadko na cokolwiek się uskarżała, nigdy nie rozmawiała o niczym, co wiązałoby się z emocjami lub uczuciami i po prostu radziła sobie ze sprawami dnia codziennego najlepiej, jak umiała. Dopiero gdy staliśmy się nastolatkami, ujawniło się całe napięcie, jakie w niej narastało, a jej wyczerpanie coraz częściej zaczęło sprawiać, że traciła cierpliwość. Gdybyśmy tylko w owym okresie wiedzieli, jakiej podlegała presji, moglibyśmy bardziej się o nią zatroszczyć, jednak ona nigdy nie mówiła

nam o niczym i po prostu szła naprzód, zaciskając zęby.

Z pewnością czerpała satysfakcję z pracy - może dzięki świadomości, że jest naprawdę dobra i że cieszy się po-ważaniem wśród wszystkich swoich kolegów. W gruncie rzeczy nigdy się nie zastanawialiśmy, jaką mama jest nauczycielką, ale pamiętam, że sprawiała wrażenie, jakby wiedziała wszystko o swoich uczniach - o ich ambicjach, planach i o postępach w realizacji swoich zamierzeń. Zdawało się, że się nimi naprawdę interesuje i że dobro uczniów leży jej na sercu tak samo jak nasze dobro.

Kilka razy byliśmy w jej szkole przy okazji jakichś uroczystości, na przykład egzaminu z gry na fortepianie, w którym musieliśmy wziąć udział, i zawsze odnosiłam wrażenie, że panuje tam ciężka atmosfera. Pamiętam, że raz siedziałam na korytarzu pod klasą, w której mama prowadziła lekcje, i słyszałam ożywienie uczniów. Nigdy byśmy się nie odważyli tak bardzo hałasować w szkole, do której chodziliśmy. Raz czy dwa mama wspomniała, że choć byłoby jej łatwiej dojeżdżać do pracy, nie chciałaby mieszkać w Wolverhampton, ponieważ cały czas wpadałaby w miasto na swoich uczniów, a oni zapewne wykrzykiwaliby za nią rozmaite wyzwiska. Zdaje się, że tego rodzaju zachowania zdarzają się w większości szkół, ale Alex i ja nigdy nie zetknęliśmy się z czymś takim w naszym mieście, gdyż zawsze staraliśmy się być najlepsi we wszystkich przedmiotach, a wtedy dzieci mają większą motywację do nauki i w rezultacie są grzeczniejsze.

Kiedy zaczęłam zdawać sobie sprawę, na czym polega praca mamy, ona była już wtedy kierowniczką sekcji nauk ścisłych, a jej przyjaciółką Jillian była jej osobistą asystentką w laboratorium. Mama niewiele mówiła o tym, co się dzieje u niej w szkole, pamiętam jednak, że skóra na jej dłoniach była poplamiona i z biegiem czasu zgrubiła od ciągłej styczności z różnymi chemikaliami. W końcu zrobiła się tak gruba, że mama była w stanie wkładać do piekarnika i wyjmować z niego blachę do pieczenia i naczynie żaroodporne, nie czując gorąca. Nigdy nie zaprzętała sobie głowy wyglądem, była zawsze zbyt zajęta tym, co akurat miała do zrobienia - czy było to odwiezienie

nas dokądś, zakupy czy poprawianie zadań domowych

-żeby w ogóle o tym myśleć. Nosila krótkie, łatwe do czesania włosy, a do pracy wkładała schludne, praktyczne spódnice i bluzki oraz buty na niskim obcasie. Nie pamiętam, by choć raz włożyła coś specjalnego z okazji jakiegoś wieczornego wyjścia, nie była tymem strojnisi.

Mama pracowała już z Jillian i innymi swymi kolegami, kiedy ja i Alex urodziliśmy się, więc przez całe nasze życie opowiadała im o nas. Ludzie ci wiedzieli o nas wszystko, choć my o nich nie wiedzieliśmy nic. Gabinet mamy wypełniały nasze zdjęcia i nigdy nie mieliśmy cienia wątpliwości, jak bardzo nas kocha i jak dumna jest z naszych osiągnięć. Jednak dziwne to było uczucie: wiedzieć, że opowiada o nas ludziom, których nigdy nie widzieliśmy na oczy.

Nikomu nie mówiła zbyt wiele o tacie, ponieważ żaden z jej znajomych najwyraźniej nic o nim nie wiedział. Jillian powiedziała nam później, że któregoś dnia, gdy mama zaczęła pracować w szkole, jeszcze przed moim przyjściem na świat, mama zaprosiła kilkoro spośród swoich

najbliższych znajomych z pracy na kolację do naszego domu, ale tata najwyraźniej nie był tym zachwycony.

- Kiedy wszyscy już się tam zjawiliśmy - powiedziała mi -

wszedł do pokoju zupełnie nago. Twoja biedna matka nie wiedziała, co powiedzieć. Wyglądało na to, że wasz ojciec robi wszystko, co w jego mocy, żeby nas wystraszyć i żebyśmy czuli się niezręcznie - tak aby twojej mamie nigdy już nie przyszło do głowy zaprosić nas czy kogokolwiek innego.

Zdaje się, że tata próbował zademonstrować, że jego dom to jego prywatne królestwo i że nie może ścierpieć konieczności dzielenia go z mamą, już nie wspominając o obcych ludziach. Najprawdopodobniej czuł się zagrożony na samą myśl o grupie nauczycieli rozmawiających o ich wspólnych zainteresowaniach, czuł też, że celowo zostaje w jakimś sensie wykluczony. Chciał mieć mamę tylko dla siebie.

Wystarczyło mu, że wychodzi i zarabia pieniądze, żeby go utrzymać, nie chciał jednak, by jej życie zawodowe wkraczało na jego terytorium. Do mamy ta wiadomość musiała dotrzeć bardzo szybko, ponieważ po tym incydencie przestała zapraszać kogokolwiek do domu, choć żadna z owych osób zapewne nie miała ochoty na ponowną wizytę, raz doświadczywszy całej dziwaczności przebywania z ojcem w zamkniętej przestrzeni. My byliśmy przyzwyczajeni do jego wybryków, takich jak otwieranie drzwi i okien w środku zimy, groźby, że się powiesi, chodzenie po domu nago albo pisanie do mamy obraźliwych wiadomości i zawieszanie ich na białej tablicy w kuchni. Jednak innych ludzi w podobnych sytuacjach ogarniało zakłopotanie.

Niektóre kobiety na owym wczesnym etapie zdałyby sobie sprawę, że popełniły błąd, wybierając takiego męża, i co rychlej zakończyłyby związek, ale mama podjęła zobowiązanie i zamierzała go trzymać, niezależnie od tego, jak bardzo ojciec jej to utrudniał.

Pobrali się w urzędzie stanu cywilnego, a sądząc z kilku zachowanych fotografii pochodzących z owej uroczystości, nie wydaje się, by był na niej obecny ktokolwiek z rodziny lub przyjaciół którejś ze stron. Jedynymi ludźmi, którzy widnieją na zdjęciach, nie licząc szczęśliwej pary młodej, jest dwoje świadków, których nie rozpoznaję. Możliwe, że byli to obcy ludzie wprost z ulicy, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Zdaje się, że tata już wtedy całkowicie odciął się od rodziny, a dziadek nadal nie akceptował tego związku i nie zamierzał odpuścić nawet w dniu ślubu. Mamie musiało być smutno, że uroczystość jest aż tak skromna, z kolei tacie musiało to w pełni odpowiadać.

Wychodząc za mąż za mężczyźnię, którego dziadek nie znosił, mama pokazała, że jest w stanie mu się przeciwstawić.

Sądzę, że z reguły, kiedy rodzice nie pochwalają wyboru partnera swojego dziecka, ostatecznie w dzień ślubu dają za wygraną i przybierają pokerową twarz, jednak w przypadku naszej rodziny nie wydawało się, by ktoś zechciał zejść ze swego piedestału i pójść na kompromis. Dla mamy to

musiał

być ponury początek ich małżeństwa, ale może zdołała przekonać samą siebie, że jej się to podoba; że jest to również jej wybór; że „nie chce żadnego rozgłosu”.

Na tych wczesnych zdjęciach mama sprawia wrażenie zupełnie szczęśliwej i zadowolonej z życia. Wygląd taty stojącego trochę z tyłu jest odrobinę złowrogi - ma na sobie ciemne okulary i ciemny garnitur, ale może tak się tylko wydaje w retrospekcji. Może dlatego że wiemy, jak bardzo stał

się później zaburzony i niebezpieczny, zakładamy, że pewne tego symptomy istniały od samego początku. Czujemy się dziwnie, patrząc na jego stare zdjęcia, zanim stracił wszystkie włosy, zanim zaczął mieć brzuch

i stał się ociężały. Na pierwszy rzut oka rodzice wydają się na owych zdjęciach normalną młodą parą, rozpoczynającą wspólne życie.

Kiedy przeprowadzili się do Redditch, kupili dom na wspólne nazwisko. Owym prostym i zwyczajnym małżeńskim aktem mama przypieczętowała swój los, dając się złapać w jeszcze większą pułapkę. Teraz ucieczka od taty oznaczałaby rezygnację nie tylko z małżeństwa, ale także z domu - która to ewentualność wydawała jej się rzeczą niemożliwą, skoro miała najpierw jedno, a później dwoje dzieci.

Nasz dom był zupełnie zwyczajnym bliźniakiem w stylu wiktoriańskim, z trzema sypialniami, z niezwykle długim ogrodem za domem - słowem, był to dom jakich miliony innych w całym kraju, tyle że w większości z nich mieszkają normalne, szczęśliwe rodziny. Żaden z przechodniów odbywających spacer po naszej cichej ulicy i spoglądających w nasze okna nie byłby w stanie odgadnąć, że w głębi, za fasadą, czai się coś złowrogiego czy jakaś patologia.

Mama urodziła mnie dopiero w wieku trzydziestu pięciu lat. Nie wiem, dlaczego czekała tak długo i dlaczego zdecydowała się założyć rodzinę właśnie wtedy, kiedy już zaczynały się problemy w ich małżeństwie. Może chciała najpierw osiągnąć jakiś konkretny etap w życiu zawodowym, może zaszła w ciążę przez przypadek, a może wreszcie przez te wszystkie lata chciała zająć w ciążę i po prostu trwało to tak długo. Nigdy nie rozmawialiśmy z nią o tak osobistych sprawach, więc teraz już się tego nie dowiemy. Niezależnie od powodów od chwili kiedy ja

i Alex przyszliśmy na świat, mama była całkowicie skupiona i skoncentrowana na tym, by kierować nami w taki sposób, abyśmy mogli maksymalnie wykorzystać potencjał

drzemiący w każdym z nas. Być może pęknięcia w ich małżeństwie wyszły na jaw, gdy tata już nie skupiał na sobie całej uwagi mamy i gdy zdał sobie sprawę, że mama będzie musiała się zająć również dwoma nowymi wymagającymi członkami rodziny.

Zachowały się zdjęcia, na których tata trzyma mnie na rękach, gdy jestem jeszcze małym

dzieckiem, i uśmiecha się.

Wydaje mi się trudne do uwierzenia, że taka scena mogła mieć kiedykolwiek miejsce, ponieważ nie mam żadnych wspomnień z okresu, kiedy nie pałał nienawiścią do mnie i do mamy. W

rzeczy samej, w końcu zaczął nienawidzić wszystkich. Nie zaliśmy skali jego choroby, póki nie doszło do jego procesu, ale jeszcze przed naszym urodzeniem tata robił burdy na ulicy i miał wśród sąsiadów koszmarną reputację. Nieraz wdzierał się do cudzych ogrodów i robił w nich zamęt, wykopywał i prze-sadzał kwiaty i krzewy. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy robił

to wszystko, bo chciał być uczynny wobec sąsiadów, czy też chciał ich zirytować. Niewielu miało odwagę mu się przeciwstawić, gdyż budził strach swym wyglądem - był

wysoki, agresywny, zaniedbany, z odrażającym wyrazem twarzy. Większość zwykłych ludzi czuła przed nim lęk. Ojciec nie dbał o to, co inni o nim pomyślą, ale chciał, żeby ludzie wiedzieli, jak bardzo ich nienawidzi. Miał w swej półciężarówce radio CB podłączone do głośników i jeździł po ulicy wte i wewte. Wrzeszcząc

i przeklinając, prezentował swój światopogląd, niczym jakiś wściekły polityk prowadzący w swym dziwacznym pojeździe własną kampanię wyborczą.

Terroryzował zwłaszcza starszą panią mieszkającą obok nas, strzelając do niej z pistoletu na wodę przez ogrodzenie, kiedy była w ogródku, i krzycząc za nią wyzwiska. Pewnej nocy jej garaż w tajemniczych okolicznościach stanął w płomieniach i musiano wezwać straż pożarną, żeby ugasić pożar. Ku mojemu zdziwieniu Alex nawet się nie obudził, mimo iż wyły syreny, a za oknem krzyczeli ludzie. Strażacy powiedzieli, że ogień został zaproszony celowo, ale nie ma żadnych dowodów na to, że zrobił to ojciec, więc nikt nie miał

odwagi rzucić mu w twarz oskarżenia.

Naprzeciwko nas mieszkała rodzina, z którą mama, Alex i ja zaprzyjaźniliśmy się mimo wybryków ojca. Mama poprosiła ową parę, Helen i Steve'a, żeby na naszym chrzcie byli naszymi rodzicami chrzestnymi. Mieli czworo dzieci, w naszym wieku i starsze, i byli normalną, szczęśliwą rodziną, więc zawsze lubiliśmy ich odwiedzać. Mniej więcej przez pierwszych piętnaście lat mojego życia wszyscy dorastaliśmy razem i wiem, że mama postrzegala ich jako ludzi, których opiece najchętniej by nas powierzyła, gdyby coś się stało jej i ojcu, ponieważ nie mieliśmy żadnych krewnych. Nawet kilka razy nam o tym powiedziała. Dzieci Helen i Steve'a chodziły do tej samej szkoły co my, uczęszczaliśmy też na wiele tych samych zajęć pozalekcyjnych, więc mama i Helen spędzały z sobą dużo czasu, często wzajemnie się uzupełniały i na przemian podwoziły dzieci na zajęcia. Sądzę, że mama bardziej otwarła się przed Helen niż przed kimkolwiek innym w naszej okolicy, choć nigdy nie słyszałam, by mówiły o sprawach bardzo osobistych.

Jedna z ich córek, mniej więcej w moim wieku, była moją przyjaciółką i kiedy byliśmy małe,

przyszła do nas kilka razy na herbatę. Raz nawet została, żeby wziąć ze mną kąpiel, ale wtedy jeszcze kąpał nas tata i przyjaciółka, co zrozumiałe, była tym skrupowana. Rzadko się potem u nas zjawiała, co mnie akurat odpowiadało, gdyż dzięki temu częściej ich odwiedzałam, ale bawiliśmy się głównie na zewnątrz. Dobra była każda wymówka, by wyrwać się z domu, by uwolnić się od milczącej, uprzykrzonej obecności ojca. Nawet kiedy siedział zamknięty w pokoju, odczuwaliśmy jego złośliwość w każdym zakątku; wszyscy nerwowo oczekiwaliśmy, że wyskoczy skądś nieoczekiwanie, wrzeszcząc, żebyśmy zesłi mu z oczu.

ROZDZIAŁ 3

ALEX

Nie sądzę, by tata kiedykolwiek uznawał konieczność zarabiania na swoje utrzymanie, choć wtedy kiedy poznał

mamę, miał pracę. Wcześniej nie mieliśmy o tym pojęcia, ale na procesie dowiedzieliśmy się, że już w latach siedemdziesiątych miał kłopoty z dogadywaniem się z innymi w miejscu pracy, że zawsze wszczywał konflikty, awanturował

się i groził odejściem. Zdaje się, że nigdy nie był w stanie się z nikim dogadać. Tak jakby od urodzenia pisane mu było oszczędnieństwo.

Kiedy wyjechał z Newcastle, nie miał chyba innego wyboru, jak tylko wejść w świat pracy - musiał wszak z czegoś żyć - gdy jednak się ożenił, a mama zatrudniona była w szkole, mógł zacząć wycofywać się z życia, które toczyło się poza domem.

Kiedy urodziła się Isobel, mama pragnęła dalej pracować, ponieważ to uwielbiała i ponieważ już wiedziała, że nie może liczyć na to, iż ojciec utrzyma rodzinę. Nigdy nie należała do kobiet, które byłyby szczęśliwe, zostając w domu: gotując, sprzątając i czekając co wieczór na powrót męża i dzieci. Może był to jeden z powodów, dla których zdecydowała się wyjść za mąż właśnie za tatę - wiedziała, że on nigdy jej o to nie poprosi i że będzie zadowolony, gdy ona nadal będzie pracować, jeśli tylko przez większą część dnia będzie miał dom dla siebie i pieniądze, mimo że sam pracował nie będzie.

Z początku, gdy oboje pracowali, mama zamierzała zatrudnić opiekunkę, która zajęłaby się Isobel, gdy obojga rodziców nie będzie w domu, nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy tata zdał sobie sprawę, że może wykorzystać swą małą córeczkę jako dobry pretekst, by rzucić pracę i zostać na stałe w domu. Może naprawdę sądził, że potrafiłby prowadzić dom.

Choć mama zdawała sobie sprawę, że ojca nie interesuje opieka nad dzieckiem, to jednak był przynajmniej w domu razem z Isobel, więc wydawało jej się, że będzie mogła wychodzić ranniem do pracy ze świadomością, że dziecko zostaje pod opieką dorosłego. Nawet wtedy, już na samym początku, musiała podejrzewać, że tata nie nadaje się do tego, ale tak czy owak był ojcem Isobel, więc czemu mama nie miałyby dać mu szansy zajęcia się własnym dzieckiem? Może na tym etapie wciąż jeszcze się oszukiwali, że są normalnym małżeństwem, podejmującym normalne, racjonalne decyzje co do tego, jak optymalnie zorganizować własne życie. A może mama po prostu sądziła, że nie ma wyboru.

Szybko jednak zdała sobie sprawę, że popełniła błąd.

Przychodziła po długim dniu spędzonym w pracy i zastawała Isobel dokładnie w tym samym miejscu, w jakim ją zostawiła ranniem. Pieluchy były niezmienione, a dziecko nienakarmione. Oczywiście było, że tata po prostu nie zajmuje się dzieckiem. Może powiedział mamie, że

zamierza odejść z pracy, by się nim zająć, ale wkrótce dotarło do niej, że nie jest do tego zdolny. W ciągu kilku dni mama musiała wrócić do pomysłu zatrudnienia opiekunki do dziecka, tak jak planowała od początku. Jednakże tata przyzwyczaił się już do idei, że nie będzie pracował, i nie podjął żadnych prób, by coś sobie znaleźć, nie licząc tego jedyne go razu, gdy podjął pracę dorywczą, na gwałt potrzebując gotówki. Kiedy mama uwijała się, starając się zapewnić utrzymanie jemu, Isobel, a później również i mnie, tata coraz bardziej zapadał się we własny świat, który ograniczał się do przestrzeni zamkniętej za drzwiami pograżonego w ciszy pokoju ukrytego przed oczami innych.

- To jakby mieć trzecie dziecko, którym trzeba się zajmować - mruzczała mama w owych rzadkich chwilach, gdy w ogóle coś o nim mówiła.

Z pewnością nie można było odbierać tego tak, że miała partnera, z którym dzieliła życie i opiekę nad dziećmi.

Jego prywatnym sanktuarium, gdy tylko kupili dom, stała się także sypialnia mamy, i gdy Isobel i ja porośliśmy na tyle, by mieć świadomość również i tego, co się dzieje w nocy, zdaliśmy sobie sprawę, że mama śpi na kanapie w salonie.

Podczas dnia jej poduszka i pościel łądowały za kanapą, więc były niewidoczne, a mama ścieliła sobie łóżko na samym końcu dnia, tuż przed pójściem spać. Skłapa ilość jej ubrań i nieliczne podręczne drobiazgi znajdowały się w pokoju Isobel, tak więc mama nigdy nie musiała naruszać prywatności taty ani ryzykować, że go obudzi, gdy przesywał

całe dnie.

- To dlatego że chrapię i muszę wcześniej wstawać

- wyjaśniała, gdy ktośś z nas ją o to zapytał. - Nie chcę przeszkadzać waszemu ojcu.

Nie kwestionowaliśmy tego, traktowaliśmy to jako coś normalnego. Mama się nie skarżyła, zatem założyliśmy, że wszystko jest w porządku i że mama jest zadowolona.

Sypialnia taty stała się tajemniczym światem ukrytym za zamkniętymi nieodmiennie drzwiami. Przez większość czasu, kiedy wracaliśmy ze szkoły, nie wiedzieliśmy nawet, czy tata jest w domu. Ponieważ wiódł swoje nocne życie, często podczas dnia nie dobiegały zza zamkniętych drzwi żadne dźwięki. Schodził do kuchni, żeby przyrządzić sobie posiłek, gdy byliśmy w szkole, więc nigdy nie jadał z naszą trójką.

Wiedzieliśmy, że ma w pokoju telewizor, ale nigdy go nie słyszeliśmy, przeto nie wiem, czy w ogóle oglądał telewizję.

To, że nigdy nie wiedzieliśmy, czy tata jest w domu, sprawiało, że życie z nim pod jednym dachem było jeszcze bardziej przerażające.

Staraliśmy się zajmować własnymi sprawami, jakby z nami w ogóle nie mieszkał, ale czasem niespodziewanie pojawiał się na schodach albo w kuchni, zwykle nic nie mó-

wiąc, tylko patrząc na nas, jakbyśmy byli niewidzialni. Miał w zwyczaju wychodzić z łazienki zupełnie nago i korzystać z toalety z otwartymi na oścież drzwiami, jakby nie wiedział, że w domu jest ktoś jeszcze. Jeśli w porę uslyszeliśmy, że się zbliża, schodziliśmy mu z drogi, nie chcąc ryzykować sprowokowania jego gniewu, gdy jednak nie chciał wszcząć kłótni, nie dawał po sobie poznać, że nas zauważa albo że w ogóle wie o naszym istnieniu. Isobel i ja braliśmy prysznic nad ranem, przed wyjściem do szkoły, kiedy mogliśmy mieć względną pewność, że ojciec głęboko śpi i że jego snu nie zakłóca nasze hałasy.

Jeśli w ogóle odzywał się do Isobel, to tylko w tym celu, by jej zakomunikować, jak bardzo jej nienawidzi. Gdy była mała, nic na to nie odpowiadała, ale w późniejszych latach stała się bardziej zuchwała i czasem nawet go obrażała, jeśli tylko w pobliżu byli inni, którzy w razie konieczności mogliby ją obronić. Pamiętam, jak raz powiedziała mu, że jest „gejem”, tylko po to, by go rozwścieczyć. Czasem zdawało się, że Isobel celowo prowokuje niebezpieczeństwo, żeby ojciec zrobił coś strasznego. Gdyby wiedziała, jak głęboko zaburzony i niebezpieczny stał się przez wszystkie te lata, prawdopodobnie byłaby ostrożniejsza. Gdybyśmy mieli jakiegokolwiek pojęcie, że żyjemy na tykającej bombie, wszyscy zachowywalibyśmy się inaczej. Ale gdy na co dzień obcuje się z czymś takim, zanadto się do tego przyzwyczajasz i nie ogarniasz do końca sytuacji.

We wczesnych latach naszego życia opiekowała się nami przede wszystkim miła kobieta o imieniu Rita, trochę hipiska, o długich siwych włosach. Kiedy oboje już chodziliśmy do szkoły, Rita brała nas do siebie, gdy tylko mama wychodziła do pracy, i zawoziła nas do szkoły, a następnie odbierała po lekcjach. Wracaliśmy do niej, żeby się po-bawić, póki mama nie wracała z pracy w Wolverhampton. Rita była bardzo miła i wcale mi nie przeszkadzało, że mamy tak długo nie ma, ponieważ zawsze była przy mnie moja starsza siostra. Nie chciałem wracać do naszego domu, kiedy nie było tam nikogo z dorosłych prócz ojca. Nie można było przewidzieć, w jakim będzie nastroju, choć zawsze faworyzował mnie kosztem mamy i Isobel.

On naprawdę ich nienawidził i niejako próbował przeciągnąć mnie na swoją stronę w wojnie psychologicznej, którą tak zajadle przeciwko nim prowadził. Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, podobało mi się to jego zainteresowanie mi okazywane oraz to, że bywa dla mnie miły, nigdy jednak nie mogłem być pewien, czy nie zacznie na mnie krzyczeć albo nie zrobi czegoś szalonego, na przykład nie otworzy wszystkich okien i drzwi w środku zimy albo nie zacznie mnie namawiać, żebym zrobił coś złego, a potem powie mamie, że to moja wina. Życie było bezpieczniejsze i bardziej przewidywalne w domu Rity, więc nie narzekałem. A zresztą nie należałem do dzieci, które by na cokolwiek narzekały. Nie miałem wątpliwości, że mama bardzo jest oddana Isobel i mnie.

Kiedy podrośliśmy i coraz trudniej było nas rozerwać, Rita zaczęła coraz częściej zawozić nas po lekcjach do naszego domu zamiast do swojego. Przez większość dni, kiedy wracaliśmy, drzwi do

pokoju ojca były zamknięte, a my nie mieliśmy pojęcia, czy on jest w domu. Nie martwiło nas to, jeśli tylko drzwi pozostawały zamknięte, ponieważ byliśmy przyzwyczajeni do życia bez niego. Isobel miała około siedmiu lat, kiedy Rita przestała odwozić nas do szkoły rano, a mama powiedziała nam, że jesteśmy już wystarczająco duzi, żeby chodzić do szkoły i wracać z niej sami, jeśli tylko będziemy robić to razem. Domyślałam się, że musiała oszczędzać pieniądze, jak tylko się dało, ponieważ utrzymywała całą rodzinę z zaledwie jednej pensji. Nie była to daleka droga, ale musieliśmy przejść przez główną ulicę, co było trochę straszne; zawsze wtedy mocno ścisnęłam dłoń Isobel. Od tamtej pory moja siostra opiekowała się mną przez cały czas, gdy mama była w pracy. Choć była tylko o dwa lata starsza ode mnie, zdawało się, że przychodzi jej to bardzo naturalnie. Rzadko na to narzekała, ponieważ dobrze się ze sobą dogadywaliśmy. Potrafiłem być uparty w sprawach, na których mi zależało, ale nie byłem skłonny do kłótni ani wybuchów złości ani do utrudniania jej życia bez potrzeby.

Zresztą nie mieliśmy zbyt wiele czasu na takie rzeczy, ponieważ od chwili kiedy wstawaliśmy aż do chwili gdy kładliśmy się spać, byliśmy bardzo zajęci.

Isobel i ja zwykle budziliśmy się na dźwięk, jaki wydawały frontowe drzwi zatrzaszkujące się za mamą, która wyjeżdżała z domu około siódmej trzydzieści rano. Mieliśmy za zadanie wyprowadzić naszego kundelka Alfiego na spacer, zanim wyszliśmy do szkoły, tak by mógł wytrzymać w domu aż do naszego powrotu. Wszyscy wiedzieliśmy, że tata nie wstanie i nie wyprowadzi go w ciągu dnia. Gdyby Alfie przez przypadek zaszczekał, doprowadziłoby to ojca do wściekłości.

Czasem, kiedy już wstaliśmy, oboje z Isobel schodziliśmy na dół, by odkryć, że mama zasnęła i że nadal śpi zwinęta na sofie, kompletnie bez życia z powodu wyczerpania. Musieliśmy ją wtedy budzić, żeby znów mogła popędzić do pracy.

Mieliśmy mnóstwo fotografii z dzieciństwa, lecz prawie żadnego zdjęcia z mamą - przypuszczalnie dlatego że to ona robiła zdjęcia. Tata nigdy nie zgodził się jej sfotografować. Jest kilka zdjęć w starych albumach rodzinnych taty. Ukazują nas jako małe dzieci, z którymi bawi się tata. Wygląda na nich normalnie i sprawia wrażenie szczęśliwego, lecz takie sytuacje nie mogły zdarzać się zbyt często, gdyż nie przypominam sobie, by kiedykolwiek robił z nami coś miłego. Myślę, że było więcej jego zdjęć, lecz tata podarł je w czasie jednego ze swych napadów szału, kiedy miotał się, wrzeszcząc:

- Nie chcę mieć z żadnym z was nic wspólnego! Zniszczył

też mnóstwo fotografii Isobel, tak bardzo jej nienawdził.

- Bardzo przypomina waszą matkę - powiedział do mnie, jakby to wszystko wyjaśniało.

Nadal istnieje mnóstwo zdjęć, które przetrwały mimo wszystkich jego starań, więc mama musiała być bardzo otrzaskana z aparatem. To jeszcze jeden dowód na to, że musiała być z nas bardzo dumna i że musieliśmy być dla niej ważni, co przypuszczalnie stanowiło przyczynę, dla

kórej stosunkowo obojętnie potrafiliśmy znosić brak miłości ze strony taty. Tata nie był w stanie podkopać naszego poczucia własnej wartości, ponieważ to

przede wszystkim mama wykonała tyle dobrej roboty, wznosząc jej fundamenty.

Jedno ze zdjęć przedstawia nas wszystkich na plaży, niczym normalną rodzinę, nie wiemy jednak, gdzie zostało wykonane, gdyż ani Isobel, ani ja nie możemy sobie przypomnieć, by kiedykolwiek tata pojechał z nami na wakacje.

Zbudował dla nas również drabinki w ogrodzie, więc musiały być chwile, kiedy robił też coś dobrego, jednak były coraz rzadsze wraz z upływem czasu, gdy coraz bardziej pogrążał się w swej nienawiści.

Miałem około siedmiu lat, gdy umarł dziadek, co oznaczało, że już więcej nie będziemy mogli jeździć na wakacje do Torquay. Mama nadal zabierała nas do Devon albo do Kornwalii na letnie wakacje, ale nie nikt nie pytał, czy tata jedzie z nami. Bez wątplenia nie chcieliśmy tego. Spędzaliśmy czas, jeżdżąc na rowerach, pływając w morzu i chwytając się wszystkich zajęć, jakie przychodziły nam do głowy. Lubiliśmy być zajęci i pobudzeni; nigdy nie przepadaliliśmy za przesiadywaniem w domu i beczynnym relaksem, z kolei tata nie robił nic innego. Gdy nasza trójka spędzała czas razem, zawsze byliśmy zgodni i pochłonięci podobnymi rzeczami.

Prawie zawsze byłem spalony słońcem, gdyż mam bardzo jasną karnację, a prawie cały dzień spędzałem na dworze.

Dziadek nie przekazał mamie w testamencie żadnych pieniędzy, co podówczas bardzo ją zabolowało. Podejrzewam, że nie chciał, by te pieniądze wpadły w łapy taty, więc założył

fundusz powierniczy, tak by Isobel, ja i wnuki babci mogły otrzymać kilka tysięcy funtów po

ukończeniu osiemnastu lat. Mama odziedziczyła jedynie należący do niego stary samochód, co, jak sądzę, uznała za niesprawiedliwość. Było to jednak ze strony dziadka bardzo mądre posunięcie, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się później.

Gdy tata ostatecznie zwrócił się również przeciwko mnie, często zaprzeczał, że jestem jego synem, oskarżając mamę o romans. Było to śmieszne oskarżenie, ponieważ mama była ostatnią osobą zdolną do czegoś takiego i ponieważ fizycznie byłem do niego bardzo podobny. W rzeczy samej, w owym czasie byłbym bardzo zadowolony, odkrywając, że nie mam z nim nic wspólnego. Jego pragnienie sprawiania przykrości było nienasycone. Wymyślał różne rzeczy tylko po to, by sprowokować awanturę i mieć okazję do ohydneho zachowania wobec mamy i Isobel, a potem również i wobec mnie. Początkowo chciał, żebym przyłączał się doń we wszystkim, nawet w picciu. Pamiętam, jak po raz pierwszy kazał mi pić whisky, gdy miałem osiem czy dziewięć lat, ale jej smak budził we mnie taki wstręt, że nie chciałem wypić więcej niż kilka łyków. Jak gdyby usiłował sprawić, bym stał się bardziej podobny do niego, a mniej podobny do mamy czy Isobel, wciąż podbechtując we mnie buntownika.

Kiedy byłem mały, lubił zabierać mnie ze sobą do garażu, gdzie gmerał przy samochodach, udając, że niby robimy to razem, choć tak naprawdę przez większość czasu ja tylko siedziałem, przypatrując się jego krzątaniu. Sądzę, że bardziej mu zależało na oddzieleniu mnie od mamy, żeby ją zdenerwować, niż na nauczaniu mnie czegoś pożytecznego.

Tego dnia, gdy dostał udaru, byliśmy w domu tylko my dwaj. Miałem zaledwie sześć lat, a mama pojechała odwiedzić Isobel na zajęcia karate. Tata i ja krzątaliśmy się w garażu przy samochodzie. Wróciliśmy do domu i kiedy tata zaczął wspinać się po schodach, nagle upadł i zwaliwszy się po stopniach, runął na podłogę korytarza. Zdaje się, że nie wpadłem w panikę. Po prostu podszedłem bliżej, zacząłem nim potrząsać i wołać na niego, myśląc, że zasnął. Kiedy stwierdziłem, że nie mogę go zbudzić, usiadłem przy jego głowie, żeby poczekać, aż wróci mama z Isobel. Nie byłem szczególnie wystraszony.

Miałem pewność, że mama będzie wiedziała, co robić. Zawsze wiedziała.

ROZDZIAŁ 4

ISOBEL

W dniu kiedy tata miał udar, przyjechałyśmy do domu z mamą, która jak zwykle włożyła klucz do zamka i popchnęła drzwi, te jednak natychmiast natrafiły na przeszkodę, nie otwierając się na tyle, byśmy mogły wejść do środka.

Zajrzawszy przez szparę, ujrzałyśmy tatę leżącego bez ruchu w poprzek korytarza, gdzie znalazł się po upadku ze schodów.

Alex siedział przy nim, cierpliwie czekając, jak to miał w zwyczaju.

- Tata śpi - oznajmił nam z powagą.

- Wejdzimy od tyłu - powiedziała mama i pędem obiegłyśmy dom, by wejść do domu od kuchni.

Mama od razu się zorientowała, że tata nie śpi i że trzeba wezwać ambulans, choć nie przypominam sobie jego przyjazdu. Pamiętam, że potem odwiedziliśmy go w szpitalu, gdzie dochodził do zdrowia. Dopiero wiele lat później dowiedzieliśmy się, że mama powiedziała naszej matce chrzestnej Helen, iż miała nadzieję, że ojciec tego dnia umrze. Zanim wykręciła numer pogotowia, poprosiła Helen, by przyszła do naszego domu, i najwyraźniej poinformowała ją, że przez chwilę zamierzała nie wzywać karetki w nadziei, że tata po prostu odejdzie bez cierpień na tamten świat. Gdyby tak się stało, byłoby to najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich, jednak mama nie byłaby zdolna do czegoś podobnego, bez względu na to, jak bardzo tata uprzykrzał jej życie w owym czasie. Gdyby tego dnia umarł, być może nadal mielibyśmy mamę. Musiało się między nimi naprawdę źle układać, skoro w związku z nim przyszły jej do głowy tak straszne myśli. Jednak nie wszystkie udary są fatalne w skutkach, więc nigdy się nie dowiemy, czy pozostawiając tatę na podłodze korytarza nieco dłużej, bardzo byśmy mu zaszkodziли.

W ciągu kolejnych miesięcy tata niemal zupełnie wy-zdrowiał, choć nigdy nie odzyskał pełnej sprawności po-ruszenia się, gdy z odmówił poddania się zalecanej przez lekarzy fizjoterapii. Nie mogło mu przypaść do gustu, że znajdzie się pod kontrolą innych. Musiał przebywać z dala od świata i podleganie czyjejś władzy przypuszczalnie traktowałby zbyt osobiście. Zawsze niewiele się odzywał, więc trudno było powiedzieć, czy ucierpiała jego zdolność mowy, jak to by wa po udarze; o ile jednak sobie przypominam, nie uległa ona zmianie.

Gdy tata wrócił do domu, jego niedawny udar nie zmienił

niczego w naszym życiu. Mama wróciła do pracy, my wróciliśmy do szkoły, a ojciec wrócił do swej sypialni, jakby nic się nie zmieniło. Ale kto wie, jakie napięcia ten stan wywołał w jego mózgu, zarówno przed, jak i po do-znanym udarze? Czy tata postąpił tak, a nie inaczej z powodu udaru, czy też może miał udar po części z powodu napięcia, w jakim żył pod wpływem nienawiści do całego świata?

Wszystkie wysiłki mamy miały na celu zapewnienie Alexowi i mnie jak najlepszego startu w życiu. Mama nie chciała przyjąć do wiadomości, że cokolwiek mogłoby być na tyle ważne, by zakłócić niezmienną, żelazną rutynę związaną z naszą edukacją i zajęciami pozaszkolnymi. Na przykład nie najlepsze samopoczucie nigdy nie mogło stać się wymówką do opuszczenia czegokolwiek. W rzeczy samej nasz stan musiał

być bardzo zły, by zgodziła się zaakceptować chorobę jako powód do pozostania w domu lub położenia się do łóżka. Może się bała, że odziedziczone po tacie geny sprawią, iż zostaniemy nieudacznikami życiowymi, jeśli ona nie będzie nas bezustannie zachęcać i stymulować. Jeśli tak właśnie sądziła, to nie przypuszczam, by miała powody do obaw, gdyż żadne z nas nawet w najmniejszym stopniu nie chciało być takie jak ojciec.

Tata zupełnie się nie interesował planami, jakie mama miała w związku z nami. W rzeczy samej, w ogóle się nami nie interesował, poza tym że mnie nienawidził, a Alexa próbował

zwerbować po to, by maksymalnie wyprowadzić mamę z równowagi. Nie przegapił żadnej okazji, żeby mnie pognać.

Wiedząc na przykład, że bardzo boję się psów, przyniósł do domu szczeniaka, kundelka, któremu daliśmy na imię Alfie.

Był to śliczny piesek, cały czarny z łapkami i powiekami koloru złotego. Tata już wcześniej wtajemniczył w swoje plany Alexa, któremu

bardzo się one spodobały, gdyż zawsze chciał mieć własnego psa. Plan ten jednak zemścił się na tacie, ponieważ Alfie był tak uroczy, że natychmiast przezwyciężywszy strach, pokochałam go miłością równie żarliwą jak Alex, podczas gdy tatę nieomal do szaleństwa doprowadzał pies trzymany w domu, zwłaszcza gdy Alfie szczekał, zmuszając tatę do wychodzenia z pokoju. Toteż tata zaczął nienawidzić Alfiego, tak samo jak nienawidził nas, i przywiązywał go na zewnątrz, kopał albo bił tak często, że pies stawał się kłębkim nerwów, ilekroć tata był w pobliżu -co tego ostatniego doprowadzało do jeszcze większej pasji.

Przez te wszystkie lata miałam jeszcze inne zwierzaki, co stanowiło dla taty okazję zadawania mi cierpień. Miałam królika, którego tata wypuścił z klatki na wolność, za-

śmiewając się, mówiąc mi później, że królik zapewne nie przeżyje. Miałam też chomika, którego tata otruił i wybebeszył, zostawiając zwłoki, żebyśmy znaleźli je z Alexem po powrocie ze szkoły. Chomik leżał w klatce, wyglądając tak, jakby został

wyrócony na lewą stronę, z wszystkimi organami wewnętrznymi na wierzchu, ja zaś na jego widok dostałam torsji, od początku wiedząc, czyja to sprawka. Jeśli miałam coś, co naprawdę lubiłam, tata niszczył to dla samej przyjemności zadania mi cierpienia. Zaczęłam wznosić wokół siebie mur obronny, zawsze spodziewając się najgorszego i nigdy nie dopuszczając do tego, by jego okrucieństwo sprawiło mi ból, wbrew jego oczekiwaniom. Choć nie znosił, gdy któreś z nas

plakało, mimo to odczuwał przyjemność, doprowadzając nas do płaczu, co czynił, by udowodnić, że ma nad nami władzę.

Dla Alexa śmierć naszych ulubieńców była przypuszczalnie trudniejsza do zniesienia, ponieważ był trochę młodszy ode mnie, jednak tata był gotów narazić go na cierpienie, byleby tylko osiągnąć cel.

I tak stopniowo tata nauczył mnie, że nie mogę mu zaufać, że nie mogę mieć nadziei na to, że się zmieni albo że kiedykolwiek uczyni dla mnie coś miłego. Nauczyłam się również ukrywać przed nim własne emocje, tak by nie mógł

zobaczyć, kiedy mnie ranił. Ale im spokojniej reagowałam na jego akty nienawiści, tym bardziej była ona wobec mnie zażarta. Porzuciłam wszelkie nadzieje na to, że tata kiedykolwiek się zmieni i dorośnie do tego, by mnie polubić -

gdyż moje rozczarowania były zbyt częste, bym mogła je dłużej znosić. Lepiej już było nie mieć cienia nadziei, niż przeżywać nieustanne zawody.

ROZDZIAŁ 5

ALEX

Pod pewnymi względami myśl o tym, że jestem dla taty kimś wyjątkowym - jedynym członkiem rodziny, któremu okazywał sympatię - z początku mi się podobała. Gdy zachęcał

mnie, bym źle zachowywał się w szkole albo żebym wcale tam nie szedł, zawsze wtedy wagary jawiły mi się znacznie bardziej interesujące i pociągające, niż potem się okazywały, zwłaszcza że zwykle, jeśli zrobiłem, tak jak chciał, przekupywał mnie słodyczami albo pieniędzmi. Im bardziej mnie zachęcał do jakiegoś naganego postępu, tym bardziej liczył na to, że uda mu się zdenerwować mamę i przekreślić wszystkie jej starania, bym nie przestawał ciężko pracować i był na medal z każdego przedmiotu. Drażnienie mamy i Isobel było głównym celem niemal wszystkiego, co kiedykolwiek robił w domu. Nigdy nie przestawałem zadawać sobie pytania, dlaczego tak się działo; tak po prostu było.

Jednocześnie odkryłem również, że bez względu na to, jak usilnie udawał przede mną, że jesteśmy sprzymierzeńcami, gdy byliśmy sami, nie mogłem liczyć na to, że mnie nie zdradzi, gdy tylko nadarzała się okazja. Zachęcał mnie, żebym zrobił

coś złego, gdy byliśmy sam na sam, lecz gdy tylko do domu wracała mama, kablował na mnie i opowiadał jej, co robiłem, nie przyznając się wcale, że to właśnie on mnie do tego czy owego namówił. Napawał się tym, jak to fatalnie zachował się w gruncie rzeczy jej kochany synek i jak to jemu samemu udało się przekreślić całą jej pracę nad tym, by dobrze mnie wychować. Nigdy nie występowałem we własnej obronie, ponieważ nigdy nie chciałem sprowokować jego gniewu i sprawić, by mnie zniechęcił tak bardzo jak pozostali, i ponieważ nigdy nie byłem specjalnie chętny do podobnych wystąpień w żadnej sprawie. Zawsze miałem raczej filozoficzne podejście do życia, już jako mały chłopiec.

Wkrótce przekonałem się, że wszystko, co robi tata, wpisuje się w jakąś złośliwą grę, którą obmyślał w czasie długich godzin, jakie spędzał w zaciszu swego pokoju. Jeśli kiedykolwiek dawał nam jakiś prezent, zawsze istniał ku temu jakiś powód, zawsze krył się za tym jakiś zamysł. Pewnego dnia usłyszał, że Isobel prosi mamę o pieniądze na jakąś rzecz, więc położył w jej pokoju czterdzieści funtów, na które musiała się natknąć. Nie wiedząc, co powiedzieć, Isobel wydała je, a jakiś tydzień czy dwa tygodnie później tata zażądał

ich z powrotem. Ponieważ Isobel dostawała jedynie funta czy dwa funty kieszonkowego na tydzień, splata zajęła jej sporo czasu,

a on miał ją w garści, mógł ją kontrolować, by jej udowodnić, jak złą jest córką.

Pewnego razu obojgu nam podarował odtwarzacze CD, ale tylko po to by roztrzaskać odtwarzacz Isobel na jej oczach, napawając się wyrazem rozczarowania na jej twarzy. Musiał to zaplanować od samego początku, gdyż odtwarzacz, który kupił

dla mnie, był znacznie droższy niż ten, który zamierzał

zniszczyć. Otrzymując swój odtwarzacz, Isobel wyczuła, że na coś się zanosí, i wahała się, czy ma go przyjąć, w obawie, że to jakiś podstęp. Gdy tata go rozbił, nawet nie zadał sobie trudu wyjaśnienia, dlaczego to zrobił, ja jednak wiedziałem, że mojego by nie dotknął. Myślę, że zawsze liczył na to, że zdoła zwrócić nas - Isobel i mnie - przeciwko sobie, jednak nigdy mu się to nie udało.

Bez względu na to, co nam robił, Isobel i ja zawsze stanowiliśmy zespół. Byliśmy razem od dnia, w którym przyszedłem na świat, i doskonale się nawzajem rozumieliśmy.

Nikt nigdy nie skłócił nas ze sobą, choćby nie wiem jakim posłużył się podstępem i chytrnością. Choć każde z nas miało swoich przyjaciół, często mieliśmy wspólne zajęcia. Isobel zawsze była kimś w rodzaju chłopczycy i zawsze najchętniej włóczyła się z chłopakami, grając w piłkę nożną czy wspinając się po drzewach. Nie interesowała się tym, co zajmuje zwykle większość dziewcząt, które lubią przesiadywać w domu. Gdy byliśmy starsi, mama nie zabraniała nam bawić się z innymi dziećmi z okolicy, jeśli tylko wcześniej odrobiliśmy lekcje i nie rozłączaliśmy się. Nie żebyśmy mieli zbyt wiele czasu na włączenie się po okolicy - rozmaite zajęcia zaczęte przez nas z inicjatywy mamy wypełniały nam prawie każdą chwilę.

Jeśli jednak mieliśmy kilka luźniejszych godzin, zawsze woleliśmy się bawić na podwórzu, zamiast siedzieć w domu, martwiąc się, czy przypadkiem wydawane przez nas odgłosy -

choćby najcichsze - nie przeszkadzają tacie. Nieczęsto zapraszaliśmy do domu przyjaciół, nigdy nie mając pewności, czy zastaniemy tatę, który wychynawszy z pokoju i zastawszy w domu obcych, zawsze robił sceny, chcąc sprawić, by poczuli się niezręcznie.

- Nasz tata może tam być - ostrzegaliśmy kolegów przy owych nielicznych okazjach, gdy zapraszaliśmy ich do domu. -

Jeśli go zobaczycie, po prostu nie zwracajcie na niego uwagi.

Nie odzywajcie się do niego, jeśli was zagadnie.

Przypominało to pouczanie dzieci, by nie zaczepiały niebezpiecznego psa, mogącego w każdej chwili się zezłościć i ugryźć. Było oczywiste, że nasi koledzy nie mogą zrozumieć, dlaczego ostrzegamy ich w ten sposób. Śmiejąc twierdzić, że wróciwszy do domu, racyli swoich rodziców barwnymi opisami atmosfery panującej w naszym domu, w którym nasz tata czatuje na piętrze niczym postrach z bajek, przypominający trochę owego mitycznego olbrzyma z bajki o Jasiu i lody dze fasoli. Większość dzieci spotykanych przez nas w czasie naszych pozaszkolnych zajęć nie miała pojęcia, że w ogóle mamy tatę, ponieważ zawsze widywano nas jedynie z mamą. Tata nigdy nie przychodził na nasz koncert czy zawody sportowe, w których braliśmy udział. Tak samo jak nasza mama ani

Isobel, ani ja nigdy nie mówiliśmy o nim innym ludziom, jeśli tylko nie było to konieczne.

Jeśli tata zechciał pokazać się publicznie, gdy w domu przebywali jacyś obcy ludzie, zazwyczaj jego wygląd był dość przerażający. Zdawał się czerpać dumę z tego, że wygląda jak bandyta, niewiele też mówił, mającąc w mroku, milczący i straszny. Przy nielicznych okazjach, gdy pojawiał się na naszych zajęciach, rozmyslnie stawał się agresywny wobec wszystkich, tak jakby chciał wprawić w zakłopotanie nas i mamę, dając nam nauczkę za to, że ośmieliliśmy się interesować tym, co dla niego nie miało żadnej wartości, i jakby chciał nam pokazać, że to on tu rządzi. Lubiał

demonstrować pogardę dla wszystkiego, czym każde z nas się zajmuje, by można było odnieść wrażenie, że mama miota się, tracąc swój czas na rzeczy, które on uważa za bezsensowne i śmiechu warte. Jeśli nie widzisz sensu absolutnie w niczym, wówczas naprawdę nie istnieje żaden powód, żeby wychodzić z własnej sypialni, zwłaszcza jeśli ktoś inny płaci twoje rachunki i zaopatruje cię w jedzenie.

Mama gotowała duże posiłki, ilekroć miała czas. W

większość niedziel smażyła pieczeń dla całej rodziny, choć tata w dalszym ciągu nie chciał schodzić na dół, żeby jeść razem z nami. Nie jadał z nami nawet w Boże Narodzenie. Nie martwiło to Isobel ani mnie, ponieważ nie pamiętaliśmy, by kiedykolwiek było inaczej, a zawsze było milej, gdy nie było go z nami i nie mógł zepsuć atmosfery. Dla mamy jednak musiało to być trudne. Musiała żałować, że nie ma normalnego męża, który jest częścią rodziny.

Udawała, że jej to nie przeszkadza, obmyślając nam i sobie rozmaite zajęcia, żebyśmy nie mieli nadmiaru czasu na rozmnyślania, jednak musiało ją to drażnić od wewnątrz.

Codziennie po południu Isobel i ja, odrobiwszy zadania, przed powrotem mamy z pracy przyrządzaliśmy coś do zjedzenia. Jedliśmy wówczas mnóstwo makaronów z sosami, ponieważ nigdy nie było czasu, żeby gotować coś bardziej wyszukanego. W naszym życiu bez wątpienia nie było zbyt wiele miejsca na przesiadywanie za stołem i delektowanie się posiłkiem. Mama wypijała w ciągu dnia niezliczone ilości kawy - czasem nawet dwadzieścia filiżanek - po prostu, żeby nie zasnąć. Oczywiście, tata nigdy nie jadł posiłków przez nas przygotowanych. Na ile mogłam zauważyć, żywił się głównie kebabami i frytkami.

Mama była świącie przekonana o doniosłości wszelkich egzaminów i edukacji w ogóle. Wożąc nas codziennie samochodem na rozmaite zajęcia pozaszkolne i z powrotem, nieustannie bombardowała nas pytaniami dotyczącymi szkoły, każąc nam zdawać sprawę z każdej lekcji i opowiadać, czego się nauczyliśmy. Następnie zadawała nam pytania testujące naszą znajomość tabliczki mnożenia czy francuskich słówek. Zawsze wykazywała entuzjazm w owym wczesnym okresie, nim nie zaczęło przytłaczać jej zmęczenie; zawsze chciała, byśmy przy każdej okazji wytężali swoje mózgowice. W czasie ferii w połowie semestru i w czasie wakacji przedstawiała nam własne projekty badawcze i przygotowywała własne testy. Również i one, nie licząc tych, które zadawali nam nauczyciele, zaprzętały nasze umysły. Nigdy się nie skarżyliśmy, gdyż

rozwiązywanie zadań weszło nam w nawyk, wiedzieliśmy też, że mama zawsze pozwoli nam wyjść na dwór, gdy tylko skończymy pracę. A zresztą większość tych zadań wykonywaliśmy z przyjemnością.

Rzecz jasna, nigdy nie mieliśmy czasu na przesiadywanie przed telewizorem, jak robiło po szkole wielu naszych kolegów. Nie martwiło nas to, gdyż nigdy nie wyrobiliśmy w sobie nawyku oglądania telewizji, a ponadto ilekroć zaczynaliśmy przełączać programy, wydawały nam się one nudne w porównaniu z tempem i bogactwem naszego życia.

Jedyną porą, kiedy mogliśmy coś oglądać, był niedzielny poranek, ale nawet wtedy mama nie była tym zachwycona, jeśli tylko miała obmyślane dla nas jakieś inne zajęcia, my zaś nie byliśmy na tyle zainteresowani telewizją, żeby się jej sprzeciwić. Mniej więcej raz w tygodniu oglądaliśmy jakiś odcinek *Simpsonów*. Był to jedyny program, który naprawdę lubiliśmy.

Odkąd sięgam pamięcią, mama zapisywała nas na wszelkie możliwe zajęcia pozaszkolne. Nie miało znaczenia, ile kosztowały (a prawie bez wyjątku były to prywatne lekcje) ani to, ile godzin każdego wieczoru musiały poświęcić, żeby wozić nas z miejsca na miejsce. Chciała, żebyśmy wykorzystali wszelkie możliwości spróbowania wszystkiego, nawet jeśli potem nie zdecydowaliśmy się na kontynuację tego czy owego, i żebyśmy nigdy nie byli w sytuacji, że nie możemy czegoś zrobić, bo nas na to nie stać. Każdego popołudnia, w chwili gdy przestępowała próg domu - droga z pracy zajmowała jej niemal

godzinę - pakowała nas do swego małego austina metro, którym jeździła od lat, i mnie zawoziła na moje, a Isobel na jej zajęcia.

Zajęcia, na które nas zapisywała, obejmowały prawie wszystkie dyscypliny, jakie przysły jej do głowy. Nie była to tylko gra na instrumentach - na fortepianie, skrzypcach - i śpiewanie w chórze; zajęcia obejmowały również aktywność fizyczną, jak pływanie i gimnastyka, balet i karate. Jeśli próbowaliśmy czegoś nowego, co jednak nam się nie spodobało, mama z łatwością godziła się, byśmy to zarzucili, i natychmiast wymyślała coś nowego. Musieliśmy należeć do każdego klubu w promieniu piętnastu kilometrów od domu. W

kórymś momencie próbowałem nauczyć się grać na trąbce, ale nauczyciel powiedział, że lepiej zrobię, przerzucając się na waltornię, która jest dużym instrumentem, więc noszenie go ze sobą przez cały dzień stanowiło problem dla małego chłopca, takiego jak ja. Zapisałem się do skautów, ale Isobel udało się w jakiś sposób wymigać od przynależności do zuchów i harcerek.

Może nie miała wystarczającej ilości wolnych godzin w ciągu dnia, by móc uczęszczać na ich zbiórki, choć na zajęcia z umiejętności przeżycia w lesie czas znalazła.

Ulubionym hobby Isobel było bieganie. Była świetna na długie dystanse i w biegach przełajowych. Największą przyjemność sprawiała jej pokonywanie najbardziej błotnistych tras, obfitujących w możliwie najgłębsze kałuże. Była w tym tak dobra, że doszła aż do szczybla mistrzostw hrabstwa.

Zawsze była z niej prawdziwa chłopczyca, wołała piłkę nożną od baletu. Mama chętnie pozwalała jej na zajmowanie się różnymi rzeczami, ilekroć Isobel czymś się zainteresowała, pomimo że była jedyną dziewczyną w drużynie piłkarskiej, dopóki sprawy nie zaszły za daleko, i na jednym z meczy Isobel złamała palec. Po tym epizodzie mama powiedziała, że Isobel ma przestać.

Kiedy staliśmy się trochę starsi i zaczęliśmy samodzielnie myśleć, każde z nas zawsze mogło oświadczyć, że re-zygnujemy z jakichś zajęć. Czasami mama źle to przyjmowała.

Może nie podobało jej się, że dorastamy i nie do końca może nas kontrolować. Kiedy pewnego wieczoru Isobel oznajmiła, że chce porzucić pływanie, żeby mieć więcej czasu na bieganie, mama okropnie się wściekła.

- Tyle pieniędzy kosztowały mnie lekcje pływania!

-krzyknęła. - A ty chcesz tak po prostu zrezygnować?!

Najwyraźniej bardzo nie podobał jej się pomysł, byśmy w jakikolwiek sposób zawężali sobie zakres potencjalnych umiejętności, choć oczywiście było, że tydzień jest za krótki, byśmy mogli zajmować się wszystkim jak należy. Zdaje się, że podczas owej kłótni należącej do Isobel strój do pływania wyfrunął przez okno, co chyba było reakcją nieco przesadzoną.

Być może tak gwałtowny wybuch wywołało nie tyle samo oświadczenie Isobel, ile raczej zmęczenie mamy i jej tłumiona frustracja z powodu innych spraw. Isobel uparła się i zdania nie zmieniła, choć miała silne poczucie winy z racji tego, że zawiodła mamę i ją rozłościła.

Kiedy oznajmiłem, że mam dość zajęć w chórze kościelnym, mama wściekła się jeszcze bardziej. Miałem około jedenastu lat i przechodziłem właśnie etap młodzieńczego buntu. Szczerze mówiąc, owego wieczoru w czasie zajęć zwymyślałem dyrygenta chóru, czego konsekwencją było wyproszenie mnie z sali. Wypadłem z niej jak bomba i zniknąłem na kilka godzin. Dyrygent zadzwonił do domu i w ten sposób mama, dowiedziawszy się ze szczegółami, co zaszło, zaczęła z mojego powodu robić raban w obecności Isobel.

- Zamierzam wezwać pomoc społeczną! - szalała. - Trzeba coś zrobić z tym chłopakiem!

Kiedy w końcu stanąłem w progu domu, mama doprowadziła się do stanu prawdziwej furii, ja jednak się uparłem w kwestii porzucenia chóru i nie miałem zamiaru wracać na zajęcia. Przypuszczam, że celowo sprowokowałem całą konfrontację, by mieć pretekst do zrezygnowania z zajęć, więc mama miała prawo wściec się na mnie, ale i tak mnie zdumiewało, że jej rozczarowanie przejawia się w sposób tak gwałtowny.

Po części motywacją mamy mogło być pragnienie, byśmy jak najwięcej przebywali poza domem, trzymając się z dala od taty, co zresztą bardzo nam odpowiadało. Bywały takie pory dnia, zazwyczaj późnym popołudniem, gdy tata, zbudziwszy się, niespodziewanie pojawiał się w kuchni, żeby zrobić sobie coś do jedzenia. Nie lubił, żebyśmy w takich chwilach kręcili się w

publiżu. Uważał, że jest to „jego pora” i „jego teren”, a my mieliśmy się zmywać. Na sam widok Isobel i mamy przy pominał sobie, jak bardzo ich nienawidzi, więc nie chciał

ich widzieć.

Najlepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich było trzymanie się w tym czasie z dala od domu, jeżeli nie chcieliśmy wywołać jego gniewu. Gdy nie szliśmy do szkoły z powodu choroby, musieliśmy bardzo uważać, by nie znaleźć się w kuchni w porach, gdy królował tam ojciec.

Spędzał za drzwiami swej sypialni większość swego życia, to znaczy tyle czasu, ile był w stanie. Isobel i ja nigdy nie ośmieliliśmy się go niepokoić - najwyżej rzucaliśmy ukradkowe spojrzenia przez półuchy lone drzwi sypialni, gdy do niej wchodził lub z niej wychodził - więc nie mieliśmy pojęcia, co właściwie robił w środku i co pochłaniało go przez cały dzień. Byliśmy w wielkim strachu, ilekroć musiał wyjrzeć na świat, żeby coś zjeść albo pójść do łazienki.

Poza domem mieliśmy tyle rzeczy do roboty, że przez większość dni w tygodniu wszystko to nie stanowiło problemu.

Robiąc postępy w zakresie rozmaitych aktywności, oboje zaczęliśmy brać udział w zawodach, które odbywały się w jeszcze większym oddaleniu od domu. Jeszcze zanim porzuciłem te zajęcia, w czasie weekendów jeździliśmy czasem z chórem na wycieczki, żeby śpiewać na ślubach w różnych kościołach czy nawet w katedrach. W późniejszym okresie zaczęliśmy roznosić gazety, dzięki czemu w niedzielne poranki wybywaliśmy z domu na kilka godzin i dzięki czemu mieliśmy trochę pieniędzy na własne wydatki. Isobel, jako starsza, pierwsza podjęła tę pracę, traktując to jako kolejną sposobność do biegania. Mknąc ulicami, ciągnęła za sobą wózek z gazetami. Gdy bieganie w czasie weekendu zaczęło zbytnio ją wyczerpywać, przekazała mi swoje gazety.

Kioskarzy to cieszyło, gdyż dzięki temu mogli w dalszym ciągu dostarczać

prasę pod ten sam adres, wiedzieli też, że prawdopodobnie będą mogli na mnie polegać, ponieważ Isobel nigdy ich nie zawiodła. Niedzielna runda z gazetami była optymalna, gdyż nie musieliśmy wtedy wstawać tak wcześnie jak osoby, które rozwoziły je w powszednie dni tygodnia, a które musiały skończyć pracę przed rozpoczęciem szkoły. Jednocześnie honoraria mieliśmy takie same jak oni. Częścią naszej pracy było wkładanie ulotek z ogłoszeniami do gazet przed rozwiezieniem tych ostatnich. Udało mi się wytłumaczyć mamie, że trudniej mi przychodzi ta czynność z powodu leworęczności, więc pomagała mi w tym - ku irytacji Isobel.

Choć taka wielość zajęć oznaczała, że nasze dni wypeł-

niała czasem istna bieżączka, oboje z Isobel zawsze chętnie robiliśmy wszystko, co zasugerowała nam mama. Było tak, odkąd sięgam pamięcią. Nasze życie towarzyskie w znacznym stopniu organizowały zajęcia pozaszkolne, bo to właśnie na nich nawiązywaliśmy wiele spośród naszych znajomości.

W porównaniu z większością chłopców, moje akty buntu miały dość łagodny przebieg, przejawiając się gadaniem na lekcjach albo pyskowaniem do dyrygenta chóru. Nie byłem notorycznym wagarowiczem, wagarowałem od czasu do czasu. Jednak w oczach mamy, kładącej taki nacisk na dyscyplinę w sferze edukacji i samodoskonalenia, był to jeden z grzechów głównych. Nie mogła znieść myśli, że marnuję choćby najdrobniejszą okazję otrzymania dobrej edukacji.

Jeden z moich nielicznych tego rodzaju upadków miał miejsce tego dnia, gdy mama, wróciwszy wcześniej do domu, żeby oddać samochód do serwisu, przyłapała mnie wraz z kolegami poza szkołą, na wagarach. Z

całą stanowczością odprowadziła nas z powrotem do szkoły, choć był to już prawie koniec lekcji, co nie przysporzyło mi specjalnego miru wśród kompanów. Prawie zawsze wracała do domu o tej samej porze, więc nie mogłem się nadziwić swojemu pechowi, że akurat wtedy mnie złapała.

Sporadycznie przysyłano jej ze szkoły listy na temat tego, jak się sprawuję. Wychodziła z domu wczesnym rankiem, jeszcze przed doręczeniem poczty, więc oboje z Isobel próbowaliśmy przechwytywać tę korespondencję w miarę naszych możliwości. Mama wiedziała, że nie koncentruję się w pełni na pracy, choć nadal byłem w czołówce uczniów niemal z każdego przedmiotu, a im bardziej się narowiłem i buntowałem przeciw autorytetom, tym większa złość ją ogarniała. Na pewnym etapie zagroziła, że przeniesie mnie do swojej szkoły, wiedząc, jak niezręcznie bym się czuł, mając mamę w gronie nauczycielskim własnej szkoły, jak również wiedząc, że nie chciałbym rozstać się z kolegami. Zdawałem sobie sprawę, że jest to groźba bez pokrycia, ponieważ nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby negatywnie odbić się na mojej edukacji, więc potem zaczęła mi grozić, że jeśli się nie poprawię, wyśle mnie do szkoły z internatem. Chociaż wiedziałem, że koszty takiej operacji znacznie przekraczały jej możliwości finansowe, nigdy nie chciałem rzucić jej w twarz, że blefuje.

Potrafiła być bardzo zdeterminowana, gdy sobie coś postanowiła. Poza tym że nie

chciałem rozstać się z kolegami, nie chciałem również, byśmy ja i Isobel zostali rozdzieleni.

- To ja pójdę do szkoły z internatem! - wtrąciła kiedyś Isobel w trakcie awantury z powodu mojego odejścia z chóru, przez co gniew mamy zwrócił się przeciwko mej siostrze.

Z powodu tego wtrętu Isobel została owej nocy wy-rzucona z domu zamiast mnie, choć w owej chwili była bez butów.

Już od dawna musiało się w mamie nagromadzić tyle tłumionego gniewu i frustracji, że całkiem błahy incydent, jak ten z chórem, był w stanie sprawić, że zupełnie straciła nad sobą panowanie. Razem z Isobel wyrzuciła również i psa, jakby chciała dać nam wszystkim swego rodzaju nauczkę.

Alfie musiał uznać, że czeka go nowa przygoda, skoro może odbyć dodatkowy spacer, w dodatku bez smyczy. W takich chwilach, jak sądzę, musiała odnosić wrażenie, że cały świat sprzyścił się nagle przeciw niej. Zapewne wyobrażała sobie wtedy, że najchętniej uwolniłaby się od nas wszystkich. Ale jej humory nigdy długo nie trwały - w przeciwieństwie do wciąż pełnego nienawiści nieszczęsnego taty.

Ilećroć tata słyszał o jakimś moim postępku mającym w sobie choćby ziarno buntu czy zła, odczuwał radość i zachęcał

mnie, bym posunął się jeszcze dalej, rozmyślnie negując wszystko, co nakazywała mama. Jakby z pełną determinacją próbował sprawić, bym bardziej upodobił się do niego, a coraz mniej przypominał ją i Isobel. Nie wiem, czy te jego namowy w jakimś stopniu mnie

zmieniły. Sądzę, że i bez nich zachowywałbym się podobnie, choć na pewno stałem się za jego przyczyną nieco bardziej bezczelny w szkole, mając świadomość, że ojciec temu przykładał. Każdy młody chłopak chce przypodobać się swemu ojcu, nawet jeśli jest to osobnik tak dziwny jak mój tata. Raz czy dwa zamiast pójść do szkoły, przyszedłem z kolegami do domu, a tata zdawał się to aprobować. Fakt ten zrobił na nich wrażenie. Lecz gdy tylko do domu wracała mama, opowiadała jej o wszystkim, jak sądzę po to, żeby przytrzeć jej nosa, udowadniając, jak to straciła nade mną kontrolę i jak to jej dzieci nie zawsze są ciężko pracującymi małymi aniołkami, którymi się wydawały.

Napięcia, jakim mama podlegała przez te lata, musiały być gigantyczne, my zaś w owym czasie nie byliśmy ich świadomi. Teraz, gdy spoglądam wstecz, czuję się winny, choć przecież byłem tylko zwykłym, pełnym energii nastolatkiem.

Lecz dzisiaj myślę, że jej życie było ciężkie i bez tych dodatkowych stresów.

ROZDZIAŁ 6

ISOBEL

Awantura zaczęła się z tego powodu, że Alex samowolnie wyszedł z zajęć śpiewu chóralnego, po czym oświadczył, że chce z nich zrezygnować, jednak z jakiegoś powodu skończyło się tym, że to mnie mama wyrzuciła z domu. Na kilka minut wszystko zupełnie wymknęło się spod kontroli.

Stojąc na zewnątrz, na podjeździe koło domu w samych skarpetkach i trzymając Alfiego za skórę na szyi, nie bardzo wiedziałam, co mam robić. Mama znajdowała się w stanie takiej hysterii, że uznałam, iż próba powrotu do domu nie ma sensu, dopóki mama nie ochłonie. Jediną osobą, o której pomyślałam, że może mi pomóc, była moja matka chrzestna Helen. Wyprowadziła się wprawdzie z naszej ulicy, ale nadal mieszkała w okolicy. Nie wydaje mi się, że mieliśmy już wtedy telefony komórkowe - a nawet jeśli, to nie miałam owego telefonu przy sobie, nie spodziewając się, że tak nagle znajdę się poza

domem - więc musiałam zapukać do drzwi któregoś z są-

siadów i poprosić, by mi pozwolił skorzystać z telefonu domowego.

Nie wydaje mi się, by sąsiedzi byli zdziwieni moją prośbą, ponieważ każdy mieszkaniec pobliskich domów wiedział o tacie i domniemywał, że cała nasza rodzina jest cokolwiek patologiczna. Zatelefonowałam do Helen, która - co było bardzo miłe z jej strony - przyszła po nas i zabrała mnie oraz Alfiego do swojego domu, zanim wybrała się do mamy, próbując ją uspokoić i przemówić jej do rozsądku. Helen była dobrą przyjaciółką mamy i jedną z nielicznych osób, z którymi mama była blisko. Przypuszczam, że mama już wcześniej zaczęła żałować swego wybuchu. Podobne gwałtowne reakcje zawsze dość szybko mijały, po czym wracaliśmy do naszego zwykłego rodzinnego życia, jak gdyby nic się stało, zaś gorączkowe tempo naszej codzienności pomagało nam uwolnić się od negatywnych emocji. Gdy mama wpadała w szal, tata zazwyczaj nie opuszczał swojego pokoju. Miał swoje demony, z którymi się zmagał. Nie interesował się niczym, co miało jakikolwiek związek z nami, dopóki nie dotyczyło go to bezpośrednio, a gdy mama wydawała się rozdrażniona, przypuszczalnie sprawiało mu to radość, gdyż większość czasu spędzał, próbując ją zdenerwować.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek nie miała świadomości tego, jak bardzo tata mnie nienawidzi. Pierwszą przyczyną tej nienawiści było moje podobieństwo do mamy, a przynajmniej on wciąż mi to powtarzał, jednak nasiliła się ona, gdy podrosłam i coraz częściej zaczęłam mu się stawiać. Tata musiał bez reszty zdominować wszystkie osoby obecne w jego życiu, a mama na ogół skłonna była to tolerować, żeby nas chronić. Próbowwała zachować w domu stan zawieszenia broni. Gdy jednak stałam się nastolatką, byłam mniej skłonna znosić wszystko w milczeniu. Jeśli atakował mamę, często brałam jej stronę, przemawiając w jej obronie, podczas gdy ona milczała, wskutek czego ojciec jeszcze bardziej mnie znenawidził. Zazwyczaj początkiem kłótni były jego uwagi dotyczące tego, że w domu jest brudno albo że nie odłożono odkurzacza na właściwe miejsce.

Doprowadzały mnie one do furii. W domu panowała idealna czystość, ponieważ mama poświęcała weekendy na sprzątanie.

Jednak z jego słów można było odnieść wrażenie, że niczego nie robiła tak jak należy. Do szewskiej pasji doprowadzało mnie to, że tata miał czelność się skarżyć, a sam całymi dniami przesiadywał w domu i nigdy nawet nie kiwnął palcem.

Czasami jego napaści nie ograniczały się do wrzasków.

Wtedy posuwał się do aktów agresji. Bił ją i rzucał w nią rzeczami, podczas gdy ona gorączkowo usiłowała go uspokoić, zgadzając się ze wszystkim, co powiedział, przyjmując wszystkie słowa krytyki, nie próbując nawet się bronić.

Częściowo pod wpływem złości, a częściowo ze strachu zaczynałam wrzeszczeć, żeby przestał, grożąc wezwaniem policji. Fakt, że śmiem stawić mu czoła, wydawał mu się niezmożny, a mama zaczynała panikować, że sprzeciwiając mu się, tylko go rozjuszam, ja jednak nie mogłam po prostu obojętnie stać i w milczeniu przyglądać się, jak ją bije. Być może jej postawa była właściwsza

od mojej. Może już wcześniej wyczuła, do czego jest zdolny, jeśli się go za bardzo rozjuszy, jednak ja w owym czasie, z całą nieustępliwością i nieświadomością, jakie niesie młodość, odnosiłam wrażenie, że mama przed nim zupełnie kapituluje, jak gdyby była nikim, zaś moja duma nie pozwalała mi pójść w jej ślady.

Kilka razy, kiedy już szłam chwycić za słuchawkę i zadzwonić na policję, tata usiłował mnie odepchnąć, rzucał we mnie jakąś ozdobą albo puszczał się pędem i wyprzedziwszy mnie, wyrwał gniazdo telefonu ze ściany. Nie zawsze jednak zdołał dopaść do telefonu przede mną i kiedy miałam jedenaście czy dwanaście lat, dwa razy udało mi się wezwać policję. W obu przypadkach byłam święcie przekonana, że mama naprawdę jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje pomocy dorosłych. Raz usłyszałam z mojego pokoju jakiś hałas, więc zbiegłam z piętra i ujrzałam, że tata okłada mamę pięściami i poniewiera nią po pokoju. Interweniowałam, a wtedy również i mnie się oberwało. Zdołałam dodzwonić się na policję, a w ciągu kilku minut, jakie zajęło im dotarcie na miejsce, w napadzie frustracji i furii tata wywrócił cały dom do góry nogami.

Nawet gdy policjanci stali w pokoju, a mama miała szansę powiedzieć im, do czego jest zdolny - nawet wówczas nigdy nie złożyła formalnej skargi ani też nie zgodziła się wnieść oskarżenia, więc ci mogli jedynie udzielić mu ostrzeżenia i nakazać, żeby się uspokoił. Za którymś razem gdy jego napad szału był wyjątkowo gwałtowny, zamknęli go na kilka godzin w areszcie, żeby miał czas

na ochłonięcie, a do domu wypuścili go dopiero wtedy, gdy zobaczyli, że się uspokoił. Pamiętam, że wszyscy byliśmy przerażeni, że wypuszczą go w środku nocy. Alex i ja dosłownie dygotaliśmy ze strachu, więc cała nasza trójka spała w moim łóżku do samego rana. Zamykanie go w areszcie podówczas pomagało na krótko, ale w niczym nie przyczyniało się do zmiany

naszej ogólnej sytuacji. On zaś ział żądzą zemsty, która nie wygasła mimo wszelkich krótkotrwałych środków dyscyplinarnych, jakie policja mogła wobec niego podjąć.

Gdy tata wrócił do domu po spędzeniu nocy za kratkami, byliśmy właśnie na pływalni z mamą, a wróciwszy do domu, stwierdziliśmy, że zmienił wszystkie zamki w drzwiach, zatem nasze klucze były bezużyteczne. Mama musiała go błagać, mówiąc doń przez otwór w skrynce na listy, żeby nas wpuścił.

Chciała uniknąć wywołania kolejnej sceny, na progu domu, którą mogliby usłyszeć sąsiedzi. Zdaje się, że ostatecznie musiał wpuścić mamę, która była jedynym źródłem dochodów w rodzinie, lecz i tak dopiął swego, pokazując, że to on tu rządzi; że może przetrzymywać nas na dworze i wprowadzać zamęt w nasze życie, ilekroć zechce - jeśli tylko czymś mu podpadniemy albo mu się postawimy.

Przy jednej z podobnych okazji, kiedy to wezwałam policję, tata pobiegł na piętro i zadał sobie w ramię szereg ciosów widelcem, a gdy przyjechali policjanci, powiedział im, że mama zaatakowała go pierwsza, w dowód tego pokazując im rany. Policjanci, ustalwszy taką wersję zdarzeń, całkowicie ignorowali mnie i Alexa siedzących na

schodach domu. Patrzyliśmy i słuchaliśmy, usiłując to wszystko ogarnąć. Nie pytali nas o naszą wersję tego, co zaszło, po prostu traktując nas tak, jakbyśmy byli elementem umeblowania. Może wzywano ich codziennie do tak wielu awantur domowych, że radzili sobie z nimi przy użyciu tej samej metody, nigdy jednak nie wywołali w nas poczucia, że są w stanie zaoferować nam czy mamie jakąkolwiek realną ochronę przed tatą, gdybyśmy takowej potrzebowali. Później, gdy składaliśmy zeznania na procesie taty, jakiś policjant odczytał notatki dotyczące incydentu mającego miejsce owej nocy. Była w nich mowa o „dwojgu małych i w oczywisty sposób kompletnie zastraszonej dzieciach” obecnych na miejscu zdarzenia. Skoro byliśmy w tak oczywisty sposób zastraszeni, to dlaczego nikt nic nie zrobił, żeby nam pomóc czy choćby z nami porozmawiać? Dlaczego nikt nie wrócił do nas nazajutrz po którejś z owych awantur, żeby sprawdzić, czy wszystko z nami w porządku? Przypuszczam, że nie wnosząc żadnych zarzutów, mama sprawiła, że uznano, iż panuje nad całą sytuacją.

Do większości awantur dochodziło w środku nocy, gdy tata wynurzał się ze swego pokoju, spodziewając się, że cały dom będzie miał dla siebie, a może zresztą postanawiał sobie, że zbudzi mamę, by uzewnętrznić jakąś urazę, którą trawił w sobie przez cały dzień. Patrząc wstecz, myślę, że tata wypijał w ciągu dnia mnóstwo whisky, podejrzewam też, że do najgwałtowniejszych awantur dochodziło przypuszczalnie wtedy, gdy był pijany. Zazwyczaj Alex głęboko spał, gdy rodzice zaczęli na siebie

krzyczeć, często udawał, że się nie obudził, pozwalając, by tata sądził, że nadal ma kontrolę nad synem i że są po tej samej stronie, ja jednak zaczęłam otwarcie buntować się przeciw jego tyranii.

Jeśli tata zszedł na dół, a mama nadal była na nogach, było niemal pewne, że ojciec wywoła

klótnię. Przez większość czasu dzięki naszym codziennym obowiązkom byliśmy w stanie go unikać, jeśli jednak porządek dnia uległ jakieś zmianie, tata czuł się zagrożony i natychmiast robił się agresywny. Czasami, gdy już opił się whisky, potrafił się awanturować przez całą noc, nie dopuszczając do tego, by mama położyła się spać - żeby mógł krzyczeć zarówno na nią, jak i na mnie, gdy zeszlam na dół, aby zbadać sprawę. Nie obchodziło go to, jak długo trwały te awantury, bo i tak mógł

się do woli wysypiać następnego dnia, ale ja i mama byłyśmy zmęczone i potrzebowałyśmy snu. Doskonale wiedział, jak wyczerpana jest mama, i sady stycznie wykorzystywał ten fakt.

Sądzę, że czasem wywoływał burdy tylko po to, by zapewnić sobie nieco rozrywki w swym nudnym życiu.

Nieco podrosłszy, również i Alex zaczął się w nocy budzić z powodu krzyków, tak więc przesyaliśmy zaledwie kilka godzin. Jednak bez względu na to, jak bardzo zmęczeni byliśmy nad ranem, mamie nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby nam pozwolić na jeden dzień przerwy w szkolnych zajęciach. To jej przekonanie było niczym religijny dogmat.

Sama nigdy nie brała sobie dnia wolnego, choćby była nie wiem jak chora czy zmęczona, i tego samego poświęcenia, determinacji i dyscypliny oczekiwała

od nas. Nie chciało nam się o to prosić, bo i tak wiedzieliśmy, jaka będzie odpowiedź. Myślę, że moja frekwencja była bliska stuprocentowej, zaś Alexowi udało się zwać ze szkoły zaledwie raz czy dwa, zanim mama to odkryła i położyła temu kres. A zresztą, szczerze mówiąc, zawsze bardzo chętnie wychodziliśmy z domu po całonocnej awanturze. Z pewnością nie chcieliśmy zostać w nim uwięzieni w domu, jeśli nie było to konieczne. Znalazszy się w szkole, wśród kolegów, koncentrując się w czasie lekcji, mogliśmy na kilka godzin zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnych rzeczach, do których wysłuchania byliśmy zmuszeni w środku nocy.

Nawet gdy na twarzy i ramionach mamy widniały siniaki i blizny po jego ciosach - mama chodziła do pracy, mówiąc kolegom, że wpadła na drzwi albo wymyślając jakieś inne wytłumaczenia, my zaś dowiedzieliśmy się później od Jillian, że nikt ani przez chwilę nie wątpił w ich prawdziwość. Żaden z pracowników jej szkoły nie miał zielonego pojęcia, że mama jest ofiarą przemocy domowej. Jillian oraz kilka innych osób wiedziały, że mama poślubiła człowieka, który jest dość dziwny, większość jednak sądziła, że jest samotną matką, i nigdy nie zadawano żadnych pytań. Przypuszczam, że mama po prostu nie była kimś, po kim można by się spodziewać, że jest w podobnej sytuacji, ponieważ zdawało się, że zawsze tryska energią, kontrolując każdy szczegół swego życia.

Jedyndmi ludźmi, którzy, jak sądzę, wiedzieli, że w mał-

żeństwie mamy obecna jest przemoc, i którzy podejrzewali, że rzeczywistość jest znacznie bardziej ponura, niż twierdzi mama, byli: moja matka chrzestna Helen oraz pastorka naszego lokalnego kościoła - dwie osoby, z którymi mama rozmawiała. Odkryliśmy też, że obydwie

próbowały przekonać mamę, by zostawiła tatę, zanim będzie jeszcze gorzej. Nasi sąsiedzi zeznali potem, że przez cały czas słyszeli odgłosy kłótni, ale żaden z nich nie zdecydował się interweniować, ponieważ tata budził postrach samym wyglądem, a mama zdawała się kontrolować sytuację i robiła wrażenie osoby chcącej trzymać wszystko w tajemnicy. Kiedy naszą najbliższą sąsiadkę (od drugiej strony sąsiadowaliśmy ze starszą panią) zapytano, dlaczego nigdy, podczas żadnej z awantur, nie wezwała policji, ta odparła, że stało się tak dlatego, że ona sama i jej mąż mieli w tym okresie własne małżeńskie problemy. Mama nigdy nie lubiła na nic narzekać.

Może gdyby nieco łatwiej przychodziło jej przyjmowanie pomocy z zewnątrz, nadal by żyła.

Mama często chodziła do kościoła i w każdą niedzielę była obecna na mszy. Kiedy oboje z Alexem śpiewaliśmy w chórze, spędziliśmy w kościele dużo czasu, co niekiedy mogło być nużące, choć mieliśmy tam mnóstwo kolegów. Największą korzyścią płynącą z należenia do chóru było to, że od czasu do czasu płacono nam kilka funtów za śpiew w czasie ślubów.

Mama była z nas bardzo dumna, ponieważ bywaliśmy z wizytami w najrozmaitszych katedrach w całym kraju, a raz nawet pojechaliśmy z chórem na wakacje do Walii. Oboje śpiewaliśmy solo, więc przypuszczam, że musieliśmy mieć całkiem dobre głosy.

Sądzę, że mama była osobą silnej wiary, choć nigdy zbyt wiele o tym nie mówiła. Być może był to kolejny powód, dla którego uważała, że powinna trwać w swym małżeństwie „na dobre i złe”. Uważała, że jest poślubiona tacie, a nie należała do osób, które nie potrafią wytrwać w raz powziętym zobowiązaniu. Gdy zaczęłam dowiadywać się w szkole więcej na temat religii, czasami kwestionowałam niektóre z jej przekonań, jak zwykle czynią to nastolatki, ona jednak nigdy nie przyznała mi racji. Może chodziła do kościoła, gdy z robiła to zawsze, a podobała się jej dyscyplina i rutyna, wpisane w praktyki religijne.

Choć ani ona, ani tata nie zrobili nic, by nas ochrzczono, gdy przyszliśmy na świat, mama chciała, żebyśmy przystąpili do konfirmacji - w kościele - razem z naszymi rówieśnikami, abyśmy nie czuli się odmieńcami. Postarała się, by nas ochrzczono: ja miałam około dwunastu lat, a Alex około dziesięciu. To wtedy poprosiła Helen i Steve'a, żeby zostali naszymi rodzicami chrzestnymi. Tata nie okazał najmniejszego zainteresowania żadną z tych spraw i nawet nie pojawił się na nabożeństwie.

Mama była najsilniejszą osobowością, jeśli chodzi o sta-wianie czoła przeciwnościom losu, jednak ostatecznie nawet ona nie wytrzymała napięcia. Pewnej nocy, po jednej z całonocnych awantur wywołanych przez tatę, postanowiła popełnić samobójstwo. Nie mieliśmy pojęcia, jak fatalny był

jej stan psychiczny, i z całą pewnością nigdy ani przez chwilę nie pomyślelibyśmy, że rozważy coś takiego jak samobójstwo.

Nigdy nie dowiem się dokładnie, co się działo w jej głowie owej nocy, kiedy podjęła taką

decyzję, choć znacznie później dowiedziałam się, że mimo iż pod-

ówczas nie powiedziała nam o tym, ową decyzję podjęła z typowym dla siebie pragmatyzmem i bez emocji.

Pod wieloma względami musiała to być dla niej naprawdę trudna decyzja. Po pierwsze, musiała zakwestionować swoje przekonania religijne, nie wierzę również w to, że lekko przyszła jej decyzja opuszczenia Alexa, mnie i taty. Zanim ostatecznie zdecydowała się na ten krok, musiała długo zmagać się z sumieniem.

Być może jej umysł uległ zaćmieniu wskutek wyczerpania, jakiego bez wątpienia doświadczała w owym czasie.

Walka, jaką stoczyła owej nocy z ojcem, musiała przebiegać we względnej ciszy, gdyż z ani ja, ani Alex nie obudziliśmy się w jej trakcie ani razu. Mama najwyraźniej nie położyła się spać nawet wtedy, gdy burza minęła i ojciec zniknął w swoim pokoju. I kiedy w środku nocy zasiadła samotnie w pogrążonym w ciemnościach i ciszy domu, musiała doświadczyć poczucia kompletnej beznadziei. Na długo po tym wydarzeniu dowiedziałam się, że miała poważne problemy ze zdrowiem, choć wtedy jeszcze nie powiedziała nam o nich, i być może uznała, że kończąc ze sobą w ten sposób, oszczędzi nam widoku własnych cierpień i powolnej śmierci.

Miała jakieś pigułki, nie wiem jednak, czy był to zbieg okoliczności, czy też już wcześniej rozmyślnie je gromadziła.

Później powiedziano nam, że zażyła wtedy osiemdziesiąt sześć pigułek mieszanek paracetamolu i mnóstwa innych pigułek, które znalazła w domu, których ilość wydaje się dziwnie duża, gdyby przyjąć, że nie zostały

rozmyślnie zgromadzone. Nawet w chwili najczarniejszej rozpaczyci chciała w jak najmniejszym stopniu narazić nas na traumę. Nie chciała, żebyśmy to myją znaleźli, więc gdy tylko połknęła tabletki, po cichu wyszła z domu i poszła na spacer w stronę wzgórz Downs.

Był poranek, panowało przenikliwie zimno, więc być może pod wpływem świeżego powietrza w połączeniu z pięknem wschodzącego słońca wyzbyła się rozpaczyci i uświadomiła sobie, że popełniła błąd i że nie może zostawić Alexa i mnie. Czymkolwiek był motyw, który ją skłonił do zmiany zdania, faktem jest, że zawróciła i puściła się pędem do domu, postanawiając zgłosić się po pomoc, zanim tabletki zaczną działać. Po powrocie zatelefonowała po Helen, którą poprosiła, by przyszła i udzieliła jej pomocy. Zbudziły mnie ich podniesione głosy. Wyczułam atmosferę paniki i zeszałam na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Helen próbowała zadzwonić z domowego telefonu po karetkę. Zrelacjonowała mi całą prawdę o tym, co się wydarzyło, lecz Alexowi postanowiłyśmy powiedzieć, nie wchodząc w szczegóły, tylko tyle, że mama źle się poczuła.

- Wasz telefon nie działa - stwierdziła Helen, nie panując nad paniką w głosie.

- Którego dnia tata wyrwał ze ściany kabel - poinformowałam ją.

- Zawiozę waszą mamę do szpitala - powiedziała Helen.

Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko trzymać się naszej codziennej rutyny, gdyż tego właśnie życzyłyby sobie mama.

Jak zwykle Alex nie zadawał zbyt wielu pytań, gdy już zszedł

na dół, przyglądając się tylko, co się dzieje wokół, swym cierpliwym, poważnym wzrokiem, więc nie musiałam nawet go okłamywać, gdy poczyniwszy stosowne przygotowania, wyruszyliśmy do szkoły, jak co dzień. Była to dobra cecha Alexa: zawsze gotów był czekać, aż wszystko się wyjaśni, i nigdy się nie gorączkował. Kiedy tamtego popołudnia wróciliśmy do domu, mama jeszcze nie wyszła ze szpitala. Przygotowując sobie coś do jedzenia, a potem odrabiając lekcje, zachowywaliśmy się najciszej, jak potrafiliśmy, starając się nie dopuścić do tego, by ojciec, rozjuszony, wypadł ze swego pokoju. Wiedzieliśmy dokładnie, co mamy robić aż do powrotu mamy. Wróciła ze szpitala jeszcze tego samego dnia, w dalszym ciągu wymiotowała.

Obawiam się, że nie okazałam jej zbyt wiele współczucia.

- Jak mogłaś coś takiego zrobić? - wrzasnęłam rozwścieczona myślą o tym, że gotowa była zostawić nas na łaskę taty, nawet nie przygotowując nas na podobny wstrząs i cierpienie. Czulałam taką złość, że nie byłam w stanie zdobyć się na to, by zaoferować jej pomoc, choć niewątpliwie mama nadal czuła się naprawdę źle.

- Musisz być dla niej miła - powiedziała Helen, gdy zajrzawszy do nas, krzątała się pospiesznie, usiłując zachować wesołość.

- Dlaczego? - dopytywałam się. - Sama do tego doprowadziła.

Helen nic na to nie powiedziała. Mama nie potrafiła mi wyjaśnić, co sobie myślała, nie chciała też rozmawiać o swoich zmartwieniach, które musiały ją w owym czasie przytłaczać.

Może nie zamierzała mnie obciążać tą

wiedzą, a może wiedziała, że nie będzie w stanie ująć jej w słowa, nie doprowadzając siebie do lez, a tych wołała unikać.

- Wiedziałam, że oboje sobie poradzicie. Jesteś już wystarczająco dorosła, żeby zaopiekować się Alexem - tak brzmiało całe wyjaśnienie, jakiego była w stanie mi udzielić, gdy w końcu poczuła się na tyle silna, by odpowiedzieć na moje indagacje, w których pobrzmiwała nieukrywana wrogość.

Mogąc dziś spojrzeć na to wstecz, sądzę, że mama za-martwiała się również tym, że może zostać inwalidką, a nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której to my mielibyśmy się zajmować nią,

musząc poza tym radzić sobie z narastającą agresją taty. Jednak ani Alex, ani ja nie jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy na temat tego, jak poważny jest jej stan. Musiała uważać, że jeśli umrze, w sprawę zaangażowana zostanie opieka społeczna, która dopilnuje, by nie stało nam się nic złego. Spoglądając wstecz, nie dzieliłabym tego jej przeświadczenia.

- Takczy owak mam zamiar was opuścić, kiedy skoń-

czysz szesnaście lat - brzmiało kolejne jej zaskakujące oświadczenie, choć nie chciała wyjaśnić, co miała na myśli.

Nie wypytywałam o szczegóły, gdyż brzmiało to tak, jakby mówiła serio, a ja nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć więcej.

Wtedy rozumiałam to tak, że jeszcze raz targnie się na swoje życie, kiedy skończę szesnaście lat, ale może chciała przez to powiedzieć, że wtedy od nas odejdzie, co jednak jeszcze trudniej sobie wyobrazić. Temat nigdy już nie został

poruszony, jak wiele innych spraw

w naszej rodzinie. Trudno pojąć, w jak głębokiej musiała być depresji, jednak próba odebrania sobie życia była tak sprzeczna z jej charakterem, że jej stan musiał być naprawdę zły.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Wiedziałam tylko, że nie chcę, by odeszła. Pomimo mojego chojractwa przed ojcem w obecności mamy w gruncie rzeczy bardzo się go bałam i nie lubiłam przebywać z nim w domu sama, co było jedną z przyczyn, dla których miałam tak wysoką frekwencję w szkole.

O ile mnie pamięć nie myli, tylko raz byłam zmuszona zostać w domu w czasie zajęć lekcyjnych, kiedy miałam złamaną kość śródstopia i dosłownie nie byłam w stanie ustać na nogach, więc nie mogłam nawet pokuśtykać z mamą do jej pracy.

Musiałam przez kilka dni odpoczywać, nie wychodząc z domu, i przerażała mnie myśl, że tata zejdzie do kuchni, a ja wejdem mu w drogę, wkraczając na jego terytorium. Przebywanie z nim w domu sam na sam było źródłem maksymalnego dyskomfortu, ponieważ nigdy nie wiedziałam, co się stanie, jeśli przez przypadek go rozzłoszczę. Gdy więc spał u siebie na piętrze, zaopatryłam się w coś do picia i we wszystkie inne niezbędne mi rzeczy, żeby nie musieć wychodzić z mojego pokoju do czasu powrotu Alexa albo mamy.

Zawsze próbowałam uniknąć przebywania z nim sam na sam, ponieważ wiedziałam, jak bardzo mnie nienawidzi i jak bardzo potrafi być złośliwy. Dwa czy trzy razy, kiedy mama z jakiegoś powodu była poza domem, tata postanowił zrobić nam coś do jedzenia. Brzmi to tak,

jakby starał się być dobrym ojcem, tymczasem wyznawał

teorię, że powinniśmy jeść oliwę, i smażył potrawy w takich jej ilościach, że stawały się

niejadalne. Zdiagnozowano u niego wysoki poziom cholesterolu, on zaś uważał, że oliwa z oliwek pomoże mu uniknąć kolejnego udaru. Upierał się, żebyśmy przelknęli każdą ilość wszystkiego, co przyrządził, i stawał się bardzo agresywny, gdy widział, że zmuszamy się, żeby skończyć swoje porcje. Często martwiliśmy się, że może dosypał trucizny do jedzenia, i ten strach sprawiał, że każdy kęs stawał się udręką. Gdy posiłek był skończony, a ojciec na powrót zniknął w swym pokoju, my nadal siedzieliśmy na miejscach, czekając, aż coś nam się zacznie dziać. Jego gotowanie dla nas było taką rzadkością, że mieliśmy pewność, iż musiał się w tym kryć jakiś podstęp.

Czasami jego wybuchy złościwości przybierały formę zupełnie dziecinną. Na przykład jestem pewna, że gdy w mroźne zimowe dni otwierał wszystkie drzwi i okna, rozmyślnie chciał sprawić nam cierpienie tylko po to, żeby nam pokazać, że może to zrobić. Odrabiając lekcję, Alex i ja musieliśmy kulić się przy szafce do suszenia bielizny, próbując się rozgrzać.

Myślałam, że radzę sobie całkiem nieźle z problemami w domu, lecz w wieku mniej więcej dwunastu lat zaczęłam mieć obsesję na punkcie ciągłego mycia rąk i prowadzenia obliczeń w pamięci. Najbardziej lubiłam liczbę cztery - liczby parzyste zawsze były moimi ulubionymi, a zwłaszcza czwórka.

Postanowiłam myć ręce czterdzieści cztery razy dziennie, gdyż cztery razy mi nie wystarczyło, i zaczęłam swoje postanowienie wprowadzać w życie.

Wkrótce potem zwyczaj ten doprowadzał mamę do szału.

Ciągle kończyło nam się mydło, a moje ręce stały się czerwone i zaczęły mnie boleć z powodu szorowania, ja jednak czułam ulgę dopiero wówczas, gdy po raz czterdziesty czwarty danego dnia myłam ręce. Dopiero wiele lat później psychologowie zdiagnozowali to moje mycie rąk jako objaw zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych i orzekli, że przypuszczalnie jest ono rezultatem stresu z powodu wszystkich tych awantur i przemocy, których byłam świadkiem w domu.

Stres wynikający z życia pod jednym dachem z tatą musiał również wyniszczać mamę nie mniej niż fizyczne wyczerpanie wynikające z ciągłego życia w biegu, braku snu czy spożytych w pośpiechu posiłków. Istnieją granice wytrzymałości, po przekroczeniu których zaczyna się rozpad.

Jednak problemy, jakich nastroczał tata, oraz stres związany z codziennymi obowiązkami były jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Mama musiała się zmagać z jeszcze jednym przeciwnikiem, o czym wkrótce mieliśmy się przekonać.

Wkrótce po próbie samobójczej mamy zrobiłam coś naprawdę głupiego, usiłując ukraść ze sklepu kilka ubrań.

Naprawdę potrzebowałam trochę nowych ciuchów, a nie miałam śmiałości, by wspomnieć o tym mamie, wiedząc, jak będzie się czuła, mając świadomość, że nie jest w stanie zaspościć

wszystkich moich potrzeb, choćby nawet bardzo się starała. Dość już miała na głowie, więc pomyślałam, że sama rozwiążę ten problem. Masa dzieciaków

ze szkoły rozповідаła o podkradaniu rzeczy ze sklepów, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, i w chwili zamroczenia pomyślałam sobie, że to może ja jestem jakaś dziwna, skoro zawsze tak ciężko pracuję, żeby zarobić każdego pensa, i że może powinnam po prostu, tak jak wszyscy inni, wziąć sobie to, czego mi trzeba.

Musiał być ze mnie straszliwie nieudolny złodziejaszek

Dodatkowym moim obciążeniem były wyrzuty sumienia i serce, które waliło jak oszalałe, toteż natychmiast zostałam złapana i zabrana na posterunek policji. Policjanci zadzwonili do domu, żeby rozmawiać z mamą, ale odebrał tata i nie zareagował. Mogę sobie wyobrazić, jaką musiał mieć satysfakcję, odkrywszy, że zesłam na złą drogę i sprawiłam mamie tak spektakularny zawód. Musiał czuć bezbrzeżną radość, przekazując jej najnowsze wieści w chwili, gdy wróciwszy z pracy, przekroczyła próg domu.

Przez sześć godzin mama rozmyślnie nie pojawiała się na posterunku, żeby mnie zabrać do domu, każąc mi siedzieć samotnie w pustej celi i wsłuchiwać się w złowrogie wrzaski zgrai rozwścieczonych pijaków. Dobrze wiedziała, co robi, gdyż siedziałam tam jak struchłała, dygocząc ze strachu. Za nic w świecie nie powtórzyłabym popełnionego błędu. Jako dziewczyna, która zawsze musiała być we wszystkim pierwsza, stałam się oto niewydarzonym drobnym złodziejaszkiem z najniższego szczebla hierarchii przestępczej, pogardzanym przez strażników więziennych, menedżera sklepu i policjantów, którzy mnie złapali - a przy najmniej ja tak to widziałam.

Gdy w końcu pojawiła się mama, na jej widok poczułam radość, jakiej nigdy jeszcze nie zasnalam na widok kogokolwiek, mimo że była wściekła, nieźle dając mi się we znaki od momentu, gdy przekroczyła próg celi. W rzeczy samej, wrzeszczała tak głośno, że policjanci, przy zwyczajeni do widoku rozwydrzonych czternastolatków, myśleli, że to ja na nią krzyczę, i dali mi kolejną burę za to, że jestem ordynarna wobec własnej matki.

Gdy tylko znalazłyśmy się w domu i nieco ochłonęła, przestała na mnie krzyczeć i zaczęła obwiniać siebie, mówiąc, że nie jest dla nas wystarczająco dobrą matką - co sprawiło, że poczułam się jeszcze podlej z powodu tego, co zrobiłam.

Ponieważ wiele osób z mojego szkolnego rocznika regularnie kradło w sklepach, mój postępek nie wydawał mi się z początku niczym wielkim, teraz jednak jawił się jako koszmar.

Miałam poczucie, że poniosłam klęskę, sprawiając zawód zarówno jej, jak i samej sobie. O sprawie usłyszano w szkole, do której musieliśmy się wybrać razem, by rozmówić się z dyrektorem. Ponieważ z góry na dół miałam same piątki i nigdy wcześniej nie byłam w tarapatach, dyrektor był nieco zdziwiony i rozczarowany, usłyszawszy o tym, co zrobiłam.

- W domu wszystko w porządku? - spytał uprzejmie, oczywiście zakładając, że poza nagłym nieodpartym impulsem powiększenia własnej garderoby musi istnieć jakaś przyczyna mojego dziwnego zachowania. Nie zdążyłam odpowiedzieć choćby słowem, gdyż mama uprzedziła mnie, solennie zapewniając, że nie ma żadnych problemów, tak więc nie bardzo mogłam jej zaprzeczyć, co

wywołałoby wrażenie, że kłamie albo że jest złą matką.

Rozmowa ta mogłaby być dla niej dobrą okazją do wygadania się i wyjaśnienia, że mamy dość poważne problemy rodzinne z powodu zachowań taty i że ona sama już próbowała popełnić samobójstwo - ona jednak nawet wtedy się na to nie zdobyła; nie zdobyła się na rozmowę o sprawach osobistych. Wzięła na siebie całą winę za mój upadek, mówiąc dyrektorowi, że to jej wina i że jest nieudaczną matką, która poświęca nam za mało czasu. Wątpię, czy dyrektor dał się przekonać, ponieważ każdy wiedział, jak wiele dla nas robiła, ale nie wnikał w szczegóły.

Nie podjęto żadnych dalszych kroków, ja jednak w dalszym ciągu muszę płacić za swoją głupotę. Na policji udzielono mi reprimendy, która nadal wysłakuje w komputerze, ilekroć pojawiając się na rozmowie kwalifikacyjnej w sprawie pracy, mimo że powinna zniknąć z mojej ewidencji z chwilą, gdy osiągnęłam pełnoletność. Wciąż słyszę, że coś takiego nie może się zdarzyć - a przecież się zdarza. Tylko raz złamałam prawo i najwyraźniej już zawsze będzie mnie to prześladować.

Co się działo w głowie mamy, odkryliśmy dopiero wtedy, gdy nie mając innego wyjścia, musiała nam o tym powiedzieć.

Próba samobójcza była dla nas wielkim szokiem, a niedługo potem mama zmuszona była nam wyznać, że ma raka. Zanim to zrobiła, postanowiła sobie, że ani słowem nie poruszy tego tematu z nikim poza swoimi lekarzami. O wszystkim powiedziała Alexowi i mnie dopiero w dniu, w którym przyjęto ją do szpitala na operację usunięcia wykrytego w piersi guza.

- Idę dziś do szpitala na operację - oznajmiła po śniadaniu.

- Mam raka piersi. Przez kilka dni zostaniecie z Helen i Steve'em. Jeśli będziecie mieli jakies pytania, zerknijcie do tych ulotek

Wręczyła mi naręczę ulotek, a ja byłam zbyt osłupiała, by wybąkać cokolwiek poza pojedynczymi słowami. To wówczas po raz pierwszy się dowiedzieliśmy, że jest chora. Musiała odbyć szereg wizyt u lekarzy, zrobić wiele badań i testów ciągnących się przez ostatnie tygodnie i miesiące, a wszystko to udało jej się przed nami ukryć. Nie mieliśmy pojęcia o tym, od jak dawna wiedziała o raku, ani o tym, jak poważny może być jej stan, ale poznaliśmy w ten sposób kolejną przyczynę mogącą tłumaczyć, dlaczego była ostatnio tak nerwowa i wyczerpana. Nawet teraz poinformowała nas tylko o podstawowych faktach, nie rozwijając tematu. Nadal nie mówiła nam, co sądzi o swojej chorobie ani o ewentualnych prognozach. Nie wypowiedziała ani słowa pociechy, również i nam nie dała okazji, byśmy ją mogli pocieszyć. Coś takiego nie

przyśloby jej do głowy. Po prostu powiadomiła nas o faktach i dała kilka broszur, żebyśmy mogli sobie poczytać na wypadek, gdybyśmy chcieli dowiedzieć się czegoś więcej na temat raka piersi.

Mama nigdy nie okazywała zbyt wylewnie uczuć, więc Alex i ja również. Żałuję że tamtego ranka, gdy powiedziała nam o raku, nie przytuliłam jej, ale byłoby to sprzeczne z naszym wychowaniem. Nigdy nie przychodziłam do niej porozmawiać o swoich zmartwieniach. I tak zresztą nie potrafiłaby mnie pocieszyć; zawsze szukała praktycznych rozwiązań każdego problemu, dając porady w rodzaju: „nie marudź” albo „radź sobie sama”. Przypuszczam, że pracując tak wiele lat w zawodzie nauczyciela, wszystko widziała i wszystko słyszała, mając świadomość, że żadne z problemów dzieciństwa nie były tak poważne, jak się wydawały danemu dziecku. Mimo to byłoby nam miło, gdybyśmy od czasu do czasu mogli więcej porozmawiać o naszych uczuciach i troskach.

Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy tłumienie w sobie tylu emocji i nierozmawianie z nikim o własnych problemach mogło być jedną z przyczyn jej choroby. Alex i ja mieliśmy przynajmniej siebie nawzajem, kiedy chcieliśmy z kimś pogadać, by dać ujście emocjom, chociaż oboje wcześniej nauczyliśmy się od matki podchodzić z dystansem do wielu spraw.

Do swych szefów w szkole napisała tylko, że idzie na operację, informując ich o tym, jak długo nie będzie jej w pracy. Wszelkie wizyty u lekarzy i dentyków planowała zawsze na późniejszą godzinę, tak by w jak najmniejszym stopniu kolidowały z jej szkolnymi zajęciami, dokładnie tak samo postąpiła w przypadku operacji. Zostawiła im szczegółowy opis wszystkich zajęć w każdej z klas, w których uczyła, oraz planów awaryjnych przygotowanych dla mających ją zastąpić nauczycieli, którym przekazała też wszystkie swoje podręczniki. Zapewniła, że wróci do szkoły, gdy tylko będzie to możliwe. Zastanawiam się, czy nie obawiała się swej zbyt długiej nieobecności w pracy z powodu nadmiaru czasu na rozmyślania, jaki miała w ten sposób zyskać. Fakt, że próbowała się zabić,

sugeruje, że była na granicy depresji, czyhającej tylko, by ją obezwładnić, jeśli zbyt długo będzie przebywać na re-konwalescencji. Dopóki mama zajęta była swymi rutynowymi czynnościami wypełniającymi jej szczerne dzień, nie miała okazji rozmyślać nad tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa i jak beznadziejne wiedzie życie.

Zawsze przy wiązywała wagę wyłącznie do faktów i praktycznych stron danej sytuacji, ignorując wszelkie możliwe jej konsekwencje w sferze emocji. Nie pragnęła sympatii ani szczególnego traktowania; mogła mówić o rutynowej, lecz nieuniknionej wizycie u denty sty.

W pewnym sensie jej beznamiętne podejście do nowych wieści, skądinąd wstrząsających, pomogło Alexowi i mnie jakoś się z tym uporać. Choć byliśmy zaszokowani i przerażeni z powodu tego, co usłyszeliśmy, uznaliśmy, że skoro mama jest tak spokojna, więc i my nie mamy podstaw do nadmiernych zmartwień. Może operacja była zaledwie prostym zabiegiem, mówiliśmy sobie, jak zwykle wyruszywszy owego ranka razem do szkoły. W jej ustach wszystko to brzmiało tak niegroźnie i zwyczajnie, że gdy pod wieczór wybraliśmy się do niej do szpitala z

wizytą, zareagowaliśmy przerażeniem na widok wszystkich rurek i urządzeń wokół jej łóżka. I kiedy tak staliśmy, usiłując to wszystko ogarnąć, nagle do każdego z nas dotarło, że nasza mama przeszła znacznie poważniejszą operację, niż sądziliśmy. Ale wtedy było już za późno, zatem mogliśmy zacząć sobie wmawiać - zagłuszając w sobie rodzące się lęki czy wątpliwości - że mama wkrótce wyzdrowieje. Tak więc może jej postawa miała pewne zalety.

Następnego dnia pielęgniarki poprosiły nas, byśmy im pomogli wykąpać mamę, która nie była w stanie poruszać rękami z racji miejsca, w którym ją operowano i założono szwy. Cieszyliśmy się, otrzymując zadanie praktyczne i mogąc jej pomóc odczuć ulgę w cierpieniu, przeżyliśmy jednak wstrząs na widok dużej sieniej blizny biegnącej w poprzek piersi, a kończącej się pod pachą. Patrząc na tę bliznę, nie mogłam jakoś uwierzyć, że mama tak prędko odzyska swą dawną formę, jak obiecywała. Przez głowę przemknęła mi przerażająca myśl o tym, że rak może ją zabić, ale szybko odepchnęłam ją od siebie i zabroniłam sobie myśleć w ten sposób. Taka wizja była zbyt straszna, bym ją mogła rozważyć.

ROZDZIAŁ 7

ALEX

Nie mamy pojęcia, czy u mamy nastąpiłby nawrót raka, ani też, czy by ją to zabiło, ponieważ niespełna rok później tata ją zamordował. Wiemy, że po operacji poddała się leczeniu i rehabilitacji, nigdy jednak o tym nie mówiła, informowała nas jedynie o terminach wizyt u lekarza, tak byśmy mogli je uwzględnić w naszych planach i normalnie funkcjonować pod jej nieobecność. Nie mieliśmy pojęcia, czy lekarze uznali, że terapia działa czy też nie. Przypuszczam, że na tym etapie prawdopodobnie niczego nie wiedzieli. Jak zwykle nie zadawaliśmy мамie żadnych pytań; zresztą i tak nie wiedzielibyśmy, jak je formułować. Podejrzewam, że nie chcieliśmy wiedzieć, czy wieści są złe, i że woleliśmy myśleć, że mama czuje się dobrze - dopóki nie sygnalizuje, że tak nie jest. Oboje chowaliśmy głowę w piasek niczym rodzina strusiów.

Gdy tylko mama wyszła ze szpitala, od razu powróciła do życia, jakie zawsze prowadziła, więc i my postąpiliśmy tak samo. Kiedy znalazła się w domu, ponownie zaczęła spać na tapczanie na dole, mimo że był zbyt krótki, by mogła wygodnie się wyciągnąć, musiało być jej również bardzo niewygodnie, skoro miała szwy. W nocy jęczała przez sen z bólu, co działało tacie na nerwy, sprawiając, że wrzeszczał i kłął. Choć skarżył się, że mama hałasuje i zakłóca ciszę oraz burzy jego spokój, nie przyszło mu do głowy zaproponowanie, by spała w jego łóżku, nie zrobił też nic, by było jej wygodniej.

Strach przed wywołaniem jego gniewu był kolejnym powodem, dla którego starała się zachowywać jak najciszej bez względu na wszelki dyskomfort i niewygodę. Tata żywił do niej już wtedy taką nienawiść, że z radością pozwalał jej cierpieć, dopóki cierpiała bezgłośnie i mu nie przeszkadzała.

- Zajmij, proszę, łóżko kóregoś z nas - błagaliśmy ją oboje z Isobel. - Na tapczanie będzie nam wygodnie.

Ona jednak nie chciała o tym słyszeć. Najważniejsze były dla niej nasze postępy w szkole, a to oznaczało, że musimy się wysypiać, by rano na lekcjach być w dobrej formie. Na wszelkie możliwe sposoby mama poświęcała dla nas własne zdrowie, wygodę i szczęście, zdeterminowana, by zapewnić nam wszelkie możliwe szanse życiowego sukcesu. I tylko wtedy zgadzała się spać w łóżku kóregoś z nas, gdy nocowaliśmy w domu kóregoś z naszych przyjaciół.

Ale nawet mama zmuszona była pójść na pewne ustępstwa z powodu skutków operacji. Pozwalała, byśmy robili zakupy na kilka tygodni, gdyż nie miała tyle siły, żeby nosić ciężkie torby. Było to wszelako jedyne zaakceptowane przez nią zakłócenie naszej codziennej rutyny. W ów tydzień, w którym przeprowadzono operację, siedziała na tapczanie, robiąc notatki w podręcznikach szkolnych, które przywiozła z sobą do domu, zaś w następnym tygodniu wróciła na część zajęć, by jej uczniowie mieli jak najmniejsze zaległości w nauce.

Gdy dzisiaj patrzę wstecz, zastanawiam się, czy cały ten stres i troski, z którymi musiała się zmierzyć, przyczyniły się do tego, że zachorowała na raka. Pod koniec życia bardzo straciła na wadze. Stała się chuda jak patyk i wciąż robiła wrażenie zmęczonej. Podczas gdy dawniej dokładała starań, by wyglądać zgrabnie i schludnie, ilekroć wychodziła z domu, z czasem przestała się o to troszczyć, wkładając na siebie, co popadnie, i zupełnie nie dbając o wygląd. Zmaganie się z każdym kolejnym dniem najwyraźniej pochłaniało całą energię, na jaką było ją stać.

Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wydawała pieniądze na własne potrzeby, pomijając rzeczy absolutnie niezbędne. Chociaż jako kierowniczką sekcji nauk ścisłych musiała mieć przyzwoitą pensję, to jednak po dokonaniu opłat za wszystkie nasze zajęcia pozaszkolne nie zostawało jej już nic na ubrania ani na zbytki, takie jak kosmetyki czy wizyta u fryzjera. Musiała również nieprzerwanie zaopatrywać tatę w alkohol, który ten wlewał w siebie nieustannie, jak również spłacać kredyt, kupować jedzenie i płacić rachunki za benzynę.

Wydawało się, że codziennie przywoziła mu nową butelkę whisky, którą zabierał do pokoju, by w milczeniu ją tam opróżnić w alkoholowym otepieniu, w ukryciu przed światem.

Nie wiem, czy liczyła na to, że spełnianie wszystkich żądań taty sprawi, że stanie się

dla niej miłszy, czy też po prostu za bardzo się go bała, by mu się sprzeciwić. Może po prostu wierzyła, że jest to najlepszy sposób na zapewnienie sobie spokojnego życia. Być może w końcu stało się to jej nawykiem.

W domu też się nie przelewało. Nigdy nie mieliśmy żadnych nowych mebli ani nie malowaliśmy mieszkania. Nie byłoby nas stać nas na zapłacenie malarzowi, a nie mieliśmy na tyle czasu, by samodzielnie je pomalować. Mama starała się, by w domu było czysto i schludnie, o ile pozwalał jej na to czas, jednak nie marnotrawiła swych drogocennych środków finansowych na remonty. Każdy gram swej energii poświęcała sprawom zawodowym i naszej przyszłości, stopniowo wyniszczając samą siebie. Prócz tego, że codziennie musiała opłacać koszty związane z własnymi dojazdami, musiała również utrzymywać samochód taty i dodatkowo regulować domowe rachunki. Toteż nie zostawały jej żadne dodatkowe pieniądze na smakołyki ani drobne przyjemności.

Nawet gdy było oczywiste, jak bardzo tata jej nienawidzi i jak złe stały się stosunki między nimi, mama w dalszym ciągu starała się mu dogodzić. Nadal kupowała mu prezenty na Boże Narodzenie i na urodziny, mimo że on nigdy nie odwdzięczał

się tym samym i nigdy ani słowem jej nie podziękował. Sądzę, że im bardziej starała się go zadowolić, tym bardziej on nią pogardzał. Im bardziej był od niej uzależniony, tym zacieklej czuł nienawiść.

Tata bezustannie testował nowe sposoby uprawiania polityki „dziel i rządź”, próbując sprawować nad nami kontrolę. Telefon był jedną z jego broni. Chcąc zrobić na złość Isobel i mamie,

zainstalował telefon w mojej sypialni, a potem założył zamek w jej drzwiach, żeby żadna z nich nie mogła się doń dostać bez mojej lub jego zgody. Było to głupie i bezsensowne, ale żadne z nas nic nie powiedziało, nie chcąc ryzykować kolejnej awantury.

Nasz pies Alfie nienawidził taty tak samo jak my, zawsze chował się pod stół, ilekroć słyshał na schodach jego kroki.

Nauczył się nawet reagować strachem na dźwięk jego imienia -

Bert - czym prędzej kryjąc się, gdy w jego obecności wypowiedziano je na głos. Jeśli jednak mama, Isobel czy ja przebywaliśmy w pokoju, do którego potem wszedł tata, Alfie mobilizował całą swą psią odwagę i stanąwszy przed nami, warczał, ostrzegając, że nie pozwoli nas zaatakować. Tata nienawidził go za to; wołałby również i jego kontrolować, zwracając go przeciw nam.

- Zamierzam od tej pory trzymać tego psa w moim pokoju

- groził po każdej takiej scenie. - Wyszkołę go, żeby was atakował.

Nigdy jednak, rzecz jasna, tego nie zrobił, gdyż tak naprawdę nie chciał przez cały czas mieć Alfiego u siebie, więc zamiast tego zaczął go drażnić i terroryzować tak samo jak nas.

Przynosił do domu fretki, które trzymał w szopie, i zachęcał je, żeby atakowały Alfiego, usiłując w ten sposób dać mu odczuć, kto rządzi w domu, tak jakby Alfie tego nie wiedział. Tata uwielbiał fretki i pozwalał im wpełzać do rękawów swych ubrań albo biegać po domu, gdyż wtedy szczypały nas w pięty.

Choć jednak terroryzował Alfiego, nie zdołał całkiem złamać jego ducha. Czasami, gdy Alfie szczególnie go zdenerwował, wiązał go na łańcuchu za

domem i zaczynał okładać żelaznymi sztachetami bądź

czymkolwiek innym, co wpadło mu w ręce. Potem Alfie pisał z bólu, a jego ciało okrywały rany.

Na taki widok Isobel i mnie ścisnęło się serce, lecz przez te wszystkie lata nie zdobyliśmy się na odwagę, by zaprotestować, w obawie, że wściekłość ojca zwróci się przeciwko nam. Jednak z biegiem lat stawiliśmy się coraz odważniejsi i coraz bardziej wrzał w nas gniew. Pewnego razu, stwierdziwszy, że Alfie znów został skuty łańcuchem i zbity, byliśmy tak rozwścieczeni, że poszliśmy do garażu i wykradliśmy żelazne sztachety. Były tak ciężkie i przerażające, że fakt ten dodatkowo nas rozwścieczył i na kilka minut zupełnie straciliśmy całe nasze opanowanie.

Pobiegliśmy z nimi na piętro i zaczęliśmy nimi walić do drzwi sypialni taty, wrzeszcząc i złorzecząc. Nie byliśmy pewni, czy jest w środku, choć zazwyczaj był. Nigdy nie ośmielilibyśmy się podjąć próby wyważenia drzwi, które zamykał na klucz. Na szczęście dla nas

nie chciało mu się zareagować na naszą prowokację; może czuł satysfakcję na myśl, że w końcu tak nam dopiekl, iż wywołał naszą skrajną reakcję.

Zawsze ilekroć istniała groźba, że podniesiemy bunt, mama próbowała nas uspokoić. Szukała sposobów, by zapobiec konfrontacji. Tym razem nasz gniew trwał jeszcze przez kilka minut, po czym odzyskaliśmy rozsądek i ochłonęliśmy, ukrywając sztachety przy naszych łóżkach na wypadek, gdyby tata spróbował zaatakować nas w nocy. Sądzę, że chcieliśmy po prostu narobić hałasu i dać wyraz temu, że jesteśmy nieszczęśliwi, nie mając w gruncie

rzeczy zamiaru włamywać się do jego pokoju. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby drzwi puściły lub gdyby tata je otworł

i stawil nam czoło. Oboje wiedzieliśmy, że jego wybuchy agresji podówczas się nasiliły.

Wyobrażam sobie, że kiedy pozostali członkowie rodziny przebywali poza domem, Alfie był bity i kopany, my zaś nigdy się o tym nie dowiadaliśmy. Myślę, że czasem nieszczęsne zwierzę otrzymywało porcję razów tak naprawdę przeznaczonych dla mamy i Isobel. Ilekroć Alfie warknął w ciągu dnia, co zdarza się większości psów od czasu do czasu, dźwięk ten budził tatę, który schodził wówczas na dół, by coś z tym zrobić. Nigdy nie zastanowił się, na co Alfie może warczeć; starał się tylko strachem wymóc na Alfie, by jak najprędzej się uciszył. Gdy byliśmy w domu, sami staraliśmy się go uspokoić, w obawie, że tata dostanie szału i zaatakuje nas albo psa. Bezustannie też nasłuchiwaaliśmy, czy przypadkiem nie schodzi na dół.

Sądzę, że tak jak to bywa w przypadku ludzi, również i niektóre psy są urodzonymi ofiarami. Alfie był niewątpliwie jedną z nich. Był najbardziej potulnym ze zwierząt, zawsze napastowanym przez inne psy, gdy szliśmy z nim na spacer, co często kończyło się wizytą u weterynarza i zakładaniem mu szwów po walce z innym psem. Naszym głównym zmartwieniem po powrocie ze szkoły było zachowywanie ciszy w domu, tak by nie przeszkadzać tacie, jednak Alfie był

tak podekscytowany naszym widokiem po całym dniu samotności, że zaczynał szczekać i musieliśmy czym prędzej go uciszać na wypadek, gdyby w domu był tata.

Bywały dni, kiedy zdarzało nam się zapomnieć kluczy wśród porannej pośpiesznej krzątania i kiedy po południu wracaliśmy do domu, dzwoniliśmy do drzwi, by dostać się do środka, jednak tata zupełnie nas ignorował. Czekaliśmy na zewnątrz, dopóki nie wróciła mama, żeby otworzyć nam drzwi, albo dopóki nie udało nam się znaleźć otwartego okna, przez które moglibyśmy wleźć do domu niczym włamywacze. W

jednej z takich sytuacji, po wielokrotnym dzwonieniu dzwonkiem, Isobel i ja zajrzeliśmy do domu przez szczelinę skrzynek pocztowej i zobaczyliśmy, że tata siedzi w kuchni, udając, że nas nie słyszy. Tak jakby chciał nam dać nauczkę z tego czy innego powodu.

Tak jak i my, również Alfie zdawał się cierpliwie znosić wszelkie akty przemocy ze strony taty, aby zapewnić sobie w miarę spokojne życie, lecz w końcu tata przebrał miarę, a stało się to w

dniu, gdy wreszcie stawilem mu czoło. Nie przypominam sobie, czym konkretnie Alfie go zdenerwował, lecz cokolwiek to było, w rezultacie tata kilka razy zdzielił go po głowie dużą ciężką misą, by „dać mu nauczkę”. Byłem w tym czasie w pokoju, obserwując wszystko z przerażeniem, gdy Alfie w końcu zareagował. I gdy tata ponownie podniósł

rękę, by jeszcze raz go uderzyć, pies skoczył i mocno go ugryzł, wyszarpując mu duży kawał ciała.

Wiedziałem, że taki akt niesubordynacji może tylko popchnąć tatę do jeszcze większej brutalności, i zanim zdołałem się powstrzymać, wrzasnąłem na niego, woląc raczej zaryzykować ściągnięcie jego gniewu na własną głowę, niż oglądać kolejny akt przemocy wobec psa.

- Zostaw, do cholery, w spokoju tego psa! - ryknąłem i ku własnemu zdumieniu stwierdziłem, że tata przestał go bić.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi na myśl, że mógłbym mieć jakikolwiek wpływ na jego zachowanie. Może i zaoszczędziłem tego dnia Alfiiu dalszych cierpień, jednak od tej chwili tata postrzegał mnie jako jednego ze swych wrogów. Nie byłem już potencjalnym sojusznikiem, którego mógł wykorzystać i zmanipulować w wojnie z pozostałymi.

Skoro nie mógł mnie kontrolować ani uczynić swym poplecznikiem, zapragnął mnie zniszczyć, tak jak chciał

zniszczyć mamę i Isobel. Przekroczyłem wyznaczoną mi granicę.

ROZDZIAŁ 8

ISOBEL

Rankiem owego dnia, w którym miała zginąć, mama zasnęła. Nie sądzę, by kiedykolwiek korzystała z budzika, zawsze polegając na zegarze, którym było jej własne ciało i który budził ją w odpowiednim momencie w ciągu lat podlegania tej samej rutynie. Najwyraźniej im bardziej wycieńczony stawał się jej organizm, instynkt ten działał z coraz większym trudem, zwłaszcza odkąd zachorowała na raka piersi. Owego piątkowego poranka, jedenastego stycznia 2002

roku, instynkt zawiódł ją zupełnie. Poddała się czemuś, co musiało być nieodpartą potrzebą odpoczynku, i kiedy zeszałam na dół, wciąż głęboko spała na swym tapczanie.

Jak zwykle zajęta byłam planowaniem pozostałej części dnia, przygotowując się do wyjścia z domu, zastanawiając się, co muszę zabrać ze sobą i dokąd muszę pójść. Pamiętałam, że po szkole mam lekcję gry na fortepianie, wiedziałam też, że muszę dotrzeć na nią sama,

gdyż mama nie wróci na czas, by mnie podwieźć. Nie był

to problem. Miałam piętnaście lat i robiłam to już tysiące razy.

Jeśli wiedziała, że z jakiegoś powodu wróci z pracy wcześniej, proponowała, że mnie podrzuci, jednak tego ranka nic nie powiedziała, pospiesznie krzątając się z zaczerwienionymi oczami, gromadząc swoje książki i wkładając na siebie co popadnie. Nie było powodów do przypuszczeń, że po powrocie zastanę ją w domu. Musiało się wydarzyć coś nieoczekiwanego, zmieniając jej plany tego dnia. Może był to zmieniony termin wizyty w szpitalu.

Rutynowe zajęcia szkolne odbyły się swoim zwyczajnym trybem: lekcje jak co dzień przeplatane były zajęciami towarzyskimi. Nie utkwiło mi w pamięci nic, co ten akurat dzień szkolny odróżniałoby od setek innych.

Owego popołudnia, gdy byłyśmy gotowe do wyjścia do domu, razem z koleżanką Kariną odkryłyśmy, że zniknęły nasze stroje gimnastyczne. Trzymałyśmy je w naszym kąciaku na półce w szatni, gdzie ktoś najwyraźniej myszkował i je stamtąd usunął. Nie było to nic nadzwyczajnego - ale wywołało moją irytację: bez stroju nie mogłam pójść do domu, gdyż potrzebowałam go na weekend. Musiałyśmy więc razem przeszukać szatnie, póki ich nie znalazłyśmy. Było to frustrujące, ale podobne rzeczy wciąż zdarzają się w szkole.

W trakcie poszukiwań rozmawialiśmy na różne tematy z nauczycielem wychowania fizycznego. Nie pamiętam szczegółów, ale przypominam sobie, że w pewnej chwili powiedziałam: „Moja mama wkrótce umrze”.

Już wcześniej wspominałam o swoich obawach zwią-

zanych ze stanem mamy moim szkolnym nauczycielom, którzy nawet kiedyś wezwali ją, by o

tym pomówić, w obawie, że mogą mnie trapić jakieś głęboko ugruntowane niepokoje i lęki.

Mamie udało się sprawić, że nauczyciele zlekceważyli moje obawy. Zawsze wywoływała u nauczycieli wrażenie, że nie ma powodu do niepokoju. Była w tym naprawdę dobra, umiała zadbać o to, by powszechnie sądzono, że w naszej rodzinie wszystko jest w najlepszym porządku, choć oczywiście tak nie było. Nie wiem, co mnie skłoniło do wygłoszenia w owym dniu owego oświadczenia - czy była to próba samobójcza matki, jej operacja czy też zapowiedź, że zostawi nas, gdy tylko skończę szesnaście lat. Być może podświadomie przygotowywałam na to samą siebie, próbując przy wyknać do tej myśli na wypadek, gdyby zdarzyła się któraś z tych rzeczy.

Z pewnością nie oczekiwałam, że mama zostanie zabita, nie miałam też pojęcia, że moje słowa wkrótce okażą się prorocze.

Poszukiwanie stroju gimnastycznego sprawiło, że nieco później niż zwykle opuściłam budynek szkolny, nadal jednak miałam wystarczającą ilość czasu, żeby wrócić do domu i odrobić lekcje przed wyjściem na naukę gry na fortepianie, więc nie spieszyłam się specjalnie, gdy zmierzając do domu, przechodziłam przez główną jezdnię.

Skrzyżowanie, na którym skręciłam w naszą przecnicę, dzieliło od naszego domu około ośmiu innych domów, a na całej ulicy roilo się od wozów policyjnych, ambulansów i ludzi w mundurach uwijających się tak, jakby mieli tu do załatwienia jakąś niezwykle ważną i pilną sprawę. Ponieważ tylu ich było, z początku nie mogłam stwierdzić, na którym domu koncentrowały się ich działania, jednak instynkt podpowiedział mi, że prawdopodobnie miało to jakiś związek z nami - bo zawsze tak było. Ilekcóż coś się działo na ulicy, zazwyczaj dotyczyło taty. „Co zrobił tym razem?“, zaczęłam się zastanawiać. Czyżby się powiesił, czy m zawsze groził? Nie miałam czasu, by logicznie rozumować i zdać sobie sprawę, że zgromadziło się zbyt wielu ludzi, by mogła to być po prostu próba samobójcza. Nie było też pomp strażackich, więc przy puszczałnie nie podpalił domu, czy m również regularnie nas straszyl.

Idąc dalej, zauważyłam, że mały czerwony samochód mamy marki Nova, którym zastąpiła swoje wcześniejsze auto marki Metro, stoi zaparkowany koło domu. Zastanowiło mnie, że mama jest już w domu. Z pewnością ani słowem nie wspomniała rano, że tego dnia wróci wcześniej, gdyż zapamiętałabym to. Zrobiło mi się nieswojo i poczułam narastający niepokój. Może to zbiorowisko ludzi miało z nią coś wspólnego? Nie mogło chodzić o bijatykę ani próbę samobójstwa, gdyż musiało to być coś poważniejszego, sądząc po tym, ilu ludzi kręciło się wokół. Wśród policjantów i chodzących po ulicy pracowników medycznych zaczęłam rozpoznawać twarze sąsiadów. Zbliżając się do ogródka przed domem, uświadomiłam sobie, że każdy patrzy na mnie, jakby m miała coś wspólnego z tym, co się wydarzyło. Wyraz twarzy gapiów był dziwny - była to mieszanina ciekawości, sympatii i przerażenia. Miałam wrażenie, że będę musiała odbyć bardzo długą drogę, zanim w końcu się dowiem, co się stało.

Kiedy wreszcie dotarłam do ogródka przed naszym domem, zobaczyłam Alexa siedzącego na murku z typowym dla niego wyrazem twarzy, na której malowały się: cierpliwość, spokój i lekkie zmieszanie. Otaczali go policjanci, którzy najwyraźniej starali się nie dopuścić, by wyszedł na

ulicę, choć on sam nie okazywał w żaden sposób, że chciałby dołączyć. Gdy z walącym sercem podeszłam bliżej, jeden z wozów policyjnych odjechał od krawężnika. Na jego tylnym siedzeniu zobaczyłam człowieka, ale dopiero później uświadomiłam sobie, że to mój tata. Wtedy jednak, przeciskając się przez tłum gapiów i policjantów, by dotrzeć do domu, musiałam być w stanie swoistego szoku. Drzwi domu były lekko uchylone, ale nie mogłam nic zobaczyć przez szparę.

- Gdzie jest pies? - zapytałam, nie rozumiejąc, dlaczego Alfie nie szczeka na tych wszystkich obcych ludzi dokonujących inwazji na jego terytorium. - Gdzie mama? Dlaczego jest tutaj jej samochód?

Każdy próbował zagrozić mi drogę, usiłując uniemożliwić

mi dotarcie do domu i przekonanie się na własne oczy, co się dzieje, nikt jednak nic do mnie nie mówił ani nie odpowiadał na żadne z moich pytań. Ludzie po prostu gapili się na mnie, a gdy nasze oczy spotykały się, z zakłopotaniem odwracali głowy. Przypominało to koszmar i ogarniała mnie coraz większa złość i frustracja, aż w końcu ryknęłam na jednego z policjantów, rozmyslnie

tarasującego mi przejście. Policjant złapał mnie za nadgarstek, zanim zdążyłam dzielić go pięścią.

- Jeśli to zrobisz, będziemy zmuszeni zabrać cię do wozu policyjnego - ostrzegł mnie. - A przecież nie chcielibyśmy zostać do tego zmuszeni, prawda?

- Gdzie jest pies? - dopytywałam się, czując narastającą złość wobec podobnego traktowania.

- W kuchni - odparł policjant, choć, rzecz jasna, nie mógł

tego wiedzieć.

- W kuchni nie ma żadnych drzwi - warknęłam. - Nie ma go w kuchni, bo gdyby był, to już by wybiegł na zewnątrz.

Niech pan mnie nie okłamuje.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ci ludzie próbowali mnie okłamać. Dlaczego nikt po prostu mi nie wyjaśnił, co się stało w moim domu? Gdzie była mama? Dlaczego nie była w pracy? Dlaczego stał tu jej samochód? Dlaczego nie pozwalano nam przejść? Wszystko to nie miało sensu. Dlaczego Alfie nie hałasował jak zawsze? Zazwyczaj, gdy był w jadalni, trzymany był za małą metalową bramką zainstalowaną przez tatę. Nie uświadamiałam sobie, że policja już wcześniej ją zabrała, gdyż była mocno wgnieciona, co, jak sądzono, miało związek z ewentualną walką, do której mogło dojść w domu. Policja musiała zamknąć drzwi kuchni, żeby Alfie z niej nie wybiegł.

Być może był przestraszony z powodu całego zamieszania wywołanego przez tylu obcych ludzi,

ich głosy i hałas, jaki robili. Alfie był przypuszczalnie równie przerażony i zagubiony jak Alex i ja, i właśnie dlatego nie czekał. Im więcej zadawałam pytań, tym bardziej upoczywie je lekceważono, toteż

byłam coraz bardziej zdezorientowana i rozdrażniona, gdyż chciałam uzyskać jednoznaczne odpowiedzi. Dlaczego ci wszyscy ludzie mnie okłamywali? Dlaczego nikt nie chciał mi powiedzieć, co się wydarzyło?

Najbardziej zależało mi na tym, by dostać się do domu. Z

kolei policjantom najbardziej zależało na tym, by mi to uniemożliwić, tak by mogli w dalszym ciągu wdrażać swoje procedury, o których zresztą nie miałam pojęcia. Alex wciąż siedział na murku, szeroko otwartymi oczami chłonąc to wszystko, co się działo wokół. Nie wydawało się, by lepiej niż ja rozumiał, o co chodzi. Nasze spojrzenia spotkały się, lecz nie odezwaaliśmy się do siebie ani słowem.

Policjanci chyba zaczęli się modlić, żeby ktoś wkrótce znalazł funkcjonariusza od kontaktów z rodziną, by nie musieli wysłuchiwać więcej moich pytań i mogli pozbyć się nas obojga ze sceny zbrodni. Oczywiście sami nie wiedzieli, co mają z nami zrobić - co nam powiedzieć, a czego nie mówić. Być może obawiali się, że gdy nam wyjaśnią, co zaszło, zrobią to w niewłaściwy sposób, pogłębiając tylko naszą traumę, tak więc woleli nie robić nic, ignorując nawet naszą obecność i pozostawiając nas w koszmarnym stanie niewiedzy.

Ktoś spytał nas, czy mamy krewnych, z którymi można by się skontaktować w naszej sprawie, a wtedy poczułam przypływ w paniki. Było to pytanie zadawane przez policję, gdy ktoś umarł.

- Mam tylko chrześnych - odparłam, podając im numer telefonu Helen i Steve'a. - Nie znamy żadnych naszych krewnych.

Po upływie czasu, który wydał nam się wiecznością, ktoś musiał wpaść na pomysł odprowadzenia nas pod eskortą na drugą stronę ulicy, do domu sąsiada mieszkającego dokładnie naprzeciwko. Dzieci owych ludzi chodziły do tej samej szkoły co my, choć nie znaliśmy ich zbyt dobrze. Zdaje się, że ich rodzice byli nauczycielami, tak jak nasza mama. Gdy dzieci odesłano na piętro, nas pozostawiono w salonie, skąd mogliśmy gapić się przez okno na ulicę, obserwując to, co się działo wokół naszego domu. Mielśmy wrażenie, jakbyśmy oglądali film pokazujący życie kogoś innego, niemające nic wspólnego z naszym życiem.

- Co się stało? - spytałam Alexa, gdy zostaliśmy całkiem sami.

- Kiedy wróciłem, był tylko jeden policjant - wyjaśnił. -

Nie pozwolił mi wejść do środka, potem tata otworzył drzwi, a policjant powiedział: „blue murder” - a przynajmniej tak mi się wydawało - po czym zapanowało zupełne szaleństwo. Wzięli tatę do wozu policyjnego. Chciał mi coś powiedzieć, ale mu nie pozwolili.

Wtedy uświadomiłam sobie, że to właśnie tatę odwożono, kiedy szłam ulicą.

- Dlaczego mama tak wcześnie wróciła do domu? - zadałam pytanie tyleż Alexowi, co samej sobie. - Nie powiedziała mi o tym. A zrobiłaby to. Poinformowałaby mnie, że będzie mogła mnie podwieźć na lekcję fortepianu.

Alex wzruszył ramionami. Powiedział mi wszystko, co wiedział. Nie należy do tych, którzy wiele gadają, nie mając do powiedzenia nic konkretnego czy użytecznego. Każde z nas pogrzyżyło się w swoich myślach.

- Co znaczy blue murder? - zapytałam po chwili, lecz Alex nie miał pojęcia, tak samo jak ja. Potem wyartykułowałam na głos odrażające podejrzenie, które już wcześniej przyszło mi do głowy. - Myślisz, że on ją zabił?

Alex wpatrywał się we mnie bez słowa. Oboje byliśmy w stanie szoku, niczego nie rozumiejąc, poza tym że ewentualność taka nie była aż tak niedorzeczna, by można ją było z góry wykluczyć. Poniekąd już wcześniej przeczuwałam, że mama nie żyje, a przynajmniej że jej stan jest krytyczny. Ale jeśli tak by było, to dlaczego nikt nam o tym nie powiedział?

Ktoś wszedł do salonu i poprosił, żebyśmy się odsunęli od okna. Była to kolejna z rzeczy, które wtedy wydały nam się bez sensu, lecz patrząc wstecz, przypuszczam, że właśnie w owej chwili wynoszono ciało mamy i nie chciano, byśmy to widzieli.

Minęła prawie godzina, zanim znaleziono i przypro-wadzono do nas, do saloniku w domu sąsiada, policjantkę odpowiedzialną za kontakty z rodziną. Natychmiast zaczęłam bombardować ją pytaniami, dając wyraz wszystkim moim obawom i frustracjom, ona jednak powiedziała, że zanim odpowie, wołałaby zacząć na przybycie naszych rodziców chrześtnych. Zdania nie zmieniła, więc siedzieliśmy we trójkę w pokoju, obserwując rozgrywające się na zewnątrz sceny i czekając na Helen. Gdy odjechały karetki i niektóre wozy policyjne, ulica stopniowo zaczęła się wyludniać. Nasz dom ogrodzono taśmą policyjną i strzeżono go jako miejsce zbrodni. Było oczywiste, że raczej nie wydarzy się już nic, co wymagałoby

obecności tylu ludzi. Czulałam się tak, jakby zaczął opadać pył na gruzach naszego dotychczasowego życia, którym przypatrywaliśmy się w milczeniu, nadal nie mając pojęcia, co się stało, i czekając, aż ktoś nam powie, co mamy teraz robić.

Wiem, że zabrzmiało to niedorzecznie, ale byłam w stanie myśleć tylko o tym, że miałam być teraz na lekcji fortepianu.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam zadzwonić do nauczycielki muzyki, ale nie pamiętałam numeru jej telefonu.

Kiedy dotarła do nas Helen, towarzyszyła jej przyjaciółka; najwyraźniej były właśnie na spacerze z psami, gdy zadzwoniono z policji. Nie łączyła nas relacja uspra-wiedliwiająca

padanie sobie w objęcia, więc Helen po prostu usiadła na sofie obok nas i powiedziała nam tyle, ile jej samej powiedzieli policjanci.

- No i w końcu to zrobił - rzekła Helen, a przy najmniej tyle usłyszałam, będąc w stanie szoku.

- Zrobił to?

Skinęła głową, a ja zrozumiałam to tak, że tata zaatakował

mamę, lecz wciąż nie byłam pewna, czy mama żyje, czy jest martwa. Może nie dopuszczałam do siebie znaczenia jej słów, a może Helen zakładała, że rozumiem, co ma na myśli.

Powiedziała więcej, ale ani ja, ani Alex nie zapamiętaliśmy z tej rozmowy niczego poza tym.

Nie powiem, żeby panowała atmosfera zaskoczenia

-chyba raczej atmosfera rezygnacji. Tak jakby wszyscy się spodziewali, że coś takiego prędzej czy później i tak się wydarzy. Było już tyle gróźb, upłynęło tyle lat wypełnionych nienawiścią i gniewem. Nikt nie płakał. Po prostu otepiali siedzieliśmy w milczeniu, usiłując oswoić się z najnowszymi wieściami, nie wiedząc, co powiedzieć, nie mając pojęcia, jaka powinna być nasza reakcja. Helen wymieniła kilka słów z policjantką od kontaktów z rodziną, po czym poinformowała nas, że zabiera nas do swojego domu. Również i to nas nie zdziwiło. Mama zawsze mówiła, że jeśli coś jej się stanie, Helen i Steve zabrają nas do siebie. Wcześniej sądziłam, że ma na myśli samobójstwo albo śmierć na raka, ale nie TO. Teraz jednak najwyraźniej nadszedł moment, kiedy w naszym życiu miało ulec zmianie.

Samochód Helen stał zaparkowany na ulicy i kiedy wyszliśmy z domu, czując na twarzach wieczorny chłód, myślałam tylko o tym, że chciałabym się dostać do naszego domu, by na własne oczy zobaczyć, co tam się stało. Uznałam, że jest to nie w porządku, iż nie uczestniczymy w tym, co się dzieje z naszą mamą - cokolwiek to było. Nie podobało mi się, że obcy ludzie przejmują kontrolę nad naszym dotychczasowym życiem i próbują nas go pozbawić. W

naszym domu mieszkaliśmy przez całe życie. Zostało tam całe nasze mienie. Również tam umarła czy też została poważnie raniona nasza mama. Chciałam na własne oczy zobaczyć, co się stało. Nie odezwałam się ani słowem i czekałam na nadarzącą się sposobność, rozglądając się ukradkiem na wszystkie strony i obmyślając najlepszy sposób uwolnienia się od otaczających nas dorosłych. Gdy zbliżyliśmy się do samochodu, wyrwałam się i ruszyłam pędem na drugą stronę ulicy. Nie miałam tak naprawdę żadnego planu, ale wiedziałam, że z chwilą

gdy znajdę się w samochodzie Helen, nie będę miała kolejnej szansy. Jednak złapali mnie policjanci pozostawieni, żeby pilnować domu, i choć się szamotałam i wrzeszczałam na nich, nie byłam w stanie się oswobodzić.

W środku musieli być wszędzie pełno krwi, a policjanci byli zdeterminowani, by nie dopuścić,

żebym wdarła się na miejsce zbrodni. Ktoś mocno złapał mnie za rękę i wcisnął na tylne siedzenie wozu policyjnego obok Alexa, zamykając drzwi na zamek, tak bym nie mogła wyskoczyć na zewnątrz, zanim odjedziemy. Krzyczałam, żeby mnie puścili. Byłam wściekła, że inni ludzie przejmują kontrolę nad moim życiem, ale nie wiedziałam, jak mogę temu zapobiec. Choć jak na swój wiek byłam pod wieloma względami samodzielna, to jednak miałam tylko piętnaście lat, a poza tym Alexa pod opieką.

Mama zawsze mówiła, że jest pewna, że kiedy nas zostawi, będę umiała się nim zaopiekować, tak więc było to ważniejsze niż wszelkie inne sprawy. Musiałam dopilnować, by nas nie rozdzielili. Teraz mieliśmy tylko siebie.

ROZDZIAŁ 9

ALEX

Policjanci zajmujący się wsparciem i ochroną rodziny poszli z nami do domu naszych rodziców chrzestnych i zanim wyszli, odbyli z nami krótką rozmowę. Między innymi wyjaśnili nam, że nazajutrz będziemy musieli porozmawiać ze śledczymi. Nie potrafię sobie przypomnieć, co jeszcze nam mówili, a czego nie powiedzieli, owego wieczora, gdyż, jak sądzę, byliśmy w stanie szoku. Czulem się, jakbym był pod działaniem znieczulenia; jakby wszystko to działo się gdzieś w oddali. Wszystkie nawyki, cała rutyna związana z naszym życiem nagle legły w gruzach i oto straliśmy się oswoić z tym, co już się wydarzyło i co jeszcze się wydarzy. Wcześniej są-

dziłem, że dobrze wiem, co będę robić przez cały weekend, a teraz wszystko się zmieniło.

Helen robiła, co mogła, by wydawało się nam, że jesteśmy parą zwyczajnych gości, którzy zostają u niej na noc. Skupiła się na szczegółach życia domowego; na tym, kto gdzie będzie spał, i co chcielibyśmy zjeść na kolację.

Pomogło to zagadać nasze milczenie wynikające z naszej niezdolności zrozumienia, czego się od nas oczekuje. W końcu wyznaczono mi miejsce na łóżku piętrowym w pokoju najmłodszego syna Helen i Steve'a, których córka poszła do przyjaciółki, więc Isobel mogła przemocować w jej sypialni.

Helen i Steve byli wówczas dobrze sytuowani, ciężko na to pracując. Mieli czworo dzieci - trzech chłopców i dziewczynkę.

Najstarsze z nich studiowało na uniwersytecie. Ich dom bardzo różnił się od naszego - był większy i bardzo wygodny.

Znajdowało się w nim pięć sypialni, a leżał w znacznie miłszej okolicy niż nasz, ale i tak wolelibyśmy przebywać teraz w naszym własnym domu, z tatą kryjącym się w swej sypialni na piętrze. Niepewność jest emocją wysoce nieprzyjemną.

Choć o nic nie prosiliśmy, później pojawił się lekarz, próbując nas przekonać do wzięcia jakichś pigułek nasennych, lecz uznaliśmy je za zbyt ciężkie. Nigdy nie lubiliśmy zażywać niczego w tym rodzaju, a sądząc z opisu, były one chyba strasznie mocne i niezbyt zdrowe. Nie chcieliśmy zostać zwaleni z nóg przez cały kolejny dzień, skoro chcieliśmy podjąć próbę zrozumienia, co się stało. Odniosłem wrażenie, że każdy szczegół naszego życia zaczynał być kontrolowany przez obcych ludzi, podczas gdy my pragnęliśmy trzymać rękę na pulsie, by móc komunikować, co chcemy, a czego nie chcemy robić, i by móc w pełni zrozumieć, co się stało z mamą.

Pamiętam, że chciałem jedynie być blisko Isobel; czulem się bezpieczniejszy w jej pobliżu.

Ponieważ nie pozwolono nam wejść do naszego domu, mieliśmy tylko te ubrania, które akurat nosiliśmy, oraz kilka innych, które przynieśliśmy ze szkoły do domu. Helen przekopała wszystkie

szafy i wydobyla dla mnie kilka ubrań swego syna (co stanowiło pewien problem, gdyż byłem o jakieś cztery cale wyższy od niego), jednak po przeszukaniu całego domu dla Isobel znalazły się jedynie bardzo dziewczęce ciuszki, tymczasem ona sama zawsze wolała się nosić jak chłopczyca. Przeżona różowymi fal-baniastymi kieckami, które jej oferowano, zadzwoniła do jednej z koleżanek z zapytaniem, czy nie mogłaby pożyczyć czegoś, co bardziej by jej odpowiadało.

Nie pamiętam, jak spałem owej nocy, więc przypuszczam, że musiało być w porządku nawet bez pigulek

Prawdopodobnie byliśmy zupełnie wyczerpani z powodu tego wszystkiego, co zaszło w ciągu kilku wcześniejszych godzin.

Jeśli nie zasnąłem natychmiast, to tylko dlatego że próbowałem zrozumieć, co się dzieje. Cały ten wieczór był bardzo dziwaczny. Udzieliły nam się spokój i rzeczowość Helen, a może zresztą było na odwrót. Wiedziałem, że tata zabił mamę.

Każdy posługiwał się eufemizmami, więc niemożliwe było wywnioskowanie, o czym dokładnie mówiono, jednak fraza

„blue murder” wciąż rozbrzmiewała mi w głowie.

Żywiłem nadzieję, że wszystko stanie się bardziej zrozumiałe następnego dnia, a w każdym razie mieliśmy weekend na doście do siebie, a potem musieliśmy być z powrotem w szkole, próbując skoncentrować się na pracy. Myślę, że byłem świadomy tego, że istnieje coś, co

zwie się „systemem opieki”, którym obejmowano dzieci niemogące z jakichś powodów mieszkać z rodzicami, jednak ani przez minutę nie sądziłem, że również i my tak skończymy.

Zakładałem, że gdyby mama rzeczywiście nie była w stanie się nami opiekować, a tata trafił do aresztu, wówczas zamieszkalibyśmy z Helen i Steve'em. Tak zawsze mówiła mama i rozwiązanie takie wydawało się oczywiste. Skoro miał

to być nasz nowy dom, to chyba mogliśmy się zacząć do niego przyzwyczajać.

Nazajutrz Helen poszła na posterunek, by pierwsza złożyć zeznania, a następnie wróciła po Isobel i po mnie, byśmy i my mogli to zrobić. Zabrano nas do pomieszczenia wydziału ochrony rodziny, którego wewnątrz przypominało raczej dom niż posterunek policji, i usiedliśmy na sofie. Pytania zadawała tylko jedna kobieta, ale sesję filmowano. W sąsiednim pomieszczeniu obserwowali nas na monitorach policjanci z wydziału kryminalnego. Przesłuchująca nas kobieta najwyraźniej próbowała stwierdzić, co wiedzieliśmy na temat relacji łączącej mamę z tatą, i określić, jakiego rodzaju życie rodzinne prowadziliśmy aż do chwili owego wypadku -

cokolwiek to było - w dniu poprzednim.

Z początku nie byłem szczególnie zainteresowany współpracą z tymi ludźmi. Czulem, że

cokolwiek się wydarzyło, zawiniли policjanci, którzy, wzywani przez Isobel, gdy tata bił mamę, nigdy niczego nie zrobili. W typowy dla siebie sposób Isobel otwarcie im powiedziała, że ich obwinia.

Policjanci skutecznie zamknęli jej usta, wyjaśniając, że gdy dochodzi do incydentów związanych

z przemocą w rodzinie, w świetle prawa nie są w stanie nic zrobić, jeśli ofiara nie złoży formalnej skargi. Mama nigdy nie chciała tego zrobić; nigdy nie chciała dzielić się z innymi ludźmi swoimi problemami, zwłaszcza z policją. W ten sposób stopniowo czuliśmy się coraz swobodniej i przekonaaliśmy się do ich racji.

Żadnemu z nas dwojga nasze przeżycia nie wydały się szczególnie traumatyczne z chwilą, gdy uspokoiliśmy się, uświadomiwszy sobie, że zadająca pytania kobieta nieco rozluźniła atmosferę. Nadal mieliśmy problem ze zrozumieniem, co tak naprawdę się stało, nadal też nie ogarnialiśmy całej powagi sytuacji. Nie sądzę, byśmy mieli jakikolwiek pogląd na to, co zaszło. Być może byliśmy nieco otepiali wskutek szoku. Ja w każdym razie z pewnością miałem poczucie nierzeczywistości. W pewnym sensie miała na nas wpływ w terapeutyczny nieskrępowana rozmowa o tym, jak wyglądało życie w naszym domu, po tylu latach, kiedy to mama strzegła naszych sekretów, udając przed światem, że wszystko jest w porządku.

Policjanci powiedzieli nam później, że byli zaskoczeni tym, że owego dnia byliśmy tak zrelaksowani. Przypuszczam, że spodziewali się, iż będziemy bardziej zaszokowani faktem, że nasz ojciec mógł zrobić coś takiego, jednak przez całe życie wysłuchiwaliliśmy jego gróźb, widzieliśmy, jak bije mamę i Alfiego, zawsze też wiedzieliśmy, że zżera go nienawiść do świata i że jest zdolny do brutalnych aktów przemocy. Być może zawsze podświadomie liczyliśmy się z tym, że może się zdarzyć coś podobnego, choć wmawialiśmy sobie, że nigdy nie posunąłby się tak daleko. Również

rak mamy przygotował nas w pewnym stopniu na ewentualność, że mama może umrzeć. Rzecz jasna, gdyby zaświtało nam w głowach, że ojciec może popełnić coś tak drastycznego jak to morderstwo, próbowalibyśmy przekonać mamę, by go zostawiła, zabierając nas z sobą, jednak bez względu na to, co zrobił poprzedniego dnia, w niczym nie zmieniło to uczuć, jakie żywił mi wobec niego. Zawsze go nienawidzieliśmy, tak jak nienawidzieliśmy tego, jak nas traktował. Dowiedziałem tylko, że nasza ocena jego osoby była słuszna.

Policjantom udało się sprawić, że poczuliśmy się zrelaksowani. Isobel mówi, że zaczęła chichotać, gdy zapytano ją o moje pełne imię, ponieważ ona i mama żartowały sobie, że brzmi ono: Aleksandra. Nie przyszło jej do głowy, że dziwne może wydać się uleganie wesołości w takiej chwili. Ponieważ w dalszym ciągu mieliśmy siebie, odruchowo czuliśmy się mniej zagrożeni, niż mogłyby czuć się w takiej sytuacji inne dzieci. Isobel zawsze była najważniejszą osobą w moim życiu i dopóki była przy mnie, wiedziałem, że wszystko będzie dobrze. Wiedziałem, że zawsze będzie mnie chronić.

Nieco więcej informacji na temat minionych wypadków zdołałem wydobyć, gdy kobieta

poinformowała mnie, że tata zaatakował mamę „ostrym dłutem”.

- Czy kiedykolwiek widziałeś, że ostrzy dłuto? - spytała.

Przypuszczam, że gdybym powiedział, że owszem, uznaliby, że mają większą szansę udowodnienia, że morderstwo zostało zaplanowane. Chcieli wiedzieć, czy było tak, że owego dnia mama rozwścieczyła ojca, który poszedł po dłuto i zaostrzył je z zamiarem zaatakowania jej - czy też może planował to od dawna.

- Sądzę, że kiedyś dłuto należało do mnie - powiedziałem, gdy pokazano mi je na zdjęciu. - Wiem, że w piątek rano znajdowało się w moim pokoju, ponieważ tata używał go, zakładając tam telefon. Ale nic mi nie wiadomo o tym, czy je ostrzył.

Wiedziałem, że wszystko, co mówimy, jest nagrywane na kamerę wideo, nie sądzę jednak bym zdawał sobie sprawę z faktu, że któregoś dnia nagranie będzie pokazane w sądzie w obecności taty, sędziego i ławy przysięgłych i wszystkich innych osób, które się tam zjawią. Na pewno mi o tym powiedziano, ale w tym czasie niezbyt wiele z tego wszystkiego rozumiałem.

Było to mniej więcej tak, jakbym dostał do rozwiązania łamiętkę; jakbym oglądał w telewizji kryminał. Dlaczego tata w ogóle miałby ostrzyć dłuto, było zagadką zarówno dla Isobel i dla mnie, jak dla policji. W domu było mnóstwo noży, a w garażu znajdowały się tuziny innych przedmiotów mogących posłużyć za potencjalne narzędzie zbrodni, począwszy od młotków, na żelaznych żerdziach skończywszy, i żadnego z nich nie trzeba by przystosowywać, by mogło posłużyć do podobnego celu. Jeśli więc zaplanował

morderstwo, to dlaczego nie zostawił któregoś z owych narzędzi w dogodnym dla siebie miejscu?

Również w czasie weekendu Helen udzieliła policji mnóstwa informacji. Choć udało jej się zachować przed nami pozory niewzruszoności, to jednak później, oglądając w sądzie nagranie z jej udziałem, zobaczyliśmy, jak głęboko poruszyła ją śmierć przyjaciółki. Na temat wszystkiego, co przeżyła mama, wiedziała więcej niż ktokolwiek i w swoich zeznaniach dała wyraz całej swej wściek-

łości na tatę, zapominając, że wkrótce będzie musiała jeszcze raz przez to wszystko przechodzić, tym razem w sądzie, w obecności ojca.

Zarówno Isobel, jak i ja posiadaliśmy telefony komórkowe, ale rankiem poprzedniego dnia zostawiliśmy je w domu, gdyż nie pozwolono nam zabrać ich ze sobą do szkoły, a policjanci nie pozostawili wątpliwości co do tego, że nie będziemy mogli po nie wrócić. Przekonawszy się, jak skutecznie uniemożliwili Isobel zbliżenie się do drzwi frontowych naszego domu, wiedzieliśmy, że nie żartują.

Trudno nam było nawiązać w czasie tego weekendu kontakt z naszymi znajomymi, nie licząc tych, których numery znaliśmy na pamięć. Udało mi się skontaktować z kilkoma kumplami, a gdy

do domu przyszli inni, pilnujący go policjanci powiedzieli im, gdzie jesteście. Wtedy koledzy przyszli nas odwiedzić z pudełkiem słodyczy, magazynami ilustrowanymi i śmiesznymi zdjęciami, żeby nas rozweselić. Był to ładny gest, który doceniłem.

W niedzielę rano byliśmy już w stanie czytać o tym, co tata zrobił mamie, o czym donoszono na pierwszych stronach lokalnych gazet. Mimo że oboje byliśmy nieletni, w gazecie podano nasze imiona i wiek, adresy szkoły i domu, którego zdjęcia umieszczono na wypadek, gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości. Najwyraźniej przez całą sobotę mówiono o sprawie również w wiadomościach

telewizyjnych i radiowych, ale nie słyszeliśmy tego, więc większość szczegółów dotyczących śmierci mamy poznailiśmy z gazet. Helen musiała się zgodzić, żebyśmy czytali na temat tej historii, gdyż w przeciwnym razie usłyszelibyśmy o wszystkim od ludzi mówiących o tym w szkole.

Podczas gdy wszyscy zdawali się unikać tematu w bezpośrednim kontakcie z nami, nie chcąc nas przygnębiać, lokalni reporterzy nie mieli takich skrupułów. Tata, jak nas poinformowali, zadał mamie „od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu ciosów” w głowę i górną część ciała „za-ostrzony m dłutem”, o które pytała nas policja. Jego atak był tak dziki i szaleńczy, że lekarze sądowi nie potrafili dokładnie określić, ile było ciosów, jednak ich siła zmiażdżyła kości, a dłuto przeszło klatkę piersiową. Poczulem mdłości, gdy o tym przeczytałem, próbując wyobrazić sobie przerażenie, jakie musiała poczuć mama w czasie tego napadu. Ból musiał być niewiarygodny. Nie zamieniłem wtedy z Helen ani słowa, ale potem płakałem, po raz pierwszy od czasu gdy to się stało, kiedy zostaliśmy z Isobel sami. Szczegóły były tak przerażające... Jak mocno trzeba kogoś uderzyć, żeby połamać mu kości?

Policja nie była zachwycona, gdy nasze nazwisko opublikowano w prasie, a kiedy złożono skargę u wydawcy, usunięto je, lecz wtedy było już za późno. Gazety zostały wydrukowane i trafiły do dystrybucji. Każdy, kto kiedykolwiek nas poznał albo kiedykolwiek poznał kogoś, kto nas znał, mógł o wszystkim przeczytać. Zupełnie obcy ludzie, którzy nigdy wcześniej o nas nie słyszeli, wiedzieli teraz dokładnie, kim jesteśmy i gdzie mogą nas znaleźć.

Od tej chwili we wszystkich swych kolejnych artykułach dziennikarze pisali o nas jako o „dzieciach, których nazwiska nie można podać z przyczyn procesowych”. Mądrzy po szkodzie!

Nadal pytaaliśmy dorosłych, którzy, jak nam się zdawało, przejęli kontrolę nad naszym życiem, czy w poniedziałek rano możemy jak zawsze iść do szkoły. Oboje chcieliśmy znaleźć pociechę w naszej codziennej rutynie, poza tym czuliśmy się niezręcznie, ciągle przebywając w cudzym domu, mimo że należał on do ludzi tak dobrze nam znanych jak rodzina Helen i Steve'a. Nie wiedzieliśmy, czym zapelnąć te wszystkie godziny w ciągu dnia, żeby przestać myśleć o mamie, chcieliśmy też wrócić do naszych przyjaciół i zająć czymś umysł. Jednak władze szkolne orzekły, że musimy zacząć, gdyż dyrekcja chce najpierw złożyć w tej sprawie oficjalne oświadczenie na specjalnym apelu, i dziwnie byśmy się czuli, gdybyśmy byli na nim obecni. Ponieważ napisano o nas w lokalnych gazetach, dyrekcja uznała, że rzeczą właściwą będzie ujawnienie

przed ponad tysiącem osób - spośród których większość aż do tej chwili nie miała pojęcia, kim jesteśmy - wszystkich intymnych szczegółów naszej tragedii rodzinnej. Idea ta uderzyła nas jako dość dziwaczna, ale dyrekcja niewzruszenie obstawała przy tym, że jest to właściwy sposób postępowania, tak więc przesiedzieliśmy w domu cały kolejny dzień, zastanawiając się, co nas teraz spotka.

Wygłosivszy oświadczenie, władze szkoły stwierdziły również, że jeśli któryś z naszych przyjaciół doznał traumy po tym, co usłyszał, może się zgłosić, a otrzyma pomoc.

Nie bardzo rozumieliśmy, dlaczego uznano, że ktoś poza nami miałaby potrzebować pomocy. Kilkoro naszych przyjaciół znało naszą mamę z racji zajęć, na które uczęszczaliśmy, ale żaden z nich nigdy nie poznało taty. Nikt nie oferował

wsparcia ani Isobel, ani mnie, dlaczego więc proponowano je innym?

Każdy uczeń naszej szkoły, który nie widział tego w wiadomościach ani nie czytał o tym w prasie, miał teraz, na porannym poniedziałkowym apelu, dowiedzieć się o morderstwie mamy. Później powiedziano nam, że w czasie oświadczenia niektórzy nauczyciele płakali, jakby stracili bliskiego przyjaciela albo własną matkę. Być może płakali z naszego powodu, a nie z powodu mamy, choć podówczas byłem w tej szkole dopiero jeden semestr, więc żaden z nich nie znał mnie zbyt dobrze. Przypuszczam, że wydawało im się, że mogą sobie wyobrazić, co to za uczucie nagle stracić dom i rodziców. Problem tylko w tym, że ani Isobel, ani ja nie byliśmy pewni, co właściwie czujemy. Głównym naszym doznaniem w dalszym ciągu było odczucie pustki i niereczywistości, którym towarzyszyła dręcząca obawa o to, co się z nami stanie. Nie mogłem znieść świadomości, że mamy już nie ma. Może byłem zbyt wystraszony na myśl o tym, co może się stać, jeśli puszcza moje mechanizmy obronne. Wychowano nas tak, byśmy nauczyli się kontrolować własne emocje, teraz zaś najbezpieczniejszym rozwiązaniem wydawało mi się kontrolowanie ich tak długo, jak tylko się da.

Wiele lat później, kiedy przeczytałem raporty psychologów przeprowadzających z nami wywiad w ciągu kilku miesięcy po śmierci mamy, dowiedziałem się, że według nich cierpieliśmy na dysocjację, zaburzenie będące skutkiem ubocznym stresu potraumatycznego. Uczucie emocjonalnego oderwania, którego oboje doświadczyliśmy w pierwszych dniach po tragedii, stanowiło objaw będący pochodną sposobu, w jaki nasze mózgi próbowały chronić nas przed makabrycznością tego, przez co przeszliśmy. Zjawisko to dość powszechnie towarzyszy potężnej traumie, a nas nękało przez kolejne lata na różne sposoby, sprawiając, że trudno nam było obdarzyć zaufaniem osoby trzeciej. Ale na tym wczesnym etapie miałem po prostu poczucie, że oglądam film pokazujący wydarzenia, w których tak naprawdę nie uczestniczyłem.

ROZDZIAŁ 10

ISOBEL

We wtorek pozwolono nam wrócić do szkoły, co przyniosło mi ulgę, ponieważ po południu brałam udział w konkursie, którego nie chciałam opuścić. Może to brzmi dziwnie, lecz Alex i ja bardzo łaknęliśmy rozrywek po tym wszystkim, co się wydarzyło. Mama zawsze nam wpajała, że nie da się niczym usprawiedliwić niedotrzymania zobowiązań i sprawiania zawodu innym. Nigdy nie pozwolono nam opuścić szkoły z powodu choroby, chyba że nie byliśmy w stanie chodzić, wiedzieliśmy też, że mama nigdy nie zgodziłaby się, byśmy potraktowali jej śmierć jako usprawiedliwienie rezygnacji z czegoś, co z takim trudem pomagała nam osiągnąć. Ciężka praca w szkole oraz wymóg, by nigdy nie zawieść innych, jeśli chodzi o zajęcia pozaszkolne, były dla niej najważniejsze na świecie; ważniejsze niż szczęście i zgoda w domu, bardziej istotne niż jej spokój umysłu, a może nawet ważniejsze niż jej własne życie. Nie

umieliśmy inaczej postępować. Mama nigdy nie skarżyła się na nic w życiu, więc dlaczego my mielibyśmy się skarżyć?

Szczerze mówiąc, nie wiedzielibyśmy nawet, jak zacząć.

Przejęłam od mamy wiele cech, a jedną z nich był duch nieustępliwej rywalizacji. Jeśli zostałam przez kogoś pokonana na egzaminie albo w jakichkolwiek zmaganiach, byłam naprawdę sfrustrowana i niezadowolona z siebie. Sądzę, że wewnętrzny przymus bycia najlepszą we wszystkim pomagał

mi przetrwać te pierwsze trudne dni po morderstwie, gdy czułam się bardzo zagubiona, sprawiając, że w ogóle byłam w stanie przestąpić próg szkoły w sytuacji, gdy większość ludzi zostałaby w domu i próbowała ułożyć sobie wszystko w głowie oraz uporządkować emocje. Po prostu postanowiłam, że zacisnę zęby i ruszę do przodu.

Gdy Alex i ja poszliśmy razem do szkoły po raz pierwszy od owego zwołanego przez dyrekcję apel, zauważyliśmy, że ludzie gapią się na nas, przez co poczuliśmy się dziwnie.

Nigdy nie byliśmy dziećmi, które chciałyby zwracać na siebie uwagę. Czuliśmy się trochę tak, jakbyśmy byli celebrytami z przypadku. Ludzie wiedzieli, kim jesteśmy, choć my sami nie zawsze wiedzieliśmy, kim są oni. Przypuszczam, że właśnie tak wygląda życie osób regularnie pojawiających się w telewizji. Przy padkowi ludzie, których nie znaliśmy zbyt dobrze, podchodzili do nas ze smutkiem na twarzy, pytając, czy wszystko w porządku. Wyglądało na to, że chcą być blisko nas tylko dlatego, że nasza rodzina trafiła do gazet, jakby fakt ten

uczynił nas w jakiś sposób interesującymi czy pociągają-

cymi, a oni liczyli na to, że po części stanie się to również ich udziałem. Niektórzy sprawiali wrażenie, że podoba im się uczestniczenie w czymś, co choćby ociera się o rozgłos.

Ludzie często stwierdzali, że w owym kresie Alex i ja byliśmy bardzo spokojni i skryci. Przypuszczam, że spodziewali się, że się załamiemy, że będziemy płakać, ale to tak nie działa. Mieliliśmy chwile słabości, kryliśmy się jednak z nimi, zachowując je dla siebie. Przede wszystkim byliśmy jak ogłuszeni, próbując uporządkować myśli i uczucia, jednocześnie usiłując nie mieć tyłów w szkole i nie być nadmiernym obciążeniem dla Helen i Steve'a. Pamiętam, jak owego pierwszego dnia błąkałam się z lekcji na lekcję, siadając w ławce i próbując wsłuchać się w słowa nauczyciela, które jednak ulatywały mi z głowy: nie byłam w stanie dostatecznie skupić się na tym, co do mnie mówiono, by cokolwiek zrozumieć albo zapamiętać. Moja zdolność koncentracji zupełnie mnie opuściła. Czułam się, jakbym się znalazła w jakiejś próżni. Mój umysł pracował na przyśpieszonych obrotach, usiłowałam wszystko uporządkować i zrozumieć.

Nadal nie wiedzieliśmy tak naprawdę, co się wydarzyło tamtego piątku, ponieważ większa część tego, co znalazło się w dokumentach, opierała się na spekulacjach. Jak na przykład ów pierwszy policjant dowiedział się o sprawie przed pojawieniem się w naszym domu? Dlaczego mama tak wcześnie wróciła ze szkoły? Co po tylu latach wywołało w końcu tak dramatyczny wybuch wściekłości taty? Kiedy będziemy mogli wrócić do domu? Czy będziemy

jego kolejnymi ofiarami? I skoro tata nigdy nie robił tajemnicy z tego, że nienawidzi mnie tak samo, jak nienawidzi mamy, można się spodziewać, że również i mnie będzie chciał

ujrzeć martwą. Podejrzewam, że wiedział, iż będziemy u Helen i Steve'a, i bywały chwile, kiedy niepokoiła mnie myśl, że przyjdzie po mnie.

W ciągu następnych dni policjanci w dalszym ciągu przychodzili nas przesłuchiwać, ilekroć uznali, że warto jeszcze o coś spytać, jednak nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi w prowadzonym przez nich śledztwie, pomijając jakieś strzępy informacji, których nam udzielali. Widząc, że zaczynamy być znudzeni zadawanymi nam bez końca tymi samymi pytaniami, zaczęli nas nakłaniać do współpracy próbami przekupstwa, proponując, że mogą nam przynieść z domu niektóre nasze rzeczy, jak na przykład telefony komórkowe. Nie chodzi o to, że nie chcieliśmy współpracować. Byliśmy po prostu zmęczeni powtarzaniem w kółko tego samego bez dochodzenia do żadnych nowych wniosków, poza tym marzyliśmy o powrocie do cichego, anonimowego życia i prywatności. Myślę, że ci z policji wiedzieli, iż poddają nas stresowi, bezustannie zakłócając naszą szkolną i domową codzienność swymi wizytami, i mieli poczucie, że winni są nam coś w zamian.

Powiedziano nam, że przydzielono nam kuratora są-

dowego. Myślę, że taki jest prawny wymóg w przypadku wszystkich dzieci, które znalazłyby się w naszej sytuacji.

Głównym zadaniem takiego kuratora jest reprezentowanie naszego zdania i naszych interesów w sądzie, gdyby pracownicy opieki społecznej wnieśli o nakaz objęcia nas taką opieką. Najwyraźniej związane z tym procedury nas dotyczące uznano za skomplikowane i dlatego miał w tej sprawie rozstrzygać Sąd Najwyższy w Londynie, nie zaś sąd lokalny, nikt jednak niczego

nam nie wyjaśnił, a nasze główne troski nadal dotyczyły codzienności i prób odzyskania normalnego życia. Każdego dnia po szkole wracaliśmy do domu naszych rodziców chrześcijańskich i w dalszym ciągu odbywaliśmy nasze zwykłe zajęcia pozaszkolne, jak wówczas, gdy była z nami mama. Wydawało nam się dziwne, że zaszło coś tak dramatycznego i że tyle się zmieniło, a jednak nasze życie toczyło się mniej więcej tak jak wcześniej. Mogliśmy znaleźć w nim oparcie przez wszystkie owe traumatyczne pierwsze tygodnie.

Helen mówiła nam potem, że bardzo ją zdziwiło to, że ani Alex, ani ja nie chcieliśmy rozmawiać o naszym samopoczuciu i że nigdy nie uroniliśmy ani jednej łzy w jej obecności.

Również i ja nigdy nie widziałam, by ona czy Steve płakali. Ich życie toczyło się dalej, choć wiedziałam, że musi im brakować prawie tak bardzo, jak brakowało jej nam. Podobnie jak mama, Helen była bardzo skrytą osobą, która nie lubiła opowiadać o swoich uczuciach, a przy najmniej nie nam.

Od czasu do czasu widywaliśmy pracownice opieki spo-

lecznej, a mniej więcej miesiąc po śmierci mamy jedna z nich wspomniała coś o próbie samobójczej mamy. Rzuciłam jej wtedy zdumione spojrzenie i powiedziałam sobie: „Wielkie dzięki!”. Jakby nie dość było szokujących wieści, z którymi musiał sobie poradzić, biedny Alex doznał

dotodkowej traumy, dowiedziawszy się, że mama usiłowała odebrać sobie życie. Doprawdy, niewiarygodny był brak taktu, jaki okazała owa pracownica opieki. Alex jak zwykle z pozoru się tym nie przejął, ja jednak zawsze się martwię, co też się dzieje za tą fasadą spokoju.

Raz czy dwa próbowałam dostać się do naszego domu, żeby odzyskać więcej rzeczy do mnie należących, ilekroć jednak zbliżałam się do drzwi, zawsze natykałam się na trzymającego straż policjanta. Gdy w końcu, po kilku tygodniach, wyrażono zgodę, byśmy odzyskali część naszych ubrań, nadal nie chciano się zgodzić, żebyśmy zabrali je osobiście. Z listą rzeczy, których potrzebowaliśmy, wysłano policjanta, który oczywiście wrócił nie z tym, co trzeba.

Stopniowo zaczęliśmy składać w całość coraz więcej strzępków informacji na temat tego, co mogło się wydarzyć tamtego popołudnia, choć wciąż nie potrafiliśmy dociec całej prawdy, ponieważ tata twierdził, że nic nie pamięta. Z chwilą gdy w drzwiach domu zjawiała się policja, tata zeznawał, że nie pamięta niczego. Zgodnie z jego wersją pamiętał tylko tyle, że mama wróciła do domu, a on jej powiedział, że przedłuża kabeł telefoniczny do pokoju Alexa. Następną rzeczą, którą potrafił

sobie przypomnieć, było to, że zszedł na dół i znalazł mamę leżącą na koszu na śmieci i jeszcze jednym koszu, w którym trzymaliśmy karmę dla psa, tuż przy drzwiach kuchni.

- Domyśliłem się, że musiałem coś zrobić - powiedział w swym zeznaniu, które potem odtworzono w sądzie - więc zadzwoniłem na policję.

Dlaczego właśnie takie było jego pierwsze przypuszczenie, skoro niczego nie pamiętał? Skoro zobaczył leżącą mamę, czyż jego pierwszą myślą nie powinno być przypuszczenie, że musiała zasłabnąć albo się przewróciła?

Dlaczego nie poszedł sprawdzić, co się jej stało, zanim jeszcze wezwał policję? W rzeczy wistości mama leżała tam z nadal wystającym z piersi dłutem, które tkwiło w niej po otrzymanym ciosie, więc gdyby ojciec poszedł sprawdzić, co się stało, wiedziałby dokładnie, co zrobił. Byłam wściekła i czułam się oszukana, gdy usłyszałam, że ojciec zaprzecza, by cokolwiek pamiętał. Chcieliśmy wiedzieć, co zaszło, i mieliśmy poczucie, że mamy prawo to wiedzieć. Nawet w tym nie mogliśmy się na niego zdać!

W końcu dowiedzieliśmy się, że tamtego popołudnia wykonał dwa telefony na policję. Po raz pierwszy musiał

zadzwoić, kiedy kończyliśmy lekcje i kiedy szukałam w szatni swojego stroju gimnastycznego, a Alex wychodził z lekcji, z wolna wyruszając do domu. Usłyszeliśmy w sądzie nagranie tego zgłoszenia. W nagraniu pierwszym ojciec wyraźnie powiedział policji, że zabił swoją żonę.

Przypuszczam, że musiał się spodziewać, iż po takim oświadczeniu przyjadą po niego w pełnej gotowości bojowej w ciągu kilku minut, jednak z jakiegoś powodu nie potraktowano zgłoszenia poważnie. Nie wiem, jak wiele fałszywych alarmów dziennie odbiera policja od ludzi twierdzących, że popełnili morderstwo, ale w sposobie, w jaki im to zakomunikował, było niewątpliwie coś, co skłoniło ich do wątpliwości, czy mówi serio.

Każda minuta oczekiwania na policję musiała mu się wydawać godziną, gdy oczami wyobraźni widział, jak Alex i ja zbliżamy się do domu, po czym wyciągamy klucze, by otworzyć drzwi frontowe. Po około piętnastu minutach puściły mu nerwy i zadzwonił ponownie.

- Moje dzieci są w drodze do domu - ostrzegł ich. - W

każdej chwili mogą wejść frontowymi drzwiami.

Musiał nas sobie wyobrażać, jak idziemy ulicami, będąc coraz bliżej domu, zupełnie nieświadomi czekającego nas widoku, który byśmy ujrzeli, gdyby nikt nas w porę nie zatrzymał. Dlaczego nagle zaczął się o nas troszczyć? Czyżby się obawiał, że doznamy szoku na widok trupa mamy w kuchni, ściany zbrzyżane krwią? Nigdy wcześniej ani przez chwilę nie martwił się, że przeżyjemy szok z tej czy innej przyczyny. Czyżby się obawiał, że również i nas mógłby zaatakować? A może bał się, że to my możemy zaatakować jego, gdy zobaczymy, co zrobił? Dlaczego nie zaryglował po prostu drzwi, tak byśmy nie mogli wejść do środka do czasu przybycia policji? Zachowanie taty nigdy nie miało najmniejszego sensu, a już z pewnością było go pozbawione tego popołudnia.

Najwyraźniej nawet po drugim telefonie policjanci wciąż nie traktowali go całkiem serio, bo wysłali na scenę zbrodni tylko jednego człowieka. Był to ten sam facet, który pojawił się na progu

w chwili, gdy Alex dotarł do domu i włożył klucz do zamka.

Gdy zaczęła docierać do nas prawda o poniesionej stracie, zapytaliśmy, czy moglibyśmy zobaczyć ciało mamy.

Powiedziano nam, że będziemy mogli ją zobaczyć, gdy przeprowadzą na niej trzy sekcje zwłok, jednak potem najwyraźniej zapomniano o tym. Miesiąc po jej śmierci, w trakcie przygotowań do pogrzebu, poprosiliśmy o to ponownie, ale tym razem nam powiedziano, że teraz jest to niemożliwe, gdyż ciało „znajduje się w zbyt zaawansowanym stadium rozkładu” i jego widok jak sądzono, zanadto by nas przygnębił. Jestem pewna, że mogliby ukryć wszystko, co uznaliby za zbyt drastyczne, lecz postanowili, że tak nie uczynią. Wątpię również, że nastąpił daleko posunięty rozkład ciała, gdyż jak przypuszczam, było ono zamrożone czy też chłodzone - nie wiem dokładnie, co robią w kostnicach.

Choć nie zamierzano pozwolić, byśmy ją zobaczyli, policja nadal potrzebowała kogoś, kto zidentyfikowałby zwłoki. Poproszeni o to Helen i Steve odmówili, lecz Jillian, przyjaciółka mamy ze szkoły, wyraziła na to zgodę, mimo że prośba ta ją zaskoczyła, gdyż sądziła, że policja powinna się z tym zwrócić do kogoś z okolicy, w której mieszkaliśmy.

Myślę, że gdybyśmy z Alexem mogli zobaczyć ją martwą, przynajmniej byłoby to dla nas czymś w rodzaju zakończenia.

Jedną z tych rzeczy, z którymi najtrudniej było nam się pogodzić, jest konieczność zaakceptowania tego, że niemal na pewno nie dowiemy się nigdy, co się z nią stało w ostatnich minutach życia. Fakt, że po prostu zniknęła z naszego życia i że po raz ostatni widzieliśmy ją wtedy, gdy śpieszyła się do wyjścia z domu w ów poranek, sprawia, jak gdyby tak naprawdę nie się dla nas nie skończyło. Ujrzenie ciała nie dałoby nam odpowiedzi na żadne

z pytań rozbrzmiewających bez końca w naszych głowach, gdy tylko nie byliśmy czymś zajęci, lecz mimo to pomogłoby jakoś je zagłuszyć. Być może sprawiłoby, że wszystko to wydałoby się nam bardziej rzeczywiście. A w każdym razie chciałabym pogłodzić ją po włosach ten ostatni raz, szepem pożegnać się z nią i powiedzieć jej, że ją kocham.

ROZDZIAŁ 11

ALEX

Kordony policji otaczały nasz dom jeszcze po wycofaniu się ostatnich policyjnych straży. Pomimo owych kordonów i tego, że nasza historia zaczynała być stałym tematem pierwszych stron lokalnych gazet, kioskarsz w dalszym ciągu dostarczał niedzielną prasę na próg naszego domu, bym ją rozwiózł. Uświadomiliśmy to sobie dopiero wtedy, gdy zobaczyliśmy je w telewizyjnych wiadomościach.

Komputer, który mama kupiła nam jako pomoc przy pracach domowych, został nam odebrany, żeby można było sprawdzić, czy tata zapisał na nim coś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu tego, co zaszło między rodzicami, lub też dać jakiś wgląd w stan umysłu w chwili finalnego wybuchu agresji ojca.

Jedyną interesującą rzeczą, jaką znaleźli, było napisane przez Isobel dziwne opowiadanie na temat kłótni mamy z tatą, które należycie przestudiowali w najdrobniejszych szczegółach, szukając śladów

niepokojów czy zaburzeń autorki wywołanych tym, co się działo w rodzinie.

Przestudiowawszy tekst, ludzie z policji stwierdzili, że jest on jedynie odzwierciedleniem stanu Isobel. Zapewne tak było, jednak właśnie dlatego o że przez lata życie nasze było niespokojne pod wieloma względami, nie zaś dlatego że my sami byliśmy zaburzeni. Na ogół byliśmy po prostu wściekli z powodu tego, w jaki sposób tata wszystkich nas traktował i z premedytacją niszczył nasze życie rodzinne, co usiłował robić całymi latami, zanim w końcu udało mu się ostatecznie wszystko zniszczyć.

Jak się okazało, Jillian, długoletnia asystentka mamy w laboratorium, była wielką przyjaciółką mamy, a również i naszą. Uświadomiwszy sobie, że nie mamy zupełnie żadnych pieniędzy, żeby zapłacić za pogrzeb mamy, urządziła zbiórkę w szkole. Mszę odprawiono w naszym lokalnym kościele mniej więcej miesiąc po śmierci mamy. Byłem w szoku, gdy dotarłszy na miejsce, zobaczyłem tłok panujący we wnętrzu kościoła. Byli tam głównie ludzie, których ani Isobel, ani ja nie widzieliśmy nigdy wcześniej. Myślę, że byli to przeważnie koledzy mamy z pracy; inni byli przypuszczalnie rodzicami dzieci z naszej szkoły. Gdy wchodziliśmy do kościoła, wydało nam się, że wszyscy ci nieznajomi wiedzą, kim jesteśmy, co tylko pogłębiło wrażenie nierzeczywistości. Organizatorzy ceremonii pogrzebowej musieli umieścić o niej ogłoszenie w gazecie, gdyż Helen ostrzegła nas, że może pojawić się na prasa, węsząc kolejne rewelacje. Choć nie wydaje mi się, by dziennikarze ostatecznie się zjawili, to jednak tylu spraw nie ogarnialiśmy, że równie dobrze mogli być obecni, a my mogliśmy ich nie zauważyć.

Organizatorzy zapytali nas, jakie pieśni chcielibyśmy odśpiewać w czasie mszy i czy chcielibyśmy coś powiedzieć w holdzie dla mamy. Żadne z nas nie wyobrażało sobie wystąpienia przed tyloma nieznanymi ludźmi, by wprowadzać ich w jeszcze więcej naszych

rodziny ch sekretów, niż poznali dotychczas, wtajemniczeni przez media.

Ostatecznie dyrektor szkoły, w której pracowała mama, zgodził się coś o niej powiedzieć, co było miłe z jego strony.

- Macie płakać - szepnęła Helen do Isobel, gdy przechodziliśmy wśród tłumu do naszych miejsc w pierwszym rzędzie, lecz żadne z nas jej nie posłuchało. Ani wtedy, ani w żadnym miejscu publicznym. Helen musiała sobie pomyśleć, że ludzie źle o nas pomyślą, jeśli wyda im się, że zbyt dobrze sobie radzimy. To, że się nie załamaliśmy, mogło sprawiać wrażenie, że jesteśmy bez serca, jednak załamywanie się nie było w naszym stylu. Pod tym względem przypominaliśmy mamę. Choć od jej śmierci upłynął miesiąc, naszą dominującą emocją było poczucie zupełnej nierzeczywistości i konfuzji.

Mieliśmy wrażenie, jakby wszystko wymykało nam się z rąk

Nikt tak naprawdę niczego nam nie wyjaśnił w taki sposób, byśmy to mogli zrozumieć. Tak jakby nie chciano nas przygnębiać, więc unikano mówienia o sprawie, która nam przesłaniała wszystkie inne. Nawet wchodząc do kościoła i zajmując swoje miejsca, nie mieliśmy pojęcia, co się wydarzy w trakcie ceremonii - ponieważ żadne z nas nigdy nie było wcześniej na pogrzebie. O tym, co nastąpi po jej zakończeniu, wiedzieliśmy jeszcze mniej.

Obojgu nam trudno było płakać. Od samego początku tata wbił nam do głowy, że nie wolno nam płakać; że robią to tylko mięczaki. Gdy dochodziło do straszliwych awantur między nim i mamą, w czasie których ojciec wrzeszczał i krzyczał na nas, jego wściekłość jeszcze się wzmagała, gdy widział łzy w naszych oczach.

- Nie płacz! - ryczał, my zaś, przerażeni, usiłowaliśmy się zdobyć na milczenie i kamienny wyraz twarzy. Po pewnym czasie weszło nam to w krew. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział mamę płaczącą; również i u nas, podobnie jak u niej, wykształciła się skłonność do pewnej obojętności. Pamiętam, jak raz mama poślizgnęła się na śliskim chodniku i paskudnie rozbiła sobie głowę. Jestem pewien, że naprawdę ją bolało, ale mimo to nie płakała.

Dopiero kiedy przyszła Helen i powiedziała jej, że powinna mieć założone szwy, mama zgodziła się pójść do szpitala.

Okazało się, że musieli jej założyć około dwudziestu szwów.

Czegoś podobnego doświadczyłem, gdy pewnego dnia razem z Isobel i jej koleżanką byliśmy na huśtawkach.

Dziewczyny bawiły się w ten sposób, że kiedy huśtawka była mocno rozkołysana, zeskakiwało się z niej na ziemię. Ja też tak chciałem. W końcu zgodziły się, bym przyłączył się do zabawy, jednak byłem za mały, żeby umiejetnie zeskoczyć.

Zrobiłem to niezdarnie, całym ciężarem ciała padając na nadgarstek. Nie płakałem, więc dziewczyny podniosły mnie z ziemi, oczyściły z pyłu i poszły

popływać, podczas gdy ja wróciłem do domu grać w Play-station. Ręka bardzo mnie bolała, ale nie chciałem podnosić rabanu, licząc na to, że ból ustąpi. Gdy Isobel wróciła do domu jakieś dwie godziny później, byłem już w łóżku, a moja ręka zrobiła się czarna. Mama postanowiła, że powinienem znaleźć się w szpitalu, a kiedy rękę zbadali lekarze, stwierdzili, że złamanie jest poważne. Nie sądzę, bym w trakcie całej tej historii uronił choćby jedną łzę.

Myślę, że jeśli miałym dzieciom nikt nie tylko nie po-

święca uwagi, kiedy płaczą, ale jeszcze na nie krzyczy albo robi im coś jeszcze gorszego, dzieci te wkrótce przekonują się, że nie warto płakać, i oduczają się tego. Czasem widzi się w telewizji sceny z sierocińców, na przykład w Europie Wschodniej, w których dzieci są strasznie zaniedbane albo dzieje im się krzywda. Bardzo rzadko słyszy się ich płacz. Nie robią tego, gdyż w niczym to nie pomaga. Mama nie była bardzo wylewna, rzadko nas przytulała, ale nie miało to znaczenia, gdyż nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że nas kocha.

Całe swoje życie poświęciła na to, by wychować nas najlepiej, jak potrafiła, więc nigdy nie przyszło nam do głowy, by martwić się z powodu tego, że nie okazuje uczuć.

Z upływem lat nauczyliśmy się jeszcze bardziej rozdzielać myśli od uczuć. W przeciwnym razie po śmierci mamy płakalibyśmy przez cały czas i całe nasze życie musiałoby stanąć w miejscu, zapewne łącznie z edukacją. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić, gdyż oznaczałoby to zwycięstwo taty, który zawsze chciał udowodnić, że mama marnuje czas, poświęcając go nam. Płakaliśmy

w ukryciu, roniąc po kryjomu łzy, gdy zostawaliśmy sami, jednak naszym głównym celem było niepoddawanie się, na ile było to możliwe.

Helen spytała nas, czy mama wolałaby zostać pogrzebana czy skremowana, ale nie mieliśmy pojęcia, co jej odpowiedzieć.

- A jak było w przypadku dziadków? - zapytała - Zostali skremowani?

Również i o tym nie mieliśmy pojęcia. Pomyśleliśmy, że kremacja jest zapewne najlepszym rozwiązaniem, biorąc pod uwagę przypuszczalny stan ciała mamy po dokonanych morderstwie i sekcji. Osobiście nie byłem całkiem pewien, co się dzieje podczas kremacji, a przekonałem się o tym dopiero wówczas, gdy pracownica opieki społecznej, którą widzieliśmy pierwszy w życiu, pod koniec dwudziestominutowej ceremonii pogrzebowej, która odbyła się w kościele, poinformowała nas, że kremacja nastąpi już zaraz.

- Twoi rodzice chrześni nie chcą iść do krematorium

-oznajmiła - A wy?

- Chcemy - odparła z mocą Isobel.

Oboje chcieliśmy być z mamą do ostatniej chwili. Nie wydawało mi się w porządku zostawienie jej teraz samej -

gdziekolwiek miała trafić po śmierci. Krematorium znajdowało się w odległości ponad pół godziny jazdy.

Siedzieliśmy w czarnym samochodzie, jadąc za karawanem, w którym była trumna. Nie pojechała z nami żadna z osób obecnych w kościele, więc w jej ostatniej drodze towarzyszyliśmy mamie tylko ja, Isobel i jeszcze dwoje pracowników opieki społecznej, którzy nigdy przedtem nie widzieli jej na oczy. Nie mogłem oderwać oczu od tej trumny przez cały czas trwania w krematorium krótkiej ceremonii, próbując wyobrazić sobie znajdujące się w środku ciało mamy i zastanawiając się, jak wygląda. Jakoś trudno mi było uwierzyć, że ona tam jest. Gdy nad trumną zapadła kurtyna i rozległ się łoskot trumny wjeżdżającej do pieca, poczułem wielką gulę w gardle i ucisk w piersi. Z całej siły chwyciłem Isobel za rękę, żeby nie stracić panowania nad sobą.

Pracownicy opieki z powrotem odwieźli nas do kościoła, ale teraz był on opustoszały. Później dowiedzieliśmy się, że w nabożeństwie uczestniczyło kilku kuzynów mamy, jednak nie przedstawili nam się, więc podówczas nie wiedzieliśmy nawet o ich istnieniu.

Jillian założyła księgę kondolencyjną pełną listów od ludzi, którzy od lat pracowali z mamą, piszących o tym, jak inspirującą i pełną poświęcenia była nauczycielką i jak wiele z siebie dawała, pomagając swym uczniom. Listy te były pełne pochwał jej energii i tego, w jaki sposób ożywiała przedmioty, kiedy nauczala. Rozpisywano się o tym, jak to w klasie wstępowała w nią energia, gdy udawało jej się natchnąć życiem skądinąd martwe i nudne tematy -zawsze pełna animuszu, zawsze pobudzona. Wiem, że po śmierci człowieka zawsze się oczekuje, że ludzie będą uprzejmi i że będą mówić miłe rzeczy, jednakże te listy wydały mi się znacznie bardziej szczerze, pełne entuzjazmu i uczucia, niż można by się spodziewać. Dziwne było czytać coś takiego o własnej matce.

Jakby była kimś

zupełnie innym niż owa kobieta, której domowe życie było tak ciężkie. W ciągu ostatniego roku, a może ostatnich dwóch lat życia, kiedy była z nami, sprawiała wrażenie skrajnie wyczerpanej, wyniszczonej i zrezygnowanej, jednak gdy przekraczała progi szkoły, musiało wstępować w nią nowe życie, jakie nigdy nie było jej udziałem, gdy przebywała w domu, żyjąc w złowrogim cieniu taty. Gdy wieczorami wracała ze szkoły, miała za sobą jakieś dwanaście godzin pracy i dojeżdżania do niej lub do domu, a resztkę jej energia zupełnie ją wówczas opuszczała.

Autor jednego z listów pisał o tym, jak to mama zawsze przywiązywała wagę do tego, by dziewczyny serio traktowały swą edukację. „Z entuzjazmem starała się pomóc dziewczynom uwierzyć w siebie i wykorzystać własne zdolności z jak największym pożytkiem”, czytaliśmy

w liście.

Z pewnością w to właśnie wierzyła, jeśli chodziło o nią samą i o Isobel, w nie mniejszym stopniu była zdeterminowana, bym i ja otrzymał wszelkie możliwe szanse kształcenia się, jakie była w stanie mi zapewnić, mimo że czasem popadała w zwątpienie co do tego, czy zdołam wykorzystać swoją inteligencję na miarę własnych możliwości. Bywały okresy, gdy nauczyciele mieli trudność z zaabsorbowaniem mojej uwagi.

Byliśmy bardzo poruszeni, czytając o wpływie, jaki wywierała na życie innych ludzi; ludzi, o których nic nie wiedzieliśmy, co uświadomiło nam, że miała też zupełnie inne życie, jakże odległe od utrapień i udręków jej małżeństwa. Z dala od niszczycielskiego wpływu taty jawiła się jako ktoś wyjątkowy, nie zaś jak obiekt wzgardy i nienawiści.

Wszystko to sprawiło, że jeszcze bardziej doceniliśmy to, ile dla nas zrobiła przez te wszystkie lata.

Jillian była jedynym ogniwem łączącym nas z przeszłości-

cią mamy. Uwielbiała mówić o ich pierwszych dniach w pracy

- i to ona powiedziała nam, jak to pewnego dnia mama zaprosiła ją wraz z kilkoma innymi kolegami z pracy do domu na kolację, gdy w pewnej chwili do pokoju wszedł tata. Był

zupełnie nagi. Nie sądzę, by po tym epizodzie mama kiedykolwiek zaprosiła kogoś do nas. Zapewne to właśnie chciał osiągnąć ojciec. Jillian pozostała z nami w kontakcie, przysyłając nam co roku prezenty na urodziny i Boże Narodzenie. Jeszcze dzisiaj, ilekroć odnowiamy z nią kontakt, zawsze jest żywo zainteresowana, w najdrobniejszych szczegółach, tym, co się dzieje w naszym życiu, jest też gotowa do pomocy, na jaką tylko ją stać.

Jednak Jillian to po prostu dobry człowiek i swego rodzaju przyjaciółka. Nigdy nie ponosiła za nas żadnej realnej odpowiedzialności. Tak naprawdę wcale nas nie znała.

Mieszkała w odległości wielu mil i miała własne życie. My zaś dzieliliśmy wspólne życie z Helen i Steve'em i zaczynaliśmy się do niego przyzwyczajać, wykształcając nowe nawyki, bardzo podobne do tych, które mieliśmy od zawsze. Z początku Alfie trafił do budy, a każdy zachodził w głowę, co z nim zrobić, jednak razem z Isobel nie przestawaliśmy się o niego dopominać, więc ostatecznie Helen uległa naszym prośbom i pozwoliła nam wziąć go do domu. Początkowo była temu niechętna, ponieważ ona i Steve mieli już dwa swoje psy, których nie chcieli drażnić. Jak zwykle to biedny stary Alfie był ofiarą, ponieważ

owe psy agresywnie broniły swego terytorium i nie pozwalały mu jeść posiłków. Byliśmy jednak szczęśliwi, że do nas wrócił, jakbyśmy odzyskali część naszego dawnego życia, mieliśmy też nadzieję, że w końcu się zdomowimy w nowym miejscu.

Nigdy ani słowem nikt nam nie zasugerował, że powinniśmy gdzieś się wyprowadzić, toteż

zakładaliśmy, że tu będzie nasz dom, dopóki nie skończymy szkoły. Mama mówiła zawsze, że gdyby coś jej się stało, Helen i Steve zaopiekują się nami, więc ani Isobel, ani ja nie myśleliśmy o tym. Obchodziło nas tylko to, żebyśmy mogli być razem i żebyśmy mieli z sobą Alfiego. Staraliśmy się też sprzątać jak najmniej kłopotu.

Potrzebowaliśmy po prostu skrawka dachu nad głową, pod którym moglibyśmy odrabiać lekcje i spać po powrocie ze szkoły, oraz kogoś, kto podwoziłby nas na różne zajęcia pozaszkolne do czasu, gdy Isobel byłaby na tyle dorosła, by móc prowadzić. Helen i Steve przejmowali rolę naszej mamy.

Każdego, kto o to pytał, zapewnialiśmy, że wszystko będzie dobrze, dopóki nas nie rozdzielią.

Życie szkolne, uczestniczenie w różnych zajęciach

-wszystko to przebiegało jak zwykle. I choć niezręcznie czuliśmy się ciągle w roli gości w cudzym domu, zwłaszcza że głowy mieliśmy pełne myśli, o których nie mówiliśmy, zaczynaliśmy ten dom traktować jak własny. Wiedzieliśmy, że składa w nim wizyty pracownica opieki społecznej, którą przelotnie widywaliśmy, jednak nikt nam nie wyjaśnił celu tych wizyt ani charakteru jej obowiązków wobec nas.

- Macie jakichś krewnych? - zapytała nas owa kobieta pewnego dnia, gdy od śmierci mamy upłynęło mniej więcej sześć tygodni. - Kogoś, z kim moglibyście zamieszkać?

Kompletnie nas zaskoczyła. Czyżbyśmy nie mieli mieszkać razem ze Helen i Steve'em?

- Nie - wyjaśniliśmy. - Nie mamy nikogo. Nigdy nie poznaliśmy rodziny taty. Nie znamy nawet imion jego rodzeństwa. A mama była jedy naczką. Oboje dziadkowie nie żyją.

Isobel mglście przypominała sobie, jak to raz krewni mamy przysłali jej na Boże Narodzenie jakiś biuletyn, lecz na tym kończyły się jej informacje, pomijając to, że potrafiła opisać, gdzie, jak sądziła, może znajdować się ów list.

Pracownica opieki musiała uzyskać od policji zezwolenie na wejście do naszego domu, gdyż list odnalazła. Jego autorka okazała się kuzynką mamy. Ostatecznie odkryliśmy, że mama miała troje kuzynów, i przez całe nasze życie informowała ich o nas na bieżąco. Nie pamiętaliśmy, by kiedykolwiek o nich wspomniała. Możemy tylko przypuszczać, że nie pragnęła zbyt bliskich kontaktów z żadnym spośród swych krewnych w obawie, że zechcą nas odwiedzić i poznają tatę. A może, podobnie jak Jillian, pojawili się u nas w domu, lecz ojciec bardzo jasno dał im do zrozumienia, że nie życzy sobie ich powtórnej wizyty. Lepszym rozwiązaniem dla mamy było nie doprowadzać do podobnych spotkań i nie ryzykować, że wszyscy obecni będą zażenowani zachowaniem taty, który groził mamie lub wprawiał ją w zakłopotanie.

Pod koniec lutego przydzielona nam pracownica opieki społecznej przyjechała do nas z informacją, że w ciągu kilku godzin odwiedzą nas jacyś ludzie, którzy chcieliby się z nami

spotkać. Nikt nie wyjaśnił nam dokładnie celu tej wizyty, lecz Isobel i ja uświadomiliśmy sobie, że wszystko znów się zmieni w naszym życiu.

Przybyłe małżeństwo było nieco starsze niż mama i tata.

Oboje mieli nadwagę, mężczyzna liczył nieco ponad półtora metra wzrostu, ale ważył prawie sto dwadzieścia kilo. Kobieta była wyższa od niego, a ważyć musiała jakieś sto kilo.

Przedstawili nam się, lecz byliśmy tak oszołomieni i spanikowani, że ich imiona wpadły nam jednym uchem, a wypadły drugim. Nie mieliśmy śmiałości, żeby ich prosić, by je powtórzyli, więc tylko milczeliśmy, czekając i licząc na to, że ktoś zawoła ich po imieniu. Ale tak się nie stało, więc nasze uczucie skrępowania nie ustąpiło.

Nie koncentrowałem się tak naprawdę na toczącej się rozmowie. Nie miałem pojęcia, kim są ci ludzie i co mają z nami wspólnego, zwróciłem jednak uwagę na to, że opowiadali nam o swoim domu, jakby próbowali nas przekonać, że bardzo nam się tam spodoba. Wtedy zaczęło mi świtać, że chyba u nich zamieszkamy. Do tej pory nikt nawet nie wspomniał o

„rodziny zastępczej”. Nie jestem pewien, czy wiedziałem, co termin ten znaczy. Również Helen i Steve nie poinformowali nas o tym, co się z nami stanie, ani słowem nie wspominając, że być może nie będziemy dalej z nimi mieszkać. Zostaliśmy kompletnie zaskoczeni, zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje, i nawet

nie potrafiąc zwerbalizować wszystkich pytań kłębiących się w naszych głowach.

Nasi goście spytali nas, co o nich sądzimy, na które to pytanie nie sposób było odpowiedzieć, więc tylko wzruszyliśmy ramionami, nerwowo się zaśmiawszy. Dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie, że planowali spakować nasze rzeczy i od razu zabrać nas do siebie. Zgodzili się nawet wziąć również Alfiego, co, jak później stwierdziliśmy, było dość niezwykle jak na rodzinę zastępczą.

- Będziemy mogli chodzić do tej samej szkoły i uczęszczać na te same zajęcia pozalekcyjne? - zapytałem, a oni wyrazili na to zgodę. Wyjaśniliśmy, że co wieczór, przez cały tydzień, będzie nas trzeba podwozić w różne miejsca, na co się tylko uśmiechnęli, stwierdzając, że to żaden problem.

Ani Isobel, ani ja nie wiedzieliśmy, co mamy powiedzieć.

Poprosiliśmy o chwilę czasu, byśmy się mogli zastanowić i przywyknąć do myśli o tym, na co również wyrażono zgodę.

Z jakiegoś dziwnego powodu wszystko przydarzało się nam jedenastego każdego miesiąca. Mama została zabita jedenastego stycznia, a jej pogrzeb odbył się jedenastego lutego. Jedenastego marca, dwa tygodnie po tym jak zostaliśmy przedstawieni owym ludziom, nadal nie pamiętając ich imion, razem z naszymi nowymi rodzicami zastępczymi znaleźliśmy się w samochodzie, w

drodże do naszego nowego domu.

Aż do obecnej chwili Helen nie wyjaśniła nam, kiedy podjęła decyzję, że nie możemy z nią dłużej mieszkać, i czy w ogóle zaplanowała to, co się wydarzyło.

Przypuszczam, że patrząc ze swojej perspektywy, Helen i Steve być może nigdy nie zamierzali wziąć nas do siebie na stałe. Trafiliśmy do nich w momencie, gdy byli zaszokowani i pogrążeni w smutku po śmierci mamy. Rozumiem, że trudno jest znaleźć się w sytuacji, gdy nagle, bez zapowiedzi, w twojej rodzinie pojawia się dwoje nowych ludzi. Z trudem na przykład starczało łóżek dla nas dwojga i pozostałych trojga dzieci, które nadal mieszały w domu. Wydawało się dziwne, że nikt nigdy nam nie wyjaśnił, jakie są względem nas plany.

Może każdy zakładał, że ktoś już nam to powiedział. Isobel i ja nadal mamy żal do Helen, gdy o tym pomyślimy. Ja sam z pewnością zachowałbym się inaczej, gdyby dzieci któregoś z moich przyjaciół zostały sierotami. Jestem całkowicie pewien, że okazałbym im więcej serca.

ROZDZIAŁ 12

ISOBEL

Zostawiwszy za sobą dom Helen i Steve a w Redditch, jechaliśmy do odległego o około dziesięć mil Evesham. Droga trwała jakieś dwadzieścia minut. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd jedziemy, ani - w gruncie rzeczy - poczucia, że możemy o to pytać. Zaczynałam się zastanawiać, w jaki sposób będziemy w stanie chodzić do szkoły i nie rezygnować z naszych dotychczasowych zajęć, skoro ostatecznie będziemy mieszkać aż tak daleko. Czy kokolwiek o tym pomyślał? Gdy tylko wprowadzono nas do domu, po przekazaniu nas nowym rodzicom zastępczym, Helen i pracownica socjalna zniknęły, zaledwie się z nami pożegnawszy. Helen nie odzywała się do nas przez dobre kilka miesięcy, co wydawało się dziwne, ponieważ mieszkając w Redditch, widy waliśmy się prawie codziennie, nawet jeszcze przed wprowadzeniem się do niej.

Odnosiliśmy wrażenie, że znajome twarze jedna po drugiej zaczęły znikać z naszego otoczenia, zastępowane twarzami nieznanymi mi.

Przyjęliśmy, że Helen nas nie odwiedza, gdyż daje nam czas na aklimatyzację, jednak później ona sama powiedziała mi, że trzymała się z dala, ponieważ uznała, że nowi rodzice zastępczy byli „dziwni” i że zwłaszcza „mężczyzna wysyłał złe wibracje”. Byłam raczej zaszokowana, gdy to usłyszałam.

Skoro tak, to z pewnością tym bardziej powinna była od czasu do czasu wpadać do nas, by się przekonać, że z nami wszystko w porządku. Przypuszczam, że każdy na swój sposób radzi sobie ze smartwieniami. Nasi rodzice zastępczy mieli własną pracownicę socjalną, która była na miejscu, gdy dotarliśmy do naszego nowego domu.

Dom bardzo przypominał ten, w którym przyszliśmy na świat i wychowaliśmy się, choć wkrótce zaczęły się in-tensywne prace mające na celu rozbudowanie go na tyłach.

Każde z nas miało własną sypialnię. Był też pokój dzienny, w którym gospodarze nie przebywali zbyt często i który razem z Alexem w znacznym stopniu zawłaszczyliśmy od pierwszego dnia jako naszą prywatną przestrzeń i naszą świątynię. Nie wiedziliśmy, czego się od nas oczekuje, ani tego, jakie relacje powinniśmy nawiązać z tymi ludźmi, których dom i życie nas nagle stały się naszymi. Nie chcieliśmy wchodzić im w drogę, tak więc zamknawszy za sobą drzwi, oboje znikaliśmy w pokoju dziennym aż do chwili, gdy trzeba było zjeść posiłek albo pójść do łóżka. Przez cały czas rozmawialiśmy ze sobą i trzymaliśmy się razem.

Byliśmy tam od mniej więcej dwóch tygodni, zanim odkryliśmy imiona naszych rodziców zastępczych: Cathy i Pete. Musieli odnieść wrażenie, że jesteśmy naprawdę źle wychowani, ponieważ chcąc zwrócić na siebie ich uwagę, mówiliśmy tylko: „hej”, zbyt zakłopotani, by po tak długim okresie spytać o ich imiona. Aż w końcu miarka się przebrała.

- Zauważyliśmy - oznajmiła kobieta - że nigdy nie wy-powiadacie naszych imion. Czy wy w ogóle je pamiętacie?

Nie było sensu kłamać. Myślę, że ponieważ byliśmy ich pierwszymi przybranymi dziećmi, tak samo jak i my nie bardzo wiedzieli, jak się odnaleźć w nowej sytuacji. Tydzień poprzedzający adoptowanie nas spędzili na wakacjach, więc pracownicy opieki nie mieli okazji, by ich poinstruować tak wyczerpująco na temat naszej sytuacji, jak mogliby to uczynić.

W rezultacie nasi rodzice zastępczy poznali większość wiążących się z nią szczegółów z artykułów gazetowych dostępnych w Internecie, ukazujących historię naszej rodziny w bardzo negatywnym świetle i sugerujących, że wszyscy byliśmy poważnie zaburzeni. W ciągu owych pierwszych dni Cathy wciąż próbowała wybadać nas w sprawach rodzinnych, zadając masę bardzo osobistych pytań, na które nie chcieliśmy odpowiadać. Przypuszczam, że nasza niechęć do tego, by się przed nimi otworzyć, była dla naszych rodziców zastępczych rozczarowaniem, a może nawet wydała im się przejawem złego wychowania, ale po prostu tacy już byliśmy. Dla nas byli obcy mi ludźmi i ani nam się śniło opowiadać im szczegółowo o naszym życiu rodzinnym z mamą i tatą, by zaspokoić ich ciekawość.

Oboje lubili wypić i codziennie wypijali wieczorem kilka butelek wina. Stanowiło dla nas zagadkę, jak zdołali zdać testy niezbędne do tego, by zostać zaakceptowanymi w roli rodziców zastępczych, może jednak władze nie miały wyboru, gdy uświadomiono sobie, że nasi rodzice chrześni wcale nie chcą zatrzymać nas u siebie, a nie udało się znaleźć nikogo bardziej odpowiedniego, kto byłby gotów zaadoptować dwoje, jak przypuszczano, znerwicowanych nastolatków oraz psa. Każde z naszych rodziców zastępczych miało własne dzieci z innym partnerem, które podówczas były już dorosłe i miały własne rodziny. Niektóre z nich złożyły nam wizytę wkrótce po naszym przybyciu, nie wydawało się jednak, by chciały się angażować w najnowsze „przedsięwzięcie” swych rodziców. Czuliśmy się tak, jakby kazano nam paradować przed jeszcze liczniejszym zgromadzeniem ludzi, których nie znaliśmy i którym nie mieliśmy nic do powiedzenia, tak więc przypuszczalnie sprawialiśmy wrażenie pary kompletnych tępaków.

Gdy w domu przebywały wnuki, wykorzystywano nas w charakterze opiekunów do dzieci z chwilą, gdy Cathy i Pete zaczęli pod wieczór popijać lub gdy urządzali proszony obiad i nie chcieli, by im przeszkadzano. Słyszeliśmy nieraz, jak w pokoju gościnnym opowiadają o nas przyjaciółom, jakbyśmy byli interesującym studium przypadku - i, jak przypuszczam, w znacznym stopniu tak właśnie nas traktowali.

Jednak ich goście nigdy nie zdobyli się na to, by nam się przedstawić. Być może wysyłaliśmy wrogie sygnały, choć nie sądzę, by tak było. Byliśmy po prostu milczący, jak zwykle.

Ludzie, którym opowiadano naszą historię, a którzy sami nigdy z nami nie

rozmawiali, musieli odnieść wrażenie, że jesteśmy zaburzonymi dziećmi z patologicznej rodziny. My jednak nie mieliśmy takiego poczucia. Sądziliśmy, że całkiem dobrze radzimy sobie w naszym nowym życiu. Nie wiedzieliśmy tylko, jak zwrócić się o pomoc, by radzić sobie jeszcze lepiej; pomoc, którą zawsze, w każdej sytuacji otrzymywaliśmy od mamy, do czego bardzo się przyzwyczailiśmy.

Podchmieliwszy sobie, Cathy i Pete nie byli niemili ani nie przejawiali na ogół agresji, jak to bywało z tatą, jednak trzeba się było liczyć z tym, że jeśli wieczorem mówiliśmy im o czymś, następnego dnia dość często zdarzało im się o sprawie zapomnieć. Jeśli chodzi o dowożenie nas na nasze zajęcia i przywożenie z zajęć, byliśmy na nich zdani w stopniu jeszcze większym niż wcześniej na mamę i Helen, a to z powodu odległości, jakie musieliśmy teraz pokonywać. Tymczasem nasi rodzice zastępczy często zapominali, że wcześniej ich o coś przesygnęliśmy, albo skarżyli się, że nie mogą się napić, bo muszą prowadzić. Tak więc musieliśmy stopniowo rezygnować z naszych pozaszkolnych zajęć po prostu dlatego, że nie można było liczyć na to, że uda nam się docierać na nie tak regularnie jak wcześniej. Dzięki temu jeszcze bardziej doceniliśmy, jak niezawodna przez te wszystkie lata była mama. Złożone przez naszych rodziców zastępczych obietnice, że zrobią wszystko, co w ich mocy, żebyśmy mogli w naszych zajęciach nadal uczestniczyć, szybko poszły w zapomnienie.

Już wkrótce było oczywiste, że źle oszacowali to, ile wysiłku kosztuje bycie rodzicem tak sumiennym jak mama.

- To tak daleko - skarżyli się. - Nie moglibyście zapisać się do klubów znajdujących się bliżej?

Rzecz jasna, mogliśmy to zrobić, ale wówczas stracilibyśmy wszystkie wieloletnie przyjaźnie, nie byłoby też żadnych więzów łączących nas z nowymi kolegami z drużyny.

A wówczas jeszcze radykalniej zerwalibyśmy z własną przeszłością. Już teraz czuliśmy się wyobcowani wskutek przeprowadzki w tak odległe miejsce, a utrata tych ostatnich więzów oznaczała zupełne odcięcie od przyjaciół i przeszłości.

W końcu jednak Cathy i Peteowi udało się w nas wywołać takie poczucie winy z powodu utrudniania im życia, że prościej było po prostu zrezygnować i przestać ich prosić o podwożenie. Jeszcze wtedy żadne z nas nie miało ochoty chodzić na nowe zajęcia ani zapisywać się do nowych klubów, zwłaszcza teraz, gdy o tyle dłużej zajmowała nam codzienna droga do szkoły i z powrotem. Po miesiącu wspólnego mieszkania z nimi nie uczęszczaliśmy na żadne zajęcia pozaszkolne. Rano wychodziliśmy do szkoły, po południu wracaliśmy do domu, odrabialiśmy lekcje, po czym wspólnie przesiadywaliśmy w pokoju gościnnym, czekając, aż nadejdzie pora spania.

Myśleliśmy o tym, żeby skontaktować się z przydzieloną nam pracownicą socjalną, zamierzając jej opisać nasze wrażenia, ale nie wiedzieliśmy, jak się do tego zabrać. Gdy zwróciliśmy się z tym do Cathy i Petea, natychmiast chcieli wiedzieć, dlaczego chcemy skontaktować się z opieką, jakbyśmy zamierzali na nich donieść, że niewłaściwie wywiązują się ze swoich obowiązków. Nigdy nie chcieliśmy ich niepotrzebnie niepokoić, więc musieliśmy koncentrować całą naszą energię na pracy szkolnej.

Wozili nas do szkoły i ze szkoły, ponieważ jazda autobusem zajmowała zbyt wiele czasu, lecz i na to wciąż psioczyli, mimo że od początku wiedzieli, że chcemy zostać w tej samej szkole.

Pragnęli, byśmy darzyli ich miłością i szacunkiem, jakby byli naszymi prawdziwymi rodzicami, jednak nie byli tak naprawdę gotowi do poświęceń, na które gotowi są prawdziwi rodzice, tacy jak nasza mama.

- Dlaczego nie spędzacie z nami więcej czasu? - dopytywali się. - Dlaczego zawsze się zamykacie w pokoju gościnnym? Rozmawiacie tylko ze sobą, a nigdy z nami.

Jesteśmy teraz jedną rodziną.

Kiedy otwarcie nas o to pytali, trudno nam było znaleźć odpowiedź. Postępowaliśmy po prostu zgodnie z własnym instynktem, garnąc się do siebie, by znaleźć pociechę i wzajemne wsparcie, gdyż tak postępowaliśmy od zawsze.

Zawsze był tylko Alex i ja - kontra reszta świata. Oczywiście mieliśmy w drużynie również mamę i Alfiego, a także naszych szkolnych przyjaciół, jednak najpewniejszym oparciem dla każdego z nas było to drugie. Nie chcieliśmy co wieczór siedzieć przed telewizorem z Cathy i Pete'em, którzy w tym czasie żłopali swoje wino. Na szczęście dla nas, mieli drugi pokój gościnnny, gdzie mogliśmy pobycć sami.

Myślę, że naszym nowym rodzicom zastępczym podobałoby się, gdybyśmy się im zwierzali ze swoich problemów, pozwolili im się przytulić od czasu do czasu i pocieszyć nas w chwilach smutku. Nigdy jednak nie zachowywaliśmy się w ten sposób w relacji z mamą i tatą i oczywiście nie zamierzaliśmy teraz tego zmieniać - w relacji z dwojgiem obcych nam ludzi. Trochę zbyt nachalnie usiłowali nas poznać, lecz ich pytania wywoływały u mnie niepokój, a już zupełnie nie znosiłam, kiedy krytykowali mamę. Stałam się bardzo drażliwa na punkcie krytyki wszystkiego, co miało związek z naszą przeszłością. Wiedziałam, jak wiele kryło się w niej patologii, ale to nie oznaczało, że chciałam, by powtarzali mi to inni. Nie podobało mi się, że oceniają mamę czy nawet tatę. Miałam poczucie, że krytykując ich, krytykuje się nas. Jak gdyby Cathy i Pete uważali, że mama była w pewnym sensie złym człowiekiem, skoro na to wszystko pozwalała. Choć zapewne wydawało im się, że próbują stworzyć więź z nami, te ich wysiłki sprawiły, że jeszcze bardziej zamknęliśmy się w sobie, próbując uchronić się przed ogniem krytyki.

Wciąż powtarzali rzeczy w rodzaju:

- Nie mieści mi się w głowie, dlaczego wasza mama po prostu go nie zostawiła.

Najwyraźniej nie przyszło im na myśl, że i my łamaliśmy sobie nad tym głowę miliony razy i że nie potrzebowaliśmy wcale, by codziennie przypominał nam o tym ktoś, kto nigdy nie poznał mamy. Jak wyjaśnić osobie o całkowicie odmiennym sposobie myślenia, że mama była dumna i zarazem uparta i że nie chciała przyznawać przed światem, iż jej małżeństwo okazało się taką katastrofą? Wolala raczej pracować nad stopniową poprawą

sytuacji, zamiast się poddać. Rodzice zastępczy i tak nigdy by tego nie zrozumieli, nawet gdybyśmy potrafili znaleźć odpowiednie słowa, by to wyjaśnić. Zawsze największą troską mamy

było zapewnienie nam stabilizacji, tak by w jak najmniejszym stopniu narażać na szwank edukację moją i Alexa.

- Nie możemy zrozumieć, dlaczego przez cały czas zmuszano was do tylu zajęć - nie przestawali powtarzać, gdy nie chcieli im się dokądś nas zawieźć.

Tymczasem nas nigdy do niczego nie zmuszano. Mama mogła nas do czegoś zachęcać, mogła też się zdenerwować, gdy rezygnowaliśmy z czegoś bez sensownego powodu, nigdy nas jednak nie zmuszała, byśmy uczestniczyli w jakichkolwiek zajęciach. Robiliśmy to, ponieważ sprawiało nam to przyjemność, a gdy tylko przyjemność zniknęła, rezygnowaliśmy. Nie znosiliśmy, gdy tych dwoje nas oceniało, nic przecież o nas nie wiedząc. Czasami mieliśmy wrażenie, jakby zazdrościli nam naszego utraconego życia rodzinnego, chcąc nas urobić na własny obraz i podobieństwo - jako własne dzieci. Chcieliby, żebyśmy zienawidzili własną rodzinę i własną przeszłość tak bardzo, by odczuć wdzięczność za tyle miłości i wsparcia, ile zechcą nam ofiarować. Nie mogli zrozumieć, że nadal możemy tak bardzo kochać mamę, która, rozumując w ich kategoriach, zawiodła nas i dała nam znacznie mniej, niż chcieli nam dać oni.

W tym czasie Alex był całą moją rodziną i nie miałam poczucia, by którekolwiek z nas potrzebowało kogoś jeszcze.

Potrzebowaliśmy tylko jedzenia, dachu nad głową i kogoś, kto podwoziłby nas do szkoły, abyśmy mogli nadal funkcjonować w świecie i ukończyć edukację. Fakt ten rodził w relacjach z naszymi rodzicami zastępczymi problem, którego nikt nie potrafił rozwiązać. Nie mieliśmy poczucia, że znamy ich na tyle dobrze, by im się zwierzać ze wszystkich myśli kłębiących się w naszych głowach, a ponieważ mieliśmy siebie, nie czuliśmy potrzeby dzielenia się bólem i konfuzją z kimkolwiek innym, a zwłaszcza z dwójką zupełnie obcych ludzi. Chcieli opiekować się Alexem, jakby byli jego rodzicami, i nie podobało im się, że on sam nie oczekuje tego od nich, gdyż ma mnie. Każdej nocy poprawiałam mu kołdrę i całowałam na dobranoc. Sądzę, że przyrodni rodzice uważali, że to im powinna przypaść taka rola, jednak dla nas w dalszym ciągu byli obcymi ludźmi. Chcieli stać się dla nas rodziną, my zaś chcieliśmy po prostu zachować poprawne relacje z nimi.

Nie szukaliśmy surogatu naszej prawdziwej rodziny.

Nie chodzi o to, że Cathy i Pete nie próbowali z początku robić tego, co do nich należało. Na przykład zabierali nas na długie spacery z psem, nigdy jednak nie zabierali nas oddzielnie, więc zawsze rozmawialiśmy tylko ze sobą, rozmyślnie udaremniając wszelkie ich potencjalne próby na-wiązania z nami jakiejś więzi. Może gdyby mieli więcej doświadczenia jako opiekunowie, wiedzieliby, jak podejść nas z osobna, przełamując liczne bariery, które wzniesiliśmy wokół

siebie. Bardzo się starali. Na wiele sposobów.

Rano przygotowywali nam obfite śniadanie, my jednak po prostu nie byliśmy do tego przyzwyczajeni, zawsze przed wyjściem do szkoły jedząc w domu płatki. Często również gotowali

dla nas solidne obiady mięsne, takie jak spaghetti bolognese. Od lat byłam wegetarianką, ale z początku nie mogłam się przemóc, żeby im o tym powiedzieć. A kiedy to odkryli, najwyraźniej uznali, że jest to kolejny dowód na to, że mama nie dość dobrze o nas dbała, i powiedzieli mi, że jeśli mam ochotę na coś innego niż to, co jedzą oni, muszę to sobie sama ugotować. Widziałam, że poczuli się urażeni naszą niezdolnością do wdzięczności za ich gościnę, podczas gdy my po prostu nie byliśmy w stanie jeść ty le co oni i woleliśmy przyrządzać sobie skromne posiłki.

Co pewien czas odwiedzali nas psychologowie, którzy przygotowywali raporty dla sądu rodzinnego w związku z toczącą się w nim naszą sprawą. Jeden z tych wywiadów odbył

się w obecności naszych przybranych rodziców.

- Na czym zyskało wasze życie, odkąd jesteście w rodzinie zastępczej - spytał psycholog - w porównaniu z waszym dawnym życiem?

Nie odezwaliliśmy się ani słowem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze milczenie jest odbierane jako niewdzięczność, zważywszy wszystko, co robili dla nas Cathy i Pete. Nie chcieliśmy jednak powiedzieć czegoś, co znieważałoby pamięć mamy. Nie chcieliśmy, by usłyszano od nas, że nie zawsze byliśmy z nią szczęśliwi, gdyż nie byłaby to prawda.

- Dostajemy większe kieszonkowe - odparł w końcu Alex, gdy milczenie stało się nieznośne, przez co słuchacze odnieśli, jak sądzę, wrażenie, że jesteśmy niewdzięcznikami, których łatwo kupić.

Pete był dla nas miłszy niż Cathy. Przypominał nieco wielkiego, miękkiego pluszowego misia. Dawał nam pieniądze, organizował nam wakacje i rozrywki, czasem jednak inicjatywy wynikające z dobrych intencji kończyły się wzajemnymi nieporozumieniami. W czasie pierwszego wspólnie spędzanego lata nasi rodzice zastępczy zabrali nas do jednego z ich przyjaciół, właściciela łodzi motorowej ciągnącej po jeziorze pontony. Spędziliśmy fantastyczny dzień w pontonie ciągniętym przez motorówkę po całym jeziorze: wpadaliśmy na siebie i do wody, przez cały czas krzycząc i śmiejąc się. Pod koniec dnia nasze ręce okryte były sińcami.

Kilka dni później mieliśmy wizytę pracownika socjalnego, a ja, w obecności rodziców zastępczych, zrobiłam żartobliwą uwagę na temat siniaków. Robiłam, co mogłam, by rozluźnić atmosferę, pozwalając sobie na drobne żarciki, ponieważ Alexowi coraz trudniej przychodziło udawanie, że darzy sympatią Cathy i Petea, a podczas wizyt pracownika socjalnego stawał się coraz bardziej milczący.

- Proszę zobaczyć, co nam zrobili - zaśmiałam się, pokazując czarno-sine pręgi, zanim dodałam, że to tylko żart.

Cathy i Pete poczuli się śmiertelnie urażeni, że powiedziałam coś takiego, i oświadczyli gniewnym tonem, że moje słowa zabrzmiały tak, jakby stosowali wobec nas przemoc. Zupełnie zignorowali fakt, iż jasno dałam do zrozumienia, że żartuję i że pracownica socjalna już wcześniej wiedziała, skąd wzięły się nasze siniaki. Wiedziała o wszystkim doskonale, bo mój komentarz

nigdy nie znalazł się w notatkach dotyczących naszej sprawy.

Jednak nasi rodzice zastępczy, gdy ich rozczarowanie nami rosło, bez końca wypominali nam ten incydent jako dowód na to, że jesteśmy kłamcami.

Któregoś wieczoru, kilka miesięcy później, Pete musiał

dużo wypić i zaczął być coraz bardziej agresywny wobec swojej żony. Naprawdę się o nią bałam, przypominając sobie niektóre sceny, do jakich dochodziło między mamą i tatą, gdy byliśmy mali. Cathy siedziała obok mnie, płacząc z powodu zachowania męża, czyniącego jej, zwyczajem pijaków, wszelkie możliwe wymówki i zarzuty.

- Dlaczego nie położyś się dzisiaj spać w pokoju goś-

cinny m? - zasugerowała jej, myśląc, że przez ten czas Pete ochłonie.

W jakiś sposób sprawa wyszła na jaw i dotarła do uszu pracowników socjalnych, którzy odnotowali, że „każę jej

[Cathy] spać na sofie, dążąc do odtworzenia sytuacji, której doświadczyliśmy w domu". Jednocześnie Cathy przyznała, że nazajutrz rano nie mogła sobie przypomnieć tego incydentu ze wszystkimi szczegółami. Zapewne nie wspomniała pracownikom opieki, że przed pójściem do łóżka stanęła przede mną całkiem nago, co wywołało we mnie uczucie skrajnego zażenowania, również i dlatego, że miała tak kosztowną nadwagę.

- Próbujecie zamienić nasze życie w piekło - oskarżała mnie - takie jak to, które mieliście w domu.

Pracownicy socjalni zawsze zdawali się wierzyć we wszystko, co mówili im o nas nasi przybrani rodzice, nigdy zaś w to, co mówiliśmy my. Było to, tak jakbyśmy cały czas walili głową w mur, próbując wyjaśnić, jak się czujemy i jakie są nasze oczekiwania co do relacji z naszymi opiekunami.

Mam przed sobą dotyczące tamtego okresu notatki związane z naszą sprawą i jest dla mnie oczywiste, że wszyscy zaangażowani w nią dorośli sądzili, że kryzys w relacji z naszymi rodzicami zastępczymi był zwiniony niemal bez reszty przez nas, nie przez nich.

Zimą na przełomie roku 2002 i 2003 zaczęli otwarcie mieć do nas pretensje, że w niedostatecznym stopniu doceniamy ich starania. Od tej pory wszystko, co miało związek z naszą przeszłością, najwyraźniej działało im na nerwy. Byli wrogo nastawieni do religii i kiedy odkryli, że przez całe dzieciństwo regularnie chodziliśmy do kościoła, komentowali to w sposób obraźliwy dla nas. Nie czułam się na tyle mocna z doktryny chrześcijańskiej, by uważać, że powinnam jej bronić, nie podobała mi się jednak sugestia, że mama zrobiła coś złego, chodząc z nami do kościoła. Cathy i Pete zdawali się patrzeć na nas z pogardą, jakby sądzili, że wiara w Boga

uczyniła z nas głupców, choć przecież wciąż byliśmy dziećmi. Nigdy nie potrafili się oprzeć pokusie wypowiedzenia złośliwych komentarzy na ten temat, ilekroć nastęrczała się okazja. Uważam, że każdy ma prawo do szacunku dla własnych poglądów, zwłaszcza sytuacji, w której próbujesz zbudować relację opartą na wzajemnym zaufaniu.

Zaczęliśmy mieć wrażenie, że każdy osądza nasze życie z okresu, gdy żyła mama. Wcześniej ukazywały się w prasie artykuły sugerujące, że cała nasza rodzina była patologiczna, potem były ciekawe spojrzenia, którymi obrzucano nas w szkole, a zupełnie nieznamy nam pracownicy opieki najwyraźniej organizowali nasze życie, pociągając za niewidoczne sznurki i nawet nie dyskutując o tym z nami, teraz zaś rodzice zastępczy dokonywali osądu naszej przeszłości. Zaczynałam się robić bardzo drażliwa na punkcie mamy. Poświęcała się i ciężko pracowała dla nas, dla swoich uczniów w szkole i dla taty przez tyle lat, że doprawdy nie zasługiwała na to, by ktokolwiek ją osądzał, a zwłaszcza ludzie, którzy nie znali naszej historii, tak jak my ją znaleźliśmy.

Im częściej w ten sposób mówiono o niej, tym bardziej Alex i ja oponowaliśmy, podkreślając, ile to radosnych chwil przeżyliśmy przez te wszystkie lata, a także starając się kłaść nacisk na pozytywne życie z mamą, przez wzgląd na jej pamięć.

Im bardziej inni obrzucali błotem naszą przeszłość, tym większa była moja determinacja, by nie cieszyć się żadną spośród rzeczy, które robili dla nas teraz.

Na pewnym etapie poinformowano nas, że przyznano nam adwokata, który miał dołączyć do naszego kuratora jako nasz reprezentant w procesie o objęcie nas opieką społeczną.

Adwokat wpadł na to, że nikt nie pomyślał o tym, by wyodrębnić majątek mamy, który stanowiła jedynie przyпадаjąca jej część domu, ale i tak stalibyśmy się dzięki temu właścicielami pewnej sumy pieniędzy mogącej nam pomóc w rozpoczęciu dorosłego życia. Nie przestawaliśmy spotykać się z ludźmi, którzy sądzili, że będą udzielać nam rad, ale mimo odbytych spotkań nic się nie zmieniło. Wydawało się nieomal niemożliwością załatwienie czegokolwiek i pójście dalej.

W tym samym czasie zmagalam się z własnymi rozterkami. Targające mną emocje były sprzeczne i niejednoznaczne: czułam, rzecz jasna, złość na tatę, na Helen i Steve'a, na Cathy i Petea; strasznie też brakowało mi mamy.

Tęsknota sprawiała mi niemal fizyczny ból, który czasami był

niemal nie do wytrzymania. Byłam zdeterminowana, by chronić Alexa, najlepiej jak potrafię. Nieraz nawiedzały mnie straszliwe wspomnienia awantur między mamą i tatą albo innych przerażających rzeczy, do których dochodziło w domu; często miewałam również makabryczne koszmary dotyczące tego, co mama musiała przechodzić w ostatnich chwilach życia. Wszystko to w sobie tłumilałam i po prostu starałam się uporać z tym sama. Bo i z kim miałabym rozmawiać?

Po latach wyczytałam w pochodzących z tamtego okresu raportach psychologicznych na mój temat, że cierpiałam na szereg zaburzeń, zwłaszcza na stres potraumatyczny i zaburzenia

obsesyjno-kompulsywne z powodu tego wszystkiego, przez co przeszłam w ciągu tych wszystkich lat życia z tatą oraz strasznych okoliczności śmierci mamy.

Wszystko to musiało się, rzecz jasna, pogłębić wskutek braku zrozumienia i wyrozumiałości ze strony Cathy i Petea. Nie potrafiłam sobie z tym wszystkim poradzić, a dodatkowym stresem były ciągłe kłótnie, jakie miały miejsce pod ich dachem.

ROZDZIAŁ 13

ALEX

Gdy rodzice zastępczy oświadczyli nam, że będą każdemu z nas wydelać po dwadzieścia funtów kieszonkowego tygodniowo z sumy, jaką opieka społeczna wypłacała im na nasze utrzymanie, z początku wydawało nam się, że jest to mnóstwo pieniędzy w porównaniu z tymi, które była w stanie dawać nam mama. Wkrótce jednak zrozumieliśmy, że nie są oni bynajmniej hojni, ponieważ środki te miały wystarczać na zakup ubrań i opłatę przejazdów autobusami do miasta i z powrotem, jeśli chcieliśmy spotkać się z przyjaciółmi, wskutek czego prawie nic nam nie zostawało na własne wydatki. Na spotkanie z przyjaciółmi mogliśmy sobie pozwolić najwyżej raz w tygodniu.

Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób Cathy i Pete zdobyli posiadane pieniądze - wiele mówili o giełdzie, udziałach, które kupowali lub sprzedawali, w tym również o nieruchomościach.

Pete przez cały czas przesiadywał w domu, a Cathy pracowała w jakimś biurze w Londynie, dokąd codziennie dojeżdżała pociągiem. Zdaje się, że miało ono związek ze spółdzielniami mieszkaniowymi. Choć wydawało się, że mają całkiem sporo pieniędzy, zawsze szukali promocji, kupowali adidas z przeceny i inne tego rodzaju rzeczy.

Isobel przystąpiła do małej matury w maju 2002 roku, zaledwie cztery miesiące po morderstwie mamy, zdając na same piątki, co dawało jej miejsce wśród dwóch czy trzech procent najlepszych uczniów w kraju. Podwaliny, jakie położyła mama, gdy nadszedł czas ciężkiej pracy i koncentracji na problemie, okazały się mocne. W ostatnim miesiącu przed egzaminami Isobel wykonała tytaniczną pracę - opracowując materiał z poprzednich miesięcy, gdy nie potrafiła się skupić na nauce. Kiedy nadeszły wyniki egzaminów, wyciszyła się.

Wiem, że bardzo jej wtedy brakowało mamy i że było jej bardzo smutno z powodu jej nieobecności, ponieważ wiedziała, że mama byłaby z niej bardzo dumna.

Ja również dobrze sobie radziłem - nauczyciele z pewnością nie mieli powodu do zmartwień ani skarg na efekty mojej pracy. Lubiłem naukę, która wnosila w moje życie ciągłość i porządek, gdy wszystko inne zdawało się niepewne i zawieszona w próżni. Dzięki koncentracji na celach, które bez chwili zawahania wyznaczyła nam mama we wczesnych latach naszego życia, przez większą część dnia potrafiliśmy odciąć się od tego, z czym mieliśmy największe problemy: na przykład od emocji. Najwyraźniej inni w dalszym ciągu odnosili wrażenie, że trochę

bumelują, więc nawet Isobel była zaskoczona, gdy nadszedł czas, bym zdawał małą maturę. Poradziłem sobie o wiele lepiej, niż przewidywano. Nauczyciele sądzili, że będę miał

trójki i dwójki, a tymczasem udało mi się zdać na piątki i czwórki; otrzymałem tylko jedną trójkę.

Ponieważ mieszkaliśmy daleko od miasta, znacznie trudniej było nam podtrzymywać kontakty z przyjaciółmi.

Isobel widywała się z niektórymi spośród nich coraz rzadziej, ponieważ wybrała do zdawania na maturze przedmioty ściśle, podczas gdy większość jej znajomych wybrała sztuki piękne i dramat. Jeśli nie chodzisz z kolegami do tej samej klasy, od razu zaczynasz się od nich oddalać, zwłaszcza gdy nie mieszkacie w tej samej okolicy. Isobel straciła więc kontakt z przyjaciółmi po prostu dlatego, że nigdy jej nie było, gdy się spotykali, a nasi zastępczy rodzice nie mieli ochoty podwozić nas do odległego miasta tylko w tym celu. Nie znaliśmy nikogo, kto mieszkałby w okolicy, do której się przeprowadziliśmy, gdyż wszystkie mieszkające tam dzieci chodziły do innych szkół, więc po powrocie ze szkoły przesiadywaliśmy w domu sami, nudząc się i snując z kąta w kąt. Było to dla nas zupełnie nowe doświadczenie. Niezależnie od tego, co się działo w naszym rodzinnym domu, nigdy nie mieliśmy czasu, żeby się nudzić.

Czasami Cathy i Pete pod wpływem impulsu wpadali na jakiś ekstrawagancki pomysł, zabierając nas na przykład na Majorkę lub na Kubę. Robili to, ponieważ mieli zwyczaj jeździć na wakacje cztery razy w ciągu roku, a skoro zdecydowali się wziąć nas do siebie, nie mieli wyboru i musieli również i nas ze sobą zabierać. Lubili w ten sposób wydawać pieniądze Miło z ich strony, że tyle na nas wydawali, choć gdyby zapytali nas o zdanie, wspólne wakacje z pewnością nie znalazłyby się wśród tych rzeczy, których nam było trzeba. Oczekiwaliśmy pomocy i wsparcia, które umożliwiłoby nam kontynuację naszego dotychczasowego trybu życia, widywanie się z przyjaciółmi i robienie tego wszystkiego, co robiliśmy do tej pory. Wakacje z rodziną bywają stresujące nawet wówczas, gdy wyjeżdżasz z własnymi rodzicami, a cóż dopiero z ludźmi, których ledwie znasz i za którymi nie przepadasz.

Zdaje się, że Cathy myślała podobnie, bo gdy już byliśmy na wakacjach, niemal natychmiast ogarniała ją irytacja, że Isobel i ja tak się ich trzymamy. Zachowywaliśmy się tak dlatego, że trochę obawialiśmy się samotnych wycieczek w obcym kraju. Mama nigdy nie zabierała nas za granicę, więc sądzę, że nasza ostrożność była dość zrozumiała.

- Dlaczego dokądś się nie wybieracie i nie zajmiecie się czymś? - pytała, chcąc w ten wakacyjny czas mieć odrobinę samotności.

Jak na ironię, w domu mówiła coś wręcz przeciwnego, usiłując nas namówić, byśmy więcej czasu spędzali wspólnie z nią i Peteem.

Sytuacja ta, jak się obawiam, była bez wyjścia, gdyż śmiem twierdzić, że dzięki pieniądzom otrzymywanym za opiekę nad nami ich życie stało się znacznie przyjemniejsze, a zarazem znacznie straciło na uroku z powodu dwojga kręcących się w pobliżu nastolatków. Isobel i ja podejmowaliśmy pewne samodzielne inicjatywy, na przykład zapisaliśmy się kurs dla pletwonurków, ale przez szereg godzin w ciągu dnia odpoczywaliśmy w pobliżu hoteli, tak jak i wszystkie inne przebywające tam rodziny.

Mogę sobie wyobrazić, że w takich chwilach robiliśmy wrażenie trochę niewdzięcznych i sfrustrowanych młodych ludzi, niezdolnych spontanicznie cieszyć się wakacjami, czego być może od nas oczekiwano.

Odbywaliśmy też wakacyjne przejażdżki łodzią po ka-łalach, które wymuszały na nas wspólne spędzanie czasu. W

ciągu trzech i pół dnia pokonaliśmy odległość, którą samochodem przebylibyśmy w godzinę. Mieliśmy spory kłopot ze zrozumieniem idei przyświecającej tej formie rekreacji. A koniec końców, Cathy i Pete zawsze się na nas gniewali, że nie czerpiemy z tego wszystkiego takiej przyjemności, jakiej się spodziewali. Przy puszczam, że byli nami rozczarowani, ale już samo to, że oczekiwali od nas radości, świadczyło o tym, że znali nas równie słabo jak my ich.

Isobel i ja mieliśmy tak odmienne od naszych rodziców zastępczych oczekiwania, jeśli chodzi o nasze wzajemne relacje, iż życie z nimi pod jednym dachem było mocno uciążliwe. Pod wieloma względami oboje byliśmy typowymi nastolatkami i napięcia, jakie w normalnej rodzinie łagodząby wzajemna miłość, zdawały się przeświecać spoza fasady sztucznej uprzejmości, którą wszyscy tak bardzo staraliśmy się utrzymać. Pewnego razu Cathy, podpiwszy sobie, do tego stopnia wściekła się na

Isobel, że zaczęła gonić ją po schodach z kieliszkiem wina w dłoni. Isobel, sądząc, że Cathy zamierza rzucić w nią tym kieliszkiem, wbiegła po schodach na piętro i ukryła się w swoim pokoju zupełnie rozdygotana. Nagle przypomniały jej się wszystkie dzikie awantury z ojcem.

Cathy wpadła za nią do pokoju i wściekle zaczęła tłuc ją po ręce podstawką pustego już kieliszka. Nie reagując w żaden sposób, Isobel była jak skamieniała, co doprowadziło Cathy do jeszcze większej furii. Na Isobel posypały się kolejne, jeszcze silniejsze, ciosy. W końcu Cathy przestała i zeszła z powrotem na dół. Następnego ranka po przebudzeniu moja siostra odkryła, że całe jej ramię, powyżej łokcia wwyż, okrywają wielkie siniaki. Wyglądało to tak źle, że jeden z jej nauczycieli wziął ją na stronę i zapytał, co jej się stało.

- Po prostu weszłam na drzwi - odpowiedziała Isobel, chcąc uniknąć nowych kłopotów.

Kilka dni później złożył nam rutynową wizytę pracownik opieki. Cathy i Pete kazali Isobel włożyć tego dnia bluźkę z długim rękawem, żeby nie było widać siniaków.

Od tamtej pory oboje staraliśmy się nie zadrażniać sytuacji, tak samo jak wcześniej, gdy mieszkaliśmy z ojcem, świadomi, że w każdej chwili możemy spowodować nowy wybuch gniewu i niechęci.

Na początku roku 2003 Isobel zdała sobie sprawę, że adwokat, którego zatrudniliśmy, by rozwiązał sprawy ma-jątkowe mamy, nic nie wskórał. Isobel miała ukończone szesnaście lat, a niebawem miała ukończyć siedemnaście, wówczas też podjęła decyzję, by owego adwokata zwolnić i zająć się całą sprawą. Gdy do niego zadzwoniła, by go poinformować, że nie chcemy dłużej korzystać z jego usług, adwokat oświadczył, że bardzo mu to odpowiada, gdyż nasza sprawa jest tak skomplikowana, że zupełnie przestał

sobie z nią radzić. Pamiętam, że wtedy zastanowiło mnie, w jaki sposób Isobel zamierza

samodzielnie się uporać z tym wszystkim, skoro nie udało się to wykwalifikowanemu adwokatowi. Jednak Isobel zaczynała być w podobnych sprawach naprawdę dobra. Stoczyła prawdziwą batalię z owym adwokatem, który usiłował obciążyć nas kosztami za czas, jaki nam poświęcił, podczas gdy w rzeczywistości niczego nie osiągnął. Isobel sama stawiała mu czoło i zdołała wybrnąć z tej sytuacji, co zrobiło na mnie wielkie wrażenie.

W Evesham wynajęła nowego adwokata, ale i tak z powodu mnóstwa komplikacji upłynęło kilka lat, zanim wszystko zostało w końcu wyjaśnione. Dowiedzieliśmy się na przykład, że w ciągu sześciu miesięcy po śmierci mamy obciążenie jej konta wzrosło i bank domagał się od nas spłaty zadłużenia.

Można było odnieść wrażenie, że całe życie Isobel upłynie na załatwianiu najrozmaitszych formalności, takich jak zdobycie aktu urodzenia mamy, jej aktu zgonu czy aktu ślubu rodziców.

W opiece społecznej chciano zająć się moimi sprawami finansowymi, wyznaczając mi zarządcę, ponieważ Isobel nie miała jeszcze osiemnastu lat, jednak żadne z nas nie wierzyło, że ci z opieki podejmą w naszym interesie najlepsze decyzje.

Czekała nas przeprawa przez istny gąszcz papierkowej roboty, musieliśmy wykonać mnóstwo telefonów i sporo się naczekać, aż właściwe osoby zaszczycą nas swą uwagą; a o spotkanie z jeszcze innymi tyle musieliśmy się nazabiegać, iż czasem wydawało nam się, że nigdy nie wydobędziemy się z tej matni i że przez resztę życia będziemy borykać się z tym chaosem, w który wtrącił nas ojciec w dniu, gdy zamordował mamę. Nie wiem, doprawdy, co bym zrobił, gdybym nie miał Isobel, która wzięła to wszystko na siebie.

ROZDZIAŁ 14

ISOBEL

Wzajemna antypatia między nami a rodzicami zastępczymi wciąż rosła i coraz trudniej było zachować pozory, że się lubimy. Widziałam, jak bardzo irytują ich oboje, zwłaszcza Cathy. Hlekoć siedzieliśmy razem na kanapie, oglądając telewizję, Cathy trzymała mnie za ramię i szczypała je albo boleśnie wbijała w nie paznokcie. Sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się oprzeć pokusie zadawania mi bólu, dając mi odczuć swój do mnie stosunek i to, że jest mną sfrustrowana, nawet jeśli o nic się w danej chwili nie kłócimy.

Dopiero później, kiedy pokazano mi dokumenty opieki społecznej dotyczące owego okresu, wyczytałam w nich, że Cathy twierdziła, że takie właśnie było moje nastawienie do niej, a zatem oskarżała mnie o coś, co sama zrobiła. Wpadłam wtedy w furję!

Gdy pewnego wieczoru oświadczyłam, że sprawia mi ból, tak bardzo się wściekła, że goniła mnie po schodach na górne piętro, okładając mnie kieliszkiem. Jakby naprawdę wierzyła, że wszystko zmyśliłam tylko po to, żeby ją oskarżyć. Nigdy nie powiedziałam żadnemu z pracowników opieki o tym, że nasze relacje się psują, głównie dlatego że nie miałam pojęcia, jak się z nimi skontaktować, nie prosząc naszych rodziców zastępczych o ich numer telefonu - w przeszłości prośba ta nigdy nie wyszła nam na dobre. Przez kilka miesięcy ani mnie, ani Alexowi nie przydzielono ani jednego pracownika opieki społecznej, a gdy coś się działo, pracownicy opieki sporadycznie z nami rozmawiali, zawsze w obecności Cathy i Petea, toteż nie mieliśmy szansy głośno powiedzieć, co tak naprawdę myślimy, nie ryzykując, że jeszcze bardziej urazimy naszych rodziców zastępczych.

Przez większość czasu nie odzywałam się i starałam się nie wdawać w kłótnie, tłumiąc w sobie całą frustrację i żal i mając nadzieję, że w ten sposób zapewnię spokój w domu.

Jednak nie odzywając się ani słowem, sprawiałam przypuszczalnie wrażenie osoby ponurej i nieuprzejmej, gdy zaś wychodziłam z pokoju, aby uniknąć pokusy jakiegoś komentarza, rodzicom zastępczym zapewne wydawało się, że wybiegam z pokoju w napadzie furii. Nijak nie potrafiłam znaleźć sposobu porażenia sobie z codzienną sytuacją w taki sposób, by uniknąć złego wrażenia i nie pogarszać naszych relacji.

Naprawdę frustrujące było uzależnienie od ludzi, których w gruncie rzeczy nie lubiliśmy i którzy nie lubili nas.

Traktowano nas, jakbyśmy wciąż jeszcze byli małymi dziećmi, choć miałam prawie siedemnaście lat i byłam niemal dorosłą osobą. Nikt nie rozmawiał z nami szczerze i otwarcie o naszej sytuacji i dopiero gdy zbliżała się data procesu ojca, odkryliśmy, że wszyscy dorośli wokół nas wiedzą o nas coś przerażającego, o czym my nie mieliśmy pojęcia i czego nawet byśmy się nie domyślali.

Pracownicy opieki oraz policjanci wiedzieli o tej bombie, ponieważ czytali karty medyczne

mamy. Również Jillian i Helen powiedziały o sprawie policji w trakcie przesłuchań.

Nawet nasi rodzice zastępczy wiedzieli o wszystkim, lecz nie puścili ani pary z ust, co jak na nich było bardzo nietypowe. Później dowiedzieliśmy się, że pracownicy opieki społecznej zwrócili się do lekarzy, by wyjawili nam ową straszną prawdę, ci jednak odmówili, z powrotem przerzucając ten obowiązek na pracowników opieki.

Ostatecznie powierzono całą sprawę psychologowi z londyńskiej kliniki The Priori, w której gwiazdy popkultury leczą się z uzależnień. Nie mieliśmy o niczym pojęcia i kiedy w styczniu 2003 roku oznajmiono nam, że mamy udać się do Londynu na spotkanie z psychologiem, przypuszczaliśmy, że chodzi o kolejną rutynową rozmowę.

Wcześniej spotkał się z tym człowiekiem zaledwie dwa razy, kiedy w opiece społecznej potrzebowano opinii psychologa na nasz temat, by przedłożyć ją sądowi rodzinnemu, dlatego też trudno stwierdzić, dlaczego wszyscy uznali, że to właśnie on jest najważniejszą osobą, by o wszystkim nas powiadomić. Powiedziano nam, że mamy spotkać się z nim ponownie, nikt jednak nie podał powodu wizyty, a my nie pytaliśmy. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić do tego, by bez słowa iść wszędzie

tam, gdzie nam kazano, bez wnikania w sens tego, co się dzieje. Rodzice zastępczy zawieźli nas autem do Londynu.

Poza tym przyjechało jeszcze dwóch pracowników opieki. Nie zadawaliśmy żadnych pytań, bo to nigdy nie prowadziło do niczego dobrego, zresztą i tak nie wiedzieliśmy, o co pytać.

- Musimy powiedzieć wam o tym teraz - oświadczył

psycholog, gdy w końcu znaleźliśmy się w jego gabinecie - bo w przeciwnym razie o wszystkim dowiedzielibyście się na sali sądowej. Wasza matka cierpiała na chorobę Huntingtona.

Nic nam to nie mówiło. Żadne z nas nigdy nie słyszało o chorobie Huntingtona. Psycholog zaczął wyjaśniać, co mogłoby to oznaczać w przypadku naszej mamy i co może oznaczać w naszym. Choroba owa, stwierdził, spowodowana jest degeneracją tkanki nerwowej w mózgu. Gdy zaczyna się ujawniać, człowiek wykonuje gwałtowne, niekontrolowane ruchy i stopniowo popada w demencję. Większość chorych nie zauważa u siebie żadnych symptomów przed trzydziestym piątym rokiem życia. Choroba jest dziedziczna, istnieje pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa przekazania jej potomstwu. Innymi słowy, takie właśnie były rokowania: że chore jest jedno z nas albo nawet oboje. Istnieje sprawdzający to test, lecz prawo zezwala na jego wykonanie, gdy badany ma ukończone osiemnaście lat. Tak więc wiedzieliśmy tylko tyle, że istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że cierpimy na chorobę zwyrodnieniową. Aby jednak zyskać co do tego pewność, musiałam czekać - przez rok i trzy miesiące - do swoich osiemnastych urodzin, Alex zaś musiał czekać na taką chwilę dwa lata dłużej niż ja.

W populacji liczącej sto tysięcy zdarza się pięć do ośmiu przypadków choroby Huntingtona.

Większość osób ze zdiagnozowaną chorobą żyje jakieś piętnaście do trzydziestu lat po ujawnieniu się jej pierwszych symptomów. Jeszcze nie odkryto na nią leku. Pierwsze objawy polegają zwykle na tym, że na twarzy chorego sporadycznie pojawiają się niekontrolowane grymasy, zaczyna się on trząść i staje się niezdatny. Wraz z początkami demencji chory łatwo wpada w irytację i staje się trudny we współżyciu, ma problem z podejmowaniem decyzji, traci pamięć i wpada w apatię.

Sluchając opisu psychologa, miałam przed oczami obraz mamy z okresu ostatniego czy ostatnich dwóch lat jej życia.

Czy cokolwiek wskazywało na to, że jest chora? A może jej nagle, krótkotrwałe wybuchy gniewu były spowodowane wyczerpaniem i stresem?

Nie spędziliśmy w gabinecie psychologa nawet dziesięciu minut, a już znaleźliśmy wszystkie te fakty. Następnie psycholog prędko się z nami pożegnał, wróciliśmy do samochodu, by ruszyć w powrotną drogę. Staraliśmy się ogarnąć wszystko, co usłyszeliśmy. Sięgając myślami wstecz, zaczęłam się domyślać, że to właśnie na tę chorobę, a nie na raka, tak młodo umarła babcia, zdałam sobie również sprawę, że mama musiała wiedzieć, że na nią cierpi.

Przechodząc onegdaj depresję i podejmując próbę samobójczą, musiała już wtedy wiedzieć, że wkrótce będzie inwalidką i że tak czy owak przedwcześnie umrze. Musiała się obawiać, że stanie się dla nas ciężarem, wzbudzając coraz większą irytację ojca. Toteż jej próba samobójcza nie musiała być aktem aż tak samolubnym, jak nam się wtedy wydawało. A może nawet myślała wówczas, jak zwykle, głównie o tym, co okaże się najlepsze dla mnie i Alexa. Skoro aż do dnia operacji nie powiadomiła nas o raku piersi, nic dziwnego, że również swą chorobę Huntingtona trzymała w tajemnicy przed nami.

W drodze powrotnej do domu obserwowaliśmy z tylnego siedzenia naszych rodziców zastępczych. Trudno nam było sobie wyobrazić, że od tyłu miesiący wiedzieli o chorobie Huntingtona, podczas gdy my nie mieliśmy o tym zielonego pojęcia. Nie zamierzałam ukrywać, że mam do nich o to pretensje. W ciągu poprzednich miesięcy zaczynałam nawet mieć poczucie, że mogę im zaufać, mimo że za nimi nie przepadałam, teraz zaś, dowiadując się nagle, że nie zamierzali nam o tym powiedzieć, byłam bardzo zawiedziona, i to właśnie im powiedziałam.

- Ci z opieki społecznej i z policji zabronili nam rozmawiać o tym z wami - wyjaśnili Cathy i Pete. - Stwierdzili, że nie ma sensu wam tego mówić, bo i tak nie możecie się jeszcze przebadać na tę chorobę.

- Dlaczego więc teraz zmienili zdanie?

- Bo i tak wszystko wyjdzie na jaw na sali rozpraw.

Wieści te, co osobliwe, nie przeraziły nas zbyt, a jedynie rozżołościły. Po tym wszystkim, co nas spotkało w ciągu ostatniego roku, wydawały się kolejną przeciwnością losu, z którą

musieliśmy się zmierzyć, nijak nie mogąc jej ominąć. Pomyślałam sobie nawet, że być może po tym wszystkich przeżyciach byłoby już przesadą, gdyby na dodatek co najmniej jedno z nas cierpiało na nieuleczalną chorobę. Wszak los nie może być aż tak nam nieprzychylny po tym, jak straciliśmy matkę, i to w tak strasznych okolicznościach... Dlatego też, jak miałam w zwyczaju, zepchnęłam myśl o tym w podświadomość, postanawiając, że stawię czoła problemowi w swoim czasie: gdy będę na tyle dorosła, by przejść stosowny test.

Termin procesu ojca był wciąż przesuwany, ponieważ policja gromadziła przeciw niemu dowody, podczas gdy jego adwokaci usiłowali zebrać jak najwięcej świadectw lekarskich dotyczących zarówno jego, jak i mamy, aby zrationalizować i usprawiedliwić to, co zrobił. Odnosiliśmy wrażenie, że wciąż natrafiają na nowe przeszkody. Jak gdyby w świecie dorosłych zupełnie nikomu nie zależało na ustaleniu, co dokładnie wydarzyło się w naszym domu tamtego dnia, i na ukaraniu ojca za popełniony przezeń czyn. Aż do rozpoczęcia procesu cały dom należał do ojca, ponieważ jako mąż mamy automatycznie dziedziczył jej połowę domu, co oznaczało, że my posiadaliśmy niewiele więcej niż ubrania, które mieliśmy na sobie.

Podczas owych trzynastu miesięcy spędzonych w kom-fortowym areszcie śledczym ojciec miał czas na obmyślenie wraz z prawnikami linii obrony, jednak owa strategia raczej nie przekonywała nikogo spośród tych, którzy wysłuchali obrony.

Chwilami zdawało się, że ojciec broni się w taki sposób, by go skazano, co pozwoliłoby mu uciec od wszelkich zmartwień i trudności, z którymi zmaganie

się było dla niego tak trudne, gdy przebywał na wolności.

Łatwo było nam uwierzyć w jego szczerść, kiedy prosił, by go posłano za kratki. Więzienie odpowiadałoby mu - nigdy nie był

człowiekiem, który chciałby rozmawiać z ludźmi, jeśli nie było to konieczne. Nie szukałby też zwady z innymi więźniami, chyba że któryś z nich by go zaczepił. Gdyby tak się zdarzyło, niebawem więźniowie omijaliby go szerokim łukiem. Nawet gdy jeszcze mieszkał z nami, zawsze zachowywał się tak, jakby już siedział w więzieniu, spędzając większość dni w swojej „celi”. Mijając nas na schodach, nawet nas nie zauważał, zawsze starając się trzymać na uboczu.

„Skazcie mnie na dwadzieścia lat - domaga się zabójca własnej żony”, donosiły nagłówki gazet poświęcone temu tematowi.

Władze nieprzychylnie zapatrywały się na nasze uczestnictwo w procesie. Utrzymywały, że nie powinniśmy opuszczać tak wiele szkolnych zajęć, my jednak domagaliśmy się, by nam na to zezwolono. Oboje mieliśmy dobre wyniki w nauce, zarówno jeśli chodzi o oceny semestralne, jak noty z egzaminów, toteż kilkudniowa nieobecność nie miała większego znaczenia. Uznaliśmy, że dowiadywanie się wszystkiego z gazet oraz chodzenie do szkoły ze świadomością, że i tak każdy wie o tym, co się dzieje na sali rozpraw, będzie dla nas znacznie trudniejsze niż nasza na niej obecność. I zjawiliśmy się na procesie - na szczęście, ponieważ na początku wystawiono mamie

nader nieprzychylnie świadectwo, my zaś nie chcieliśmy wracać do szkoły, póki nie zostanie powiedziane

wszystko, co jest do powiedzenia, i póki nie zostanie przyjęta nasza wersja zdarzeń.

Mieliśmy dosyć tego, że zupełnie się nas pomija w tak ważnej dla nas sprawie, podczas gdy wszyscy inni wypowiadają się na nasz temat, jakbyśmy byli pozbawieni rozumu i języka. W końcu to nasza rodzina i nasze życie miało stanowić przedmiot obrad, dlatego więc nie mielibyśmy być obecni na sali, by wszystkiego wysłuchać i przedstawić własny punkt widzenia? Gdy w końcu postanowiono, że możemy zeznawać jako świadkowie, jeszcze bardziej niedorzeczna wydała nam się ewentualność, że mamy zeznawać, a nie wolno nam zostać i posłuchać tego, co inni mówią o nas i o naszej mamie. W końcu sędzia dał za wygraną i uzyskaliśmy zgodę na uczestnictwo w całym procesie.

Nasza prawniczka była cudowną kobietą i bardzo martwiła się tym, że mamy zeznawać jako świadkowie, by to doświadczenie nie okazało się dla nas zbyt traumatyczne. Na początku policjanci przyznali jej rację: nie chcieli, żebyśmy przechodzili przez całą tę gehennę, może dlatego że pamiętali nas sprzed roku, z czasu pierwszych przesłuchań, kiedy wydaliliśmy się im niedojrzali. Ostatecznie to prawnik ojca zdecydował, że powinno się nas powołać na świadków. Sądzę, że słyszał nagrania owych przesłuchań policyjnych, i nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo dojrzeliliśmy od tamtej pory i jaką zyskaliśmy wprawę w bronienu własnych racji w konfrontacji z dorosłymi. Policja przesłuchiwała nas nazajutrz po morderstwie, kiedy wciąż jeszcze nie docierało do nas, co się wokół nas

dzieje. Na owych nagraniach słycać nasze żarty i śmiechy, co dało kompletnie błędne wrażenie na temat tego, jak tym razem będziemy przedstawiać naszą wersję wydarzeń. Dopiero w ciągu tygodni i miesięcy, które nadeszły później, zaczęło stopniowo do nas docierać, co stało się z naszą mamą. Wciąż jednak nie znaleźmy całej prawdy; szukające szczegóły mieliśmy poznać w ciągu najbliższych dni, gdy słuchaliśmy zeznań pozostałych świadków.

Pierwsza jestem gotowa przyznać, że jak na swoje piętnaście lat nie bylam szczególnie dojrzała. Dopóki żyła mama, mogłam pozostawać trochę infantylna, ponieważ to ona wszystko za nas robiła, a ja nigdy nie musiałam za nic brać odpowiedzialności. Alex wciąż był jeszcze dzieckiem. Rok jaki upłynął od jej śmierci, był dla nas obojga wprawdzie trudnym, ale też i pouczającym zakretem na naszej drodze życiowej i nie byliśmy już tymi samymi dziećmi, którymi byliśmy owego krytycznego dnia.

Prawniki ojca musieli sądzić, że będzie w stanie przedstawić nas jako trudne dzieci rodem z koszmaru i że uda mu się nas zastraszyć oraz złamać, po czym przyznamy, że tata jest tak naprawdę wspaniałym człowiekiem, a do tego, co zrobił, popchnęła go mama. Mieliśmy jednak całkowitą pewność, że żaden rozsądny skład sędziowski nie dałby temu wiary, byliśmy również przekonani o własnych racjach i gotowi stawić się na każde przesłuchanie.

Nasza prawniczka była tak uprzejma, że umożliwiła nam wizytę w sądzie na kilka dni przed

rozprawą, żebyśmy mogli zobaczyć rozkład sali sądowej i poznać kilka osób, które miały pojawić się w dniu rozprawy, jednym słowem - żebyśmy mogli oswoić się z sytuacją. Sądzę, że również policjanci doradzili jej, by to uczyniła. Niewielu ludzi w ciągu ostatniego roku okazało nam tyle zrozumienia.

Kiedy 3 lutego 2003 roku rozpoczął się proces, oboje byliśmy mocno zdenerwowani. Nasi rodzice zastępczy pojawili się w sądzie razem z nami i zdawali się czerpać z tego faktu niejaką przyjemność - jakby się znaleźli w programie *West End Show*; przez całą drogę powrotną żartując sobie w samochodzie z tego, co powiedziano w sądzie, i wszystko komentując. Dwoje kuzynów mamy również złożyło nieoczekiwaną wizytę w sądzie, ale więcej niż z nami przegadali z naszymi rodzicami zastępczymi. Funkcjonariusz odpowiedzialny za kontakty z rodziną przez cały czas siedział

obok nas, a pracownik opieki społecznej pojawiał się w sądzie w te dni, kiedy składaliśmy zeznania, by móc sporządzić następny raport na nasz temat, do którego nie mieliśmy dostępu przez następnych parę lat.

Ojca zobaczyłam po raz pierwszy od ponad roku, kiedy policjanci wyprawdzali go z domu do wozu policyjnego.

Choć byliśmy pewni, że potrafimy stawić czoła jego adwokatowi, ojciec nie przestał wzbudzać w nas przerażenia.

Strach, towarzyszący komuś codziennie przez wiele lat, nie znika w ciągu jednej nocy, niezależnie od tego, jak bardzo byśmy go racjonalizowali.

Gdy wprowadzono ojca na salę sądową, wyglądał zupełnie inaczej, niż go zapamiętałam. Robił jeszcze bardziej przerażające wrażenie niż wówczas, gdy wymykał się ze swego pokoju lub gdy siedział w kuchni, patrząc na wskroś nas niewidzącym wzrokiem. Zdawało się, że urosł mu brzuch, a ze swą ogoloną głową i gniewnym wyrazem twarzy wyglądał jak zwykły skinhead. Zdaje się, że po raz pierwszy, widząc go, odniosłam takie samo wrażenie jak wszyscy inni i wreszcie zrozumiałam, dlaczego sąsiedzi tak bardzo się go obawiali przez wszystkie minione lata.

Po olbrzymiej ilości wstępów, które zdawały się trwać całą wieczność, zaczęto przechodzić do rzeczy. Byłam zaszokowana sposobem, w jaki adwokat ojca bezczęścił

pamięć naszej matki, utrzymując, że to jej wina, iż ojciec wpadł

w szal i ją zabił. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ofiarę morderstwa można przedstawiać tak jakby sama ponosiła za nie winę. Jak gdyby mama w jakiś sposób sama je sprowokowała; jak gdyby ojciec był starym psem o paskudnym usposobieniu, którego dzieci nie powinny drażnić.

Tata odmówił na procesie składania zeznań, więc policja zaprezentowała nagrania jego pierwszych przesłuchań.

Członkowie rady przy sięgły ch usły szeli wszystko, co miał

wówczas do powiedzenia. Problem, jaki stanowiło to dla nas, polegał na tym, że nasza prawniczka nie miała okazji go przesłuchać, by zweryfikować którekolwiek z jego twierdzeń i opinii pochodzących z nagrań. Gdyby mogła to zrobić, z łatwością potrafiłaby niemal wszystko podważyć. Tymczasem jego utrwalone na nagraniach

zeznania nie zostały zakwestionowane, my zaś zdaliśmy sobie sprawę, że czeka nas ciężka przeprawa, by uwierzono w naszą wersję wydarzeń.

Poproszony przez śledczych o wyjaśnienie powodów, które pchnęły go do zabójstwa, ojciec stwierdził, że za wszystko ponosimy winę my oraz mama, a przyczyną jest sposób, w jaki go traktowaliśmy. Powiedział im, że bardzo nas nienawidził i że uczyniliśmy jego życie żalonym. Oświadczył, że początki choroby Huntingtona sprawiły, że mama łatwo wpadała w irytację, traciła pamięć i że życie z nią było trudne.

Były to wierutne bzdury. Gdy na świadka powołano lekarza mamy, wyjaśnił, że zaczęły pojawiać się u niej zaledwie wczesne symptomy tej choroby, takie jak słabsza pamięć i drżenie kończyn. Słuchając tego, co mówił ojciec, zrozumiałam, dlaczego ci z opieki zostali zmuszeni, by jakoś nam powiedzieć o tej chorobie - w przeciwnym razie, usłyszawszy o tym po raz pierwszy od obcych ludzi na sali sądowej, doznałibyśmy szoku.

Według ojca mama wciąż zaniedbywała swoje obowiązki gospodyni, a w domu zawsze można było znaleźć przeterminowaną żywność. Gdy policja sprawdziła zasadność tych oskarżeń, okazało się, że jedynym takim produktem była zakupiona przez mamę paczka chrupek, które położyłam na lodówce, gdyż ich nie jadałam. Tata utrzymywał również, że dom zawsze był zapuszczony i że mama nigdy nie sprzątała, co nie było prawdą - a zresztą to on przesiadywał wiecznie w domu, by się nami zajmować, podczas gdy mama zarabiała na utrzymanie

nas wszystkich. Dom może i był nieco zaniedbany, gdyż mama wołała nam poświęcać swój czas i na nas wydawać pieniądze, on zaś wydawał je na picie i przesiadywał

zamknięty w swym pokoju. Tak czy owak, nasz dom nie był

bardziej zapuszczony ani mniej schludny niż większość domów zamieszkałych przez rodziny mające rozliczne zajęcia.

Ojciec twierdził również, że denerwował się, bo nie miał

żadnych pieniędzy, i że był to kolejny powód, który pchnął go do jego desperackiego kroku. My jednak wiedzieliśmy, że brak pieniędzy nie mógł być tego przyczyną, gdyż mama zawsze zapewniała mu wszystko, o co poprosił, i że nigdy mu niczego nie brakowało. Być może miał trochę oszczędności z owego krótkiego okresu, gdy pracował dorywczo, dostarczając przesyłki - podjął tę pracę, jak zeznał, by poczuć się bardziej niezależnym -lecz w końcu pieniądze te się

wyczerpały. Ale jeśli to właśnie stanowiło problem, to przecież łatwo mógł

znaleźć inną pracę, która przyniosłaby mu tyle samo pieniędzy, zwłaszcza że nie miał żadnych innych obowiązków. Pomijając jego nienawiść do całego świata, nigdy nic nie stało na przeszkodzie, by zaczął pracować.

Twierdził również, że nie lubił, gdy zapraszałam do naszego domu znajomych, zwłaszcza chłopców. Usiłował

stworzyć wrażenie, że śpiam z kim popadnie, a ja po prostu byłam chłopczarą i zawsze przyjaźniłam się niemal wyłącznie z chłopakami. Znajomi rzadko nas odwiedzali, ponieważ bałam się rozgniewać ojca. Wszyscy oni uważali, że tata jest dziwny, i unikali go. Zaprosiłam

przyjaciół tylko dwa razy, kiedy miałam około trzy nastu lat. W obu przypadkach sądziłam, że taty nie ma w domu, a chcieliśmy wspólnie popracować nad zagadnieniami omawianymi w szkole. Gdy w pewnej chwili zszedł

niespodziewanie ze swego piętra i zobaczył, że przestrzeń, którą uważał za własną, naruszają jacyś obcy ludzie, wpadł w gniew i wyrzucił ich z domu. Nazajutrz w szkole nie bardzo umiałam wyjaśnić im jego zachowanie. W sądzie ojciec podkreślał, że chodziło nam wyłącznie o seks, co każdy, kto mnie znał, uznałby za niedorzeczność. W owym czasie myślałam tylko o szkole, sporcie i zajęciach pozaszkolnych.

Choć adwokat ojca wzywał nas na świadków, by nas zdyskredytować, reprezentująca nas prawniczka uważała, że będziemy najbardziej przekonującymi świadkami moralności, których mogłaby powołać. Nasze zeznania były zdecydowanie najpoważniejszym materiałem obciążającym ojca. Mało kto wiedział cokolwiek o tacie, gdy z większość czasu poprzedzającego morderstwo spędził on w swoim pokoju na piętrze. Bywało, że w środku nocy słyszano krzyki rozlegające się w naszym domu, być może wśród ludzi krążyły opowieści o niektórych jego breweriach, ale oprócz nas nikt inny nie musiał

przez szereg lat mieszkać z nim pod jednym dachem, doświadczając wszystkich jego dziwactw i wybryków. Jego prawnik musiał być skrajnie zdeterminowany, by całkowicie zakwestionować naszą wiarygodność, gdy oprócz nas nikt inny nie miał tak naprawdę pojęcia o tym, co się działo za zamkniętymi drzwiami naszego domu.

Ponieważ rozumieliśmy niewiele z tego, co się wydarzyło w ciągu roku poprzedzającego proces, wciąż prześladowała nas myśl, że jakiś kruczek prawny zadecyduje o tym, że ojciec zostanie uznany za niewinnego i że po zakończonym procesie wyjdzie z sali sądowej jako wolny człowiek. Ponieważ byliśmy przerażeni na myśl o tym, co mógłby nam zrobić, gdyby tak się stało, my sami oraz pracownicy opieki zawsze dokładaliśmy wszelkich starań, by nie wyszło na jaw, gdzie mieszkamy.

Tymczasem sędzia powołał na świadka naszą matkę zastępczą, nalegając, by podała swoje imię i

nazwisko oraz adres zamieszkania, tak by mogli to usłyszeć wszyscy zgromadzeni na sali sądowej, łącznie z tatą. A wówczas nabrało dla nas jeszcze większej wagi to, by ojciec usłyszał wyrok skazujący i by na długo pozostał w zamknięciu.

Gdy nadszedł czas, bym złożyła zeznania, wyprowadzono mnie z sali sądowej do niewielkiego pomieszczenia.

Zeznawałam tam przed kamerą wideo.

- Czy to prawda, że swego czasu miałaś kłopoty w szkole?

- zapytał mnie adwokat ojca.

Domyśliłam się, że chodzi mu o popełnioną przeze mnie kradzież w sklepie.

- Być może - przyznałam. - Każdy je czasem miewa.

Można było odnieść wrażenie, że ani ojciec, ani jego adwokat nie mieli pojęcia ani o normalnym życiu rodzinnym, ani o tym, czego się można spodziewać po przeciętnych dzieciakach. Oboje należeliśmy do najpracowitszych i najlepszych uczniów w szkole, mimo że Alex pakował się czasem w tarapaty, bo trochę rozrabiał. Jeśli w domu zdarzało nam się coś przeskrobać, normalny ojciec potrafiłby się z nami rozprawić, po prostu dając dam burę.

Tymczasem ojciec zawsze tylko zachęcał Alexa do niewłaściwego zachowania, gdy z wiedział, że to złościło mamę i sprawiało, iż on czuł się wówczas mniejszym odmieńcem.

Adwokat ojca stosował trik polegający na tym, że gdy kończyłam odpowiadać na jego pytanie, zapadała długa chwila milczenia. Zapewne miał nadzieję, że zacznę się płatać w zeznaniach i powiem coś, co będzie po jego myśli. Ilekroć jednak stosował swój trik, sięgałam po kolejny przykład z rezerwuaru okropności, które wyczytniał w domu tata. W

pewnym momencie adwokat się w tym połapał i przestał robić pauzy.

Zeznawałam przez większą część pierwszego dnia procesu, po czym oświadczone nam, że ja i Alex spędzimy tę noc w dwóch różnych miejscach, żebyśmy nie mogli porównać naszych notatek z procesu, więc wysłano Alexa do hotelu. Gdy już odpowiedział na wszystkie pytania, nadszedł czas zaprezentowania na sali sądowej policyjnych nagrań z przesłuchania taty.

Sluchając jego zeznań, można było odnieść wrażenie, że ma obsesję na punkcie seksu, mimo że te tematy nigdy nie były poruszane w naszym domu, gdy prowadziliśmy wspólne życie rodzinne. Ojciec upierał się, że jestem nimfomanką; że mama spała z jednym ze swoich uczniów, a Aleks był molestowany przez sąsiada, gdy miał siedem lat. Szczerze mówiąc, musiałam się dopytać, co znaczy słowo „nimfomanka”, żadne z nas nie przypominało

sobie również, by w sąsiedztwie mieszkał jakiś mężczyzna, a tym bardziej pedofil. Alexa nikt

nigdy nie napastował; mój brat nie wiedział nawet, że takie rzeczy się zdarzają. Gdy prawnik zaczął mi zadawać podobne pytania, najpierw wybuchnęłam śmiechem, po części na skutek szoku, a po części dlatego że uznałam to za żart. Zaskakujące było to, że adwokat ojca nie zadał sobie nawet trudu sprawdzenia, czy kiedykolwiek w sąsiednim domu mieszkał jakiś mężczyzna, ani też nie złożył wizyty w naszej szkole, by zasięgnąć języka na temat innych dzieci, które rzekomo przychodziły do naszego domu, by uprawiać ze mną seks. Gdyby to był uczynił, dowiedziałby się, że ja i moi koledzy należeliśmy do tej samej grupy badawczej i że spotykaliśmy się czasem, by przedyskutować swoje projekty. Tymczasem adwokat wysunął

swoje oskarżenia w obecności wszystkich zgromadzonych na sali sądowej i wyszedł na kompletnego durnia.

Ojciec zachowywał na ławie oskarżonych całkowity spokój, siedząc z kamienną twarzą, bez cienia emocji. Sprawiał

nieomal wrażenie, jakby był pod wpływem środków uspokajających i nie słyszał tego, co się dzieje wokół. Ten jego spokój jedynie potęgował złowroźny nastrój grozy, jaki zdawał się go spowijać. Może robił to celowo, by zastraszyć świadków. W pewnej chwili spojrzałam na niego, usiłując dociec, co się może dziać w umyśle kogoś takiego, za ty mi martwymi oczami, i próbując zarejestrować na jego twarzy jakąkolwiek reakcję na to, co o nim mówiono. Nagle ojciec pochylił się przed siebie i powiedział coś do swojego adwokata. Ten posłał mi

spojrzenie z drugiej strony sali, po czym podszedł do sę-

dziego i szepnął mu coś na ucho.

Sędzia wysłuchał adwokata i podniósł wzrok na mnie.

- Jeśli nadal będzie pani patrzyła na oskarżonego w taki sposób, młoda damo - rzekł ostrzegawczym tonem - nie będzie pani miała wstępu na salę sądową.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób patrzyłam na ojca. Być może na mojej twarzy odmalowała się nienawiść. Wydało mi się dziwne, że tata ma prawo żądać, bym nie mogła mu się przyglądać, mimo że siedział w samym środku sali posiedzeń sądu, właśnie tam, dokąd wędrował wzrok wszystkich zebranych. Czy naprawdę czuł się przeze mnie zagrożony? Być może usiłował zademonstrować sędziemu i ławie przysięgłych, jakim jestem koszmarnym dzieckiem, by dowieść, jak nieznośne musiało być mieszkanie ze mną pod jednym dachem? Może też chciał mi dać do zrozumienia, że w dalszym ciągu mnie kontroluje? Nie było to fair, zważywszy, że ja i Alex coraz bardziej obawialiśmy się, że w miarę gromadzenia się niekorzystnych dlań zeznań ojciec może się w końcu zdenerwować, stracić panowanie nad sobą i nas zaatakować. Dzielili nas odległość zaledwie kilku metrów.

Oczywiste było, że wypowiedziane na sali opinie budziły jego irytację, poza tym nie pozostawił najmniejszych wątpliwości co do tego, jak bardzo nas nienawidzi. Przekonałiśmy się już, że w

napadzie szału zdolny jest dokonać brutalnego ataku na osobę, która go rozżościła, zdałam sobie również sprawę, że kobieta, która miała nas ochraniać, siedziała zbyt daleko od nas, by w porę do nas przyskoczyć, gdyby ojciec nagle się na nas rzucił. A ponieważ chciał uniknąć kary, uzyskując orzeczenie „ograniczonej poczytalności”, niewiele by stracił, atakując nas na sali sądowej pełnej ludzi; członkowie ławy przysięgłych mogliby nawet uznać takie zachowanie za potwierdzenie tezy, że jest szalony i że zasługuje raczej na leczenie niż odsiadkę. Wszystkie te myśli kłębiły mi się w głowie, gdy słuchałam monotony ch głosów prawników, starając się na niego nie patrzeć.

Traktując to jako jedno z wyjaśnień faktu, że wpadł w szal

i zadźgał mamę dłem, ojciec zaczął rozwodzić się nad tym, jak to w dzieciństwie był molestowany - tak jakby to mogło stanowić jakiś powód tego, że zakuł na śmierć własną żonę. W

sądzie nie okazano najmniejszego zainteresowania tą informacją. Sądzę, że mógł mieć trudne dzieciństwo, jako jedno z dwanaściorga dzieci, ale nigdy wcześniej nam o tym nie mówił.

Przez cały rok poprzedzający proces ojciec usiłował

udowodnić, że jest psychicznie zaburzony. Rozmaici psychologowie spędzili z nim wiele czasu, próbując ustalić, czy to prawda. Wszelako żaden z nich nie stwierdził niczego ponad to, że ojciec cierpiał na „łagodne zaburzenia osobowości”.

Psychologowie orzekli, że ma również lekkie zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, czyli OCD, co tłumaczyłoby, dlaczego nie mógł znieść, gdy naruszaliśmy jego codzienną rutynę, co wszelako nie mogło stanowić przyczyny zamordowania kogokolwiek. Utrzymywał, że to właśnie owe OCD sprawiły, że wpadał w gniew, gdy w domu panował

nieład i nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Ponieważ jednak ty le czasu spędzał w swoim

pokoju, a tak niewiele gdziekolwiek indziej, trudno doprawdy przyjąć, że właśnie nieład stanowił dla niego poważny problem.

Wiem coś na temat OCD, gdyż zaburzenia te zdiagnozowano również u mnie. Sądzę, że są one dość częste u ludzi, którzy mają poczucie, że nie kontrolują swego życia, i którzy dlatego zaczynają mieć obsesje na punkcie drobiazgów, nad jakimi mogą zapanować. Mój stan pogorszył się, gdy przebywałam w Cathy i Petea, kiedy to natura moich nawyków i lęków stała się bardziej złożona. Ilekroć wychodziłam z domu i kładłam się do snu, musiałam wykonywać coraz więcej rutynowych czynności. Bez końca sprawdzałam okna i drzwi, po maniaczku wyłączając wszystkie urządzenia elektryczne, by poczuć się bezpieczną i całkowicie spokojną. Dopiero wtedy mogłam się zrelaksować i pójść spać. Cathy i Pete krzy czeli na mnie, wściekając się, gdy chcąc zaparzyć wodę w czajniku elektrycznym, stwierdzali, że wyłączyłam główny włącznik prądu w kuchni. W gruncie rzeczy irytowało mnie to tak samo jak ich, ale nie mogłam się powstrzymać. Alex przypominał

mnie trochę pod tym względem, choć nie miał aż takiej obsesji na punkcie codziennego powtarzania tych samych czynności.

Jego mania polegała na układaniu rzeczy w jednakowych szeregach. Może odziedziczyliśmy to po tacie. Z pewnością jednak nie przyszłoby mi na myśl, by wykorzystywać ten fakt jako pretekst do morderstwa.

W trakcie przesłuchania przez policję ojciec w pewnej chwili stwierdził, że żadne z nas nie jest jego dzieckiem, jakby mama sypiała z kim popadnie przez cały czas trwania ich małżeństwa, co stanowiło zarzut absurdalny. Jednak pod wpływem tych słów zaczęliśmy się zastanawiać, czy coś takiego zdarzało się w jego rodzinie i czy dlatego wyobrażał

sobie - a może tylko tak twierdził - że działo się tak również i u nas. Może jako dziecko był molestowany i może w jego rodzinie były kobiety mające dzieci z nieprawego łoża. Wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Trudno było nam usiedzieć na miejscu, milcząc, gdy z ust ojca padało jedno kłamstwo za drugim. Miałam ochotę wykrzyknąć, że to wszystko nieprawda, wiedziałam jednak, że byłoby to źle widziane. W pewnej chwili ojciec stwierdził, że nie wiedział nawet o tym, że mama miała raka. Zdaje się, że chciał w ten sposób dowiedzieć, że był jej do tego stopnia obojętny, iż nie powiedziała mu o czymś tak istotnym. Ja tymczasem wiem, że po operacji przyjechał po nią do szpitala, więc było to wierutne kłamstwo. Pamiętam to bardzo dokładnie, tak bardzo bowiem było do niego niepodobne zrobienie czegoś dla kogokolwiek z nas. Po prostu zatelefonowano do Helen z informacją, że nie musi odbierać mamy ze szpitala, bo tata już to zrobił.

Słyszając wszystkie te zarejestrowane na nagraniach kłamstwa, mogłam jedynie robić notatki i przekazywać je naszej prawnicze, gdyż złożyliśmy już nasze zeznania, a kolejnej okazji ku temu już miało nie być. A ponieważ ojciec nie składał zeznań w sądzie, prawniczka nie miała możliwości zakwestionowania któregośkolwiek z zeznań złożonych przezeń na policji w trakcie przesłuchania ani też tych, które adwokat składał w sądzie w jego imieniu.

Wysłuchawszy z Alexem argumentów owego adwokata, zaczęliśmy się poważnie obawiać, że dzięki jakiemś kruczkowi prawnemu ojciec uznany zostanie za niewinnego i wypuszczony na wolność, gdy tylko skończy się proces. A że nie pozostawił ani cienia wątpliwości co do tego, jak bardzo nas nienawidzi, mogliśmy być pewni, że wkrótce potem zacznie nas szukać. Gdyby otrzymał wyrok kilku lat więzienia, przy najmniej miałby czas ochłonąć, a my mielibyśmy czas, by się wprowadzić i rozpocząć samodzielne życie. Sędzia musiał

chyba się zorientować, jak bardzo ojciec jest niebezpieczny...

Nasze zaufanie do wszelkich władz zostało w owym czasie tak bardzo osłabione, że nie mieliśmy pewności, iż zdołają nas one ochronić, jeśli ojciec wyjdzie na wolność. Jednym słowem, przez dwa tygodnie byliśmy kłębkim nerwów.

ALEX

Choć zezwolono na naszą obecność na sali sądowej podczas procesu i choć mogliśmy wysłuchać zeznań innych osób, zarówno Isobel, jak i ja musieliśmy zeznawać w innym pomieszczeniu przed kamerą wideo, a to oznaczało, że nie mogliśmy obserwować czyichkolwiek reakcji na to, co mówiliśmy. Jediną osobą, którą widzieliśmy, był zadający nam pytania prawnik widoczny na ekranie znajdującego się przed nami monitora. Nie podobała mi się myśl, że tata może dojść do wniosku, iż może nas kontrolować i tak nas zastraszyć, że aż składamy zeznania w innym pomieszczeniu.

Choć prawdą jest, że się go baliśmy, chętnie bym mu pokazał, że się go nie lękam, zeznając w odległości zaledwie kilku metrów od niego. Chciałbym widzieć jego reakcję na to, co miałem do powiedzenia - choć zapewne w ogóle by nie zareagował, gdyż nie okazywał niemal żadnego zainteresowania tym, co o nim mówiono.

Później przesłuchiwał nas adwokat ojca. Obecni na sali ludzie powiedzieli nam, że gdy składaliśmy zeznania, wszyscy bez wyjątku sędziowie przysięgli i inni słuchacze byli po naszej stronie. Powiedziano nam, że czasem nasze słowa budziły rozbawienie na sali rozpraw i że nasze bardzo konkretne oraz rzeczowe opisy życia rodzinnego sprawiły, że oskarżenia ojca pod adresem mamy wydały się wszystkim jeszcze bardziej niedorzeczne i fantastyczne.

Isobel zeznawała pierwsza i cały dzień spędziła przed kamerą. Nie wolno mi było się temu przysłuchiwać ani na sali sądowej, ani przebywając razem z nią w osobnym pomieszczeniu, żeby jej odpowiedzi nie wpłynęły na moje zeznania, gdyż sam miałem nazajutrz odpowiadać na pytania adwokata ojca. Ową noc mieliśmy spędzić osobno.

Umieszczono mnie w pokoju hotelowym, żeby Isobel nie mogła mnie pouczyć w sprawie swoich zeznań oraz zasta-wianych przez prawnika pułapek, jakich powinienem się wystrzegać. Adwokat ojca chciał mieć możliwość skon-frontowania mnie z zarzutami, jakie miał wobec mnie -tak by Isobel nie mogła mnie zawczasu ostrzec. Wiedziałem, że największym niebezpieczeństwem polega na tym, że słowa adwokata wywołają mój gniew, co sprawi, że zrobię wrażenie mało wiarygodnego świadka. Dlatego też byłem zdeterminowany, by zachować spokój i zimną krew. Zbyt wiele bowiem od tego zależało.

Nazajutrz, gdy zeznawałem w osobnym pomieszczeniu przed kamerą, po sądzie oprowadzano grupę dzieci w wieku szkolnym. Isobel bardzo to zirykowało, gdyż dzieci chichotały i przeszkadzały. W końcu krzyknęła na nie, żeby się uspokoiły, a wówczas sędzia udzielił jej reprymendy. Cały proces musiał owym dzieciom wydać się dość nudny, podczas gdy Isobel miała poczucie, że okazują one brak szacunku mamie i brak poszanowania dla naszej żaloby.

Ostatecznie z powodu ich zachowania sędzia musiał nakazać im opuszczenie sali sądowej. Sądzę, że odczuły wówczas prawdziwą ulgę.

Gdy jest się emocjonalnie zaangażowanym w sprawę, bardzo frustrująco działa obserwowanie obojętnego stosunku, jaki mają do niej inni. Wydarzenie, które zmieniło całe nasze życie i zniszczyło naszą rodzinę, dla większości osób w sali sądowej wiązało się jedynie z ich zawodowymi obowiązkami, podczas gdy innym, co było odrażające, dostarczało swoistej rozrywki. W pewnej chwili Isobel zauważyła, że gdy odczytywano wyniki analiz medycznych, jeden z członków ławy przysięgłych zasnął, ale jakoś udało jej się to przemilczeć.

I chociaż lekarze sądowi prezentowali przez około półtora dnia swój materiał, który był naprawdę nudny, to jednak zachowanie przytomności wydaje się minimalnym wymogiem, jaki winien spełnić w procesie o morderstwo członek ławy przysięgłych. Isobel zdołała się opanować i nie wspomnieć również i o tej sprawie, skoro nikt inny na sali sądowej najwyraźniej się nią nie przejął.

Wszystkie zarzuty, które wysunął wobec mnie prawnik w związku z zarejestrowanymi zeznaniami ojca, z łatwością odparłem. Większość oskarżeń ojca była ewidentnie niedorzeczna, stanowiąc wytwór jego chorej wyobraźni, co bez trudu wykazałem, po prostu relacjonując to, jak miały się sprawy w domu. Poszło mi tak dobrze, że nawet mnie zapytano, czy Isobel nie przeszkoliła mnie poprzedniej nocy odnośnie do tego, co mam mówić. Nie musiała tego robić, nawet gdyby jej pozwolono. Odpowiedzi na pytania nasuwały mi się same. Musiałem pamiętać jedynie o tym, by nie stracić panowania nad sobą. Zapewniano nas, że wystarczy, jeśli powiemy prawdę, a sprawiedliwości na pewno stanie się zadość. Chcieliśmy w to wierzyć, nadal jednak nie mieliśmy pewności, czy dzięki jakiemś kruczkowi prawnemu ojciec nie uniknie kary.

W pewnym momencie obronie ojca, odwołującej się do jego nagranych zeznań, nieomal udało się nas ukazać jako młodocianych przestępców. Stało się to wówczas, gdy zapytano ojca o reprymendę, jakiej udzielił Isobel za onegdaj popełnioną przez nią kradzież w sklepie. Wcześniej ojciec nic na ten temat nie mówił, najwyraźniej jednak postanowił teraz wykorzystać ten incydent przeciw niej, licząc na to, że piętnując ją przed sądem jako złodziejkę i kłamczuchę, zdyskredytuje wszystko, co powiedziała na jego temat. Isobel nigdy więcej nie dopuściła się podobnego czynu, a ponieważ połowa jej klasy co najmniej raz została przyłapana na drobnej kradzieży w sklepie, więc nie było to nic szczególnie poważnego. Isobel nigdy nie wypierała się swego czynu, jego przywołanie zaś i tak nie przekonało nikogo z obecnych na sali rozpraw, że kórekolwiek z nas dało ojcu powody do popełnienia morderstwa.

Ojciec twierdził również, że obawiał się, iż skończą mu się pieniądze, ale skoro mama była głównym źródłem jego dochodów, również i to jego twierdzenie pozbawione było podstaw. Dlaczego miałby zabić osobę, która zaopatrywała go w żywność i alkohol i dawała mu dach nad głową? Potem następowały wszystkie brednie dotyczące tego, jakoby mama była fatalną gospodynią. Adwokat ojca myślał, że zdoła przechytrzyć Isobel, pytając, czy w domu była jakaś przeterminowana żywność, a gdy zaprzeczyła, by wiedziała coś na ten temat, wydobyl „dowód” - chrupki znalezione w domu przez policję. Słyszeliśmy, że członkowie ławy przysięgłych wybuchnęli śmiechem, gdy Isobel wyjaśniła, że sama je tam położyła, gdyż nie jada chrupiek. Choć nie potrafimy tego stwierdzić, domyślam się, że wszystkie nasze odpowiedzi przyjęto jako

sowne i zgodne z prawdą, gdyż nie mieliśmy żadnych powodów, by w jakiegokolwiek sprawie kłamać, podczas gdy argumenty taty, gdy wysuwał coraz to nową skargę, coraz bardziej traciły na wiarygodności.

Nawet gdyby wszystko, co powiedział, było prawdą i gdybyśmy zgodnie z jego twierdzeniem byli koszmarnymi dziećmi, a mama najgorszą gospodynią świata, nadal nie sposób było pojąć, dlaczego poczuł nieodpartą potrzebę zadania mamie ponad pięćdziesięciu ciosów dłutem. Cały ten proces był rodem z *Alicji w krainie czarów*.

Wezwano na świadka Helen, a wówczas okazało się, że przez cały czas nazywała go „szalonym Bertem”, czego uczył

się adwokat ojca, próbując udowodnić, że ojciec ma ograniczoną poczytalność i że jest raczej „szalony” niż po prostu „zły”. Już wcześniej poddano go niezliczonym badaniom psychiatrycznym, aby sprawdzić, jak jest naprawdę, jednak wszyscy lekarze byli jednymiśmi co do tego, że ojciec owego fatalnego dnia zdawał sobie sprawę ze swych czynów.

Obrona chciała zasugerować, że stan jego umysłu oraz jego zachowanie miały związek z udarem, którego doznał, gdy byłem z nim sam w domu. Chciała dowiedzieć, że do owego momentu było z nim wszystko w porządku. Tymczasem policja znalazła mnóstwo świadków z sąsiedztwa, którzy chętnie udzielali obszernych wyjaśnień dotyczących tego, co wyczyniał ojciec od dnia, w którym zamieszkał w okolicy, na wiele lat przed udarem. Isobel i ja byliśmy zbyt mali, żeby dać wiarygodny opis jego zachowań z owego okresu, choć żadne z nas nie pamiętało, by kiedykolwiek znacząco różniły się od tych, które tak dobrze znaliśmy.

Do rozpoczęcia procesu nikt z nami nie rozmawiał o tym, co wydarzyło się w dzień morderstwa. Niemal wszystkiego, co pominięto w relacjach prasowych, dowiedzieliśmy się dopiero w sądzie - na przykład, że mieszkający w pobliskim domku parterowym starsi ludzie słyszeli krzyki, sądzili jednak, że są to odgłosy licznych zabaw dzieci, dlatego nic w tej sprawie nie zrobili. Podobne szczegóły sprawiały, że owa straszna scena stawała nam przed oczami, a nasza wyobraźnia odmalowywała ją nam w szczegółach.

Im więcej poznawaliśmy faktów, tym więcej nasuwało nam się pytań. Choć nadal nie mieliśmy pojęcia, dlaczego w dniu śmierci mama nie wspomniała o tym, że wróci do domu wcześniej, bo musi jechać do szpitala na umówioną wizytę, mogliśmy przyjąć, że spiesząc się rano do pracy, po prostu o tym zapomniała, lub że w ciągu owego dnia godzina, na którą była umówiona z lekarzem, uległa zmianie. Skoro faktycznie odbyła tę wizytę, co potwierdził szpital, jak to się stało, że miała na sobie domowe ubranie, gdy znaleziono jej ciało? Choć z biegiem lat przykładała do ubioru coraz mniejszą wagę, nadal jednak trzymała się pewnych standardów i ilekroć miała wizytę w szpitalu, zawsze wkładała eleganckie ubrania, które nosiła w pracy.

Ktoś zeznał, że widziano ją prowadzącą należącego do niej samochód o 15.15, a więc niedługo przed tym jak ojciec zadzwonił na policję, twierdząc, że ją zabił. Wydaje się mało prawdopodobne, że w ciągu tych kilku minut zdążyła się przebrać, więc musiała to zrobić

wcześniej. Wysła od lekarza o 14.10, jednak powrót do domu nie zajęłby jej aż godziny, więc mogliśmy się tylko domyślać, że przyjechała do domu, włożyła swoje domowe ubrania i znów wyruszyła dokądś samochodem. Ilekroć zostawałem sam z Isobel, tysiące razy analizowaliśmy tę sprawę pod każdym kątem, ale tak czy owak scenariusz ostatnich godzin życia mamy, stworzony przez policję, nie obejmował około czterdziestu pięciu minut. Gdy biegli sądowi pojawili się w domu, chcąc ustalić dokładny przebieg zdarzeń, za fotelem bujanym w jadalni znaleźli Alfiego. Znając zwyczaje mamy, mogliśmy wywnioskować, że siedziała w jadalni z psem, pilnując, by nie szczekał i nie przeszkadzał ojcu.

Jedną z tych rzeczy, które najbardziej poruszyły nas na sali sądowej, był sporządzony przez biegłych szkic przed-stawiający rany, jakie odniosła mama. Kropkami oznaczono na rysunku rany klute na ramionach, obojczyku, mostku i klatce piersiowej, gdzie zadano ciosy dłutem, a także inne rany na rękach i ramionach, co oznaczało, że najwyraźniej próbowała się bronić. Dawało to obraz ostatnich chwil jej życia, jej desperackiej walki z napastnikiem, i straszliwie mnie przygnębiło. Ilekroć usiłuję sobie wyobrazić, przez co mama musiała przejść w ostatnich chwilach życia, zaczęłam czuć mdłości i nienawiść do ojca.

Policjanci odtworzyli w sądzie nagrania dokonanych przez ojca telefonicznych zgłoszeń popełnionego morderstwa.

Otwarcie w nich informował, że zabił swoją żonę i że policjanci muszą przyjechać jak najszybciej, gdyż jesteśmy już w drodze do domu. Śledztwo wykazało, że po zabiciu naszej matki ojciec poszedł do siebie na górę, przebrał się, zdejmując zakrwawione ubrania, i spakował torbę na wyjazd, przypuszczalnie spodziewając się, że zanim zjedzie na dół, policjanci już będą na niego czekali. Jak gdyby zamordował

mamę tylko po to, by umieszczono go w celi, uwalniając tym samym od wszelkich obowiązków i konieczności podejmowania jakichkolwiek decyzji. Jeśli tak właśnie było, trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób sąd zamierza go ukarać za jego czyn inaczej, aniżeli

zapewniając mu właśnie to, o co mu chodziło. Oboje z Isobel uważaliśmy, że pobyt w więzieniu musi mu w pełni odpowiadać. Dla kogoś takiego jak on nie jest to żadna kara.

Wszak z własnej woli całe lata spędził zamknięty w swoim pokoju.

ROZDZIAŁ 16

ISOBEL

Prawnicy taty znaleźli jednego świadka moralności gotowego zeznawać na rzecz obrony i najwyraźniej byli przekonani, że dzięki jego zeznaniom mają szansę przywrócić swemu klientowi dobre imię. Podstawą ich przekonania było wstępne oświadczenie świadka. Był to Włoch, z którym tata rok wcześniej pracował przez krótki okres w firmie zajmującej się dostarczaniem przesyłek. Poproszono go o poręczenie, że tata był dobrym pracownikiem i dobrym człowiekiem. Jego wstępne zeznanie dało obronie pewność, że świadek powtórzy je podczas procesu. Obrona potrzebowała czegoś, co zadałoby kłam świadectwom tych wszystkich ludzi, którzy publicznie stwierdzali, że tata był strasznym mężem, ojcem i sąsiadem.

Gdy jednak świadek zajął swoje miejsce, powiedział coś całkowicie sprzecznego ze spisana wersją swych rzekomych wcześniejszych zeznań. Zamiast powiedzieć, że tata mógł to a to zrobić, stwierdził, że właśnie tego zrobić nie mógł.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że okamywanie sądu po złożeniu przysięgi jest przestępstwem, za które grozi kara więzienia? - z niecierpliwością w głosie przypominał mu adwokat, najwyraźniej rozwścieczony tym, że jego ostatnia deska ratunku, której się uchwycił, idzie właśnie na dno.

Jednak Włoch uparcie obstawał przy swojej wersji, za-klinając się, że nijak nie mógł wypowiedzieć słów zamieszczonych w pisemnej wersji zeznania, gdyż był święcie przekonany, iż rzeczy miały się zupełnie na odwrót.

- To jakaś pomyłka - protestował. - Nie mogłem tego powiedzieć. Nie mógłbym stać w tym miejscu, mówiąc coś, co przemawiałoby na korzyść tego człowieka.

Adwokat naciskał na niego przez prawie godzinę, jednak świadek odmówił zmiany zeznań pomimo groźby uwięzienia za krzywoprzysięstwo. Z braku innych świadków obrony adwokat zażądał odtworzenia nagrania rozmowy z Włochem i porównania go z pisemną wersją owego zeznania, na której się opierał. Nastąpiła przerwa w rozprawie, więc sąd mógł

przesłuchać nagranie, a wówczas, zmitrężywszy wiele godzin, odkryto, że osoba przepisująca zeznanie pominęła słowo „nie”, wyraźnie słyszalne na nagraniu, zupełnie zmieniając tym samym sens tego, co mówił Włoch. Tak oto świadek, który, na co liczyła obrona, miał zeznać o tacie coś pozytywnego, w rzeczy wistości jedynie go pograżył. Zespół oskarżycieli nigdy nie powołałby go na świadka, więc był to nieoczekiwany punkt dla nich. Wydawało się, że żaden spośród ludzi, którzy kiedykolwiek zetknęli się z tatą, nie wyłączając jego świadka moralności, nie mógł o nim powiedzieć choćby jednego dobrego słowa. Byliśmy wdzięczni Włochowi za to, że uparcie obstawał przy swoim. Wątpię, by ktokolwiek zapoznał

się z nagraniem jego zeznań, gdyby uległ presji i przyznał, że to on popełnił błąd.

Mnóstwo świadków ewidentnie przeżywało stres, kiedy mieli zająć swoje miejsce i zeznawać pod martwym spojrzeniem ojca. Jillian po prostu się trzęsła, a jej głos drżał, kiedy mówiła, jednak nie pozwoliła, by to miało wpływ na jej zeznania. To właśnie w sądzie po raz pierwszy usłyszeliśmy szereg historii opowiedzianych przez świadków, którzy mieszkali na naszej ulicy, dotyczących tego, co wyrabiał nasz ojciec, niszcząc ogródki i jeżdżąc po ulicy swą półciązarówką z zamontowanym na dachu głośnikiem, przez który im wymyślał, wrzeszcząc. Choć to, co mieliśmy do powiedzenia na sali sądowej, musiało otworzyć oczy każdemu, kto nas słuchał, również i my dowiedzieliśmy się niejednego o historii własnej rodziny. Mogliśmy spojrzeć na to, co się działo w naszym domu, oczami innych. Wszyscy sąsiedzi przez lata słyszeli awantury i krzyki, a także byli świadkami takich czy innych incydentów. Na salę rozpraw wezwano lekarza mamy i odczytano ze szczegółami raporty dotyczące choroby Huntingtona, na którą cierpiała, więc równie dobrze mogli nas powiadomić o wszystkim innym już wcześniej.

W przeciwieństwie do tego wszystkiego, co powiedziano o tacie, na nasz temat wyraził się źle tylko jeden świadek. Była to sąsiadka twierdząca, że znęcałam

się rzekomo nad jej córką, które to wydarzenie zupełnie wyparowało mi z pamięci. O ile sobie przypominałam, ja i owa dziewczyna zawsze byłyśmy dobrymi przyjaciółkami aż do chwili, gdy wybuchła między nami kłótnia o coś, po której przestałyśmy ze sobą rozmawiać. Nawet jeśli ona sama postrzegała to jako znęcanie się, co było raczej niemożliwe, to i tak nie było powodu, by wyciągać to przed sądem badającym sprawę morderstwa mojej mamy. Tak mnie to zraniło i rozwścieczyło, że wyszłam za nią z sali rozpraw i zaczęłam jej wymyślać na korytarzu, zatem znów przywołano mnie do porządku.

Pod koniec dwutygodniowego procesu ogłoszono mowy końcowe. Gdy adwokat taty wygłaszał swoją, bardzo niewiele zostało w istocie do powiedzenia, gdyż z powodu wszystkich fantazji i kłamstw taty wyszedł na kompletnego głupka. Jego mowa trwała półtora dnia.

Nikt nie sugerował, że tata nie zabił mamy; najwyraźniej chodziło o ustalenie, czy był w pełni władz umysłowych, popełniając zabójstwo, i czy mama w jakiś sposób go sprowokowała. Gdy mowy dobiegły końca, przysięgli na kilka godzin opuścili salę rozpraw. Kiedy wrócili, przewodniczący składu orzekł, że jednogłośnie wydali wyrok, który brzmiał:

„winny”.

Nasza prawniczka ostrzegła nas, że kiedy sędzia będzie ogłaszał wyrok, musimy bacznie wystrzegać się jakiegokolwiek reakcji, bez względu na to, jak bardzo ją przeżyjemy.

- Zawsze trudno mi jest utrzymać język za zębami

-przyznała - ale musimy kontrolować emocje przez wzgląd na szacunek dla sędziego.

Pomimo ostrzeżenia naszej prawniczki nie byliśmy w stanie się opanować i nie wstać z miejsc, gdy zamieniliśmy się w słuch, by dowiedzieć się, co ma do powiedzenia sędzia. Ten zaś

oświadczył z powagą, że obowiązującym wyrokiem za morderstwo jest dożywocie, a on sam nakazałby tacie odsiedzenie jakichś dwudziestu - dwudziestu pięciu lat więzienia, jednak to nie on ustalał wysokość wyroku. Po wyjściu z sądu nasza pani adwokat wyjaśniła nam całą sytuację.

- Obecnie wyroki ustala Ministerstwo Spraw We-wnętrzných, a na rozstrzygnięcie czekają jeszcze zaległe sprawy - oświadczyła. - Być może poznamy wyrok dopiero za jakiś czas.

Policjanci powiedzieli nam, że ojca skazą na co najmniej piętnaście lat, ponieważ na żadnym etapie procesu nie okazał

wyrzutów sumienia, bezwstydnie traktując salę rozpraw jako forum upubliczniania swych mało sympatycznych pretensji do mamy i do nas. Przez chwilę odnosiliśmy wrażenie, że powinniśmy się cieszyć na myśl o tym, że tatę uznano za winnego i osadzono w więzieniu. Zamartwianie się tym, na jak długo, mogliśmy sobie zostawić na później.

Kiedy sprawę zamknięto, dwoje adwokatów prowadziło przy jacielską pogawędkę.

- Teraz wyskoczą na kruche ciasteczka i herbatkę

-stwierdził sarkastycznie jeden z policjantów.

Dziwnie robiło mi się na myśl, że tak traumatyczna dla nas sprawa, która zmieniła całe nasze życie, była dla tych ludzi jedynie kwestią rutyny zawodowej, o której potem mogli sobie gawędzić, porównując swoje notatki i dyskutując, jak wszystko poszło w sądzie, jakby to był jakiś mecz tenisowy. Wydawało się, że istnieje nieprzebrany dystans między tym, co się działo w naszych głowach, oraz tym, o czym czytaliśmy w gazetach albo o czym rozmawiali wokół

nas różni specjaliści. Dla nas sprawa dotyczyła zadośćuczynienia sprawiedliwości oraz odizolowania taty od ludzi, tak by nie mógł się na nas zemścić za to, co powiedzieliśmy w sądzie.

Gdy już było po wszystkim, policjanci oznajmili nam, że byliśmy dobrymi świadkami. Fakt, że raz czy dwa nie byłam w stanie powstrzymać się od wybuchu, najwyraźniej nie miał

większego znaczenia, gdyż na końcu nawet sędzia powiedział

jakis komplement pod naszym adresem, po czym napisał nam list gratulacyjny mówiący o tym, jak przykładnie zachowywaliśmy się w czasie rozprawy. Oświadczył nam, że zdaje sobie sprawę, jak trudne dla nas musiało być trzymanie języka za zębami w obliczu tego wszystkiego, co mówiono o nas i naszej mamie.

Od 14 lutego roku 2003, kiedy to uznano tatę za winnego, upłynęły cztery lata, zanim w końcu zapadł wyrok. Przez wszystkie te lata nie mieliśmy pojęcia, ile minie czasu, zanim tata znów wyjdzie na wolność i będzie mógł nas odszukać.

Wiedziałałam, że wszyscy spodziewali się, że dostanie długi wyrok, mnie jednak spotkało już tyle

rozczarowań, że miałam świadomość tego, iż nigdy nie można polegać na cudzej opinii, dopóki jej słuszność nie zostanie udowodniona. Gdy dostałam telefon od zajmującej się kontaktami z rodziną policjantki, która

poinformowała mnie, że przysłyż dokumenty z wyrokiem, studiowałam na uniwersytecie i pracowałam właśnie w laboratorium. Nie wolno mi było odbierać telefonu w czasie zajęć, ale kiedy zobaczyłam, kto dzwoni, odebrałam telefon, chcąc jak najszybciej mieć pewność, że będziemy bezpieczni jeszcze przez dobrych kilka lat.

- Właśnie dostałam wszystkie papiery z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - powiedziała policjantka. - Orzeczono wyrok dziesięciu lat.

Wyobrażałam sobie, że spędzi za kratkami co najmniej kolejne dziesięć, a może dwadzieścia lat, i nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Oznaczało to, że biorąc pod uwagę okres, jaki już odsiedział przed procesem, pozostało mu zaledwie pięć lat więzienia - do stycznia 2012 roku. Wydało mi się, że może wrócić w każdej chwili i że ani Alex, ani ja nie zaznamy już spokoju.

Mniej więcej rok wcześniej wezwano nas do wypełnienia formularza oświadczenia ofiary przestępstwa o jego skutkach, które przedstawiono sędziom przysięgłym rozstrzygającym w sprawie wyroku, najwyraźniej jednak nie wywarło ono na nich żadnego wrażenia. Prawdopodobne było, że kiedy tata opuści więzienie, my nadal mogliśmy być uwikłani w zależność od prawników, sądów i funkcjonariuszy odpowiedzialnych za kontakty z ofiarami, usiłując samodzielnie rozwiązać wszystkie nasze problemy finansowe. A to oznaczało, że nigdy nie będziemy mieli ani chwili spokoju. Żywiłam nadzieję, że po załatwieniu wszystkich spraw będziemy mieli jeszcze dziesięć lat na to, żeby ruszyć do przodu z własnym życiem, zanim będziemy musieli się martwić z tego powodu, że ojciec wychodzi na wolność, żeby móc nas prześladować.

Długość wyroku po prostu nie była proporcjonalna do ciężaru popełnionej zbrodni. O ile mi wiadomo, najniższym wyrokiem za morderstwo jest dziewięć lat. Jak to możliwe, że zbrodnia, jaką popełnił ojciec, zasługiwała na wyrok zaledwie o jeden rok wyższy od najniższego?! Dziesięcioletni wyrok mógłby być odpowiedni dla kogoś, kto zaatakował i zabił

człowieka w pijackiej burdzie w pubie, czy jednak jest on nieadekwatny w przypadku kogoś, kto przypuszczalnie zastrzył wcześniej dłużej, co wskazuje na to, że zaplanował

swą napaść; kogoś, kto najwyraźniej nie został sprowokowany przez ofiarę i nie przestawał zadawać jej ciosów na długo po tym, jak minął początkowy impuls, by zaatakować? Dlaczego potem zadzwonił na policję i przyznał się do popełnionego czynu, by piętnaście minut później zaprzeczyć, jakoby cokolwiek pamiętał? Skoro sąd zdecydował, że był w pełni władz umysłowych, to można odnieść wrażenie, że było to morderstwo najcięższe z możliwych. Dlaczego okoliczności popełnienia zbrodni nie znalazły odzwierciedlenia w wyroku?

Przypuszczam, że w gorszej sytuacji mógłby się znaleźć wówczas, gdyby zamordował więcej

osób albo uciekał przed policją, zamiast oddać się w jej ręce.

Gdy ojciec został skazany za morderstwo, nie mógł już odziedziczyć należącej do mamy połowy domu - gdyż oznaczałoby to, że popełniając morderstwo, odniósł korzyść -

tak więc automatycznie przypadła ona Alexowi i mnie. Teraz jednak, gdy znaleźliśmy już całą prawdę o tym, co zrobił, i o tym, co myślał o mamie i o nas, nijak nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego pozwolono mu zachować prawo do zysków ze sprzedaży drugiej połowy Wiemy, że to zawsze mama pracowała, zarabiając na spłatę kredytu hipotecznego, dlaczego więc miałby mieć prawo do czegokolwiek? Ponieważ pozbawił nas matki i ponieważ potrzebowaliśmy finansowego wsparcia, które byśmy otrzymywali, kontynuując naszą edukację, czego z pewnością życzyliby sobie mama, mieliśmy poczucie, że tata powinien również mieć w to swój wkład finansowy pochodzący z jego części domu. Dlatego też zwróciliśmy się do prawnika, który już wcześniej nam pomagał, i spyaliśmy go, czy dałoby się wszystkie te sprawy załatwić jak należy.

Prawnik oświadczył nam, że w czasie całej sądowej batalii o spadek wydawało mu się, iż najprawdopodobniej nie wywalczymy żadnych pieniędzy, a gdybyśmy przegrali, moglibyśmy dodatkowo stracić, ponosząc opłaty sądowe, jednak wówczas chodziło o zasady - o doprowadzenie przede wszystkim do tego, by ojciec stracił wszystko, nie zaś o to, żebyśmy uzyskali jakieś korzyści finansowe. Nie mieliśmy wrażenia, że tata został sprawiedliwie ukarany za to, co zrobił, ponieważ i tak chciał trafić do więzienia. Takiego właśnie życia sobie życzył: przebywania w celi i regularnych posiłków, bez konieczności troszczenia się o siebie. To, że w końcu wyjdzie na wolność i przejmie wszystkie oszczędności, które mama w pocie czoła zgromadziła dla nas przez te wszystkie lata, nie wydawało się w porządku. Pozwaliśmy tatę również z tytułu Fatal Accidents Act za pozbawienie nas finansowego wsparcia,

kórej mama nadal by nam zapewniała, gdyby żyła, oraz za szkody psychiczne, jakie nam wyrządził, mordując ją. Walka nadal trwa, ale prawnicy mówią nam, że jeśli zapadnie korzystny dla nas wyrok, będziemy pierwszymi, którzy wygrali proces wytoczony któremuś z rodziców.

Jeszcze przed ustaleniem wysokości kary tata dał dowód, że współpracuje z władzami; już wcześniej odbył jej część, a w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych obawiano się zatłoczenia więzień. Tak więc w jakimś gabinecie za zamkniętymi drzwiami zdecydowano, że jedynymi osobami, którym zagraża teraz tata, jestem ja i Alex; ojciec najwyraźniej nie stanowił

zagrożenia dla społeczeństwa, więc nie trzeba już go było izolować.

Przeraża nas myśl o tym, że już za kilka lat tata może znów wyjść na wolność. Nie informuje się go o naszym miejscu zamieszkania, my zaś nie możemy sprawdzić, w jakim więzieniu przebywa. W pewnym sensie jest to korzystne, martwimy się jednak, że skoro nawet nie wiemy, w jakiej części kraju odsiaduje wyrok, może się zdarzyć, że gdy wyjdzie z więzienia, natkniemy się nań przypadkowo na ulicy.

Również Helen przeraża myśl o jego uwolnieniu, ponieważ stojąc przed nim w sądzie twarzą w

twarz, nazwała go

„szalonym Bertem” i wyznała, że bardzo go nienawidzi. Helen powiedziała o nim wszystko, co wiedziała, w trakcie rozmów z policjantami, gdy była zbyt rozwścieczona, żeby myśleć o możliwych długofalowych konsekwencjach swoich słów.

Śmiem twierdzić, że w sądzie nie byłaby tak odważna, gdyby policja nie miała nagrania z jej wypowiedzi. Powtórzenie tego samego na forum publicznym, w odległości zaledwie kilku metrów od taty, jest czymś zupełnie innym niż zwierzanie się w gronie przyjaźnie nastawionych policjantów w zaciszu posterunku, z kubkiem gorącej herbaty w ręku.

Helen była świadkiem mającym najwięcej do powiedzenia i dobrze wiedziała, że gdyby po wyjściu z więzienia tata postanowił się na niej zemścić, znalazłby ją bez większych trudności. Gdy po ogłoszeniu wyroku kilkakrotnie się z nią spotykałam, zawsze powtarzała, że bardzo się obawia tego, do czego może się posunąć tata po wyjściu na wolność. I wcale mnie to nie dziwi. Wszyscy się tego boimy.

ROZDZIAŁ 17

ALEX

Isobel i ja mieszkaliśmy z Cathy i Peteem przez dwadzieścia miesięcy: od marca 2002 roku do listopada 2003.

Dokładnie w rok po naszej przeprowadzce Alfie umarł na białaczkę - i tym razem stało się to jedenastego, która to data przynosi nam same nieszczęścia. Mieliśmy poczucie, że straciliśmy starego przyjaciela i sojusznika, lecz przyzwyczailiśmy się już do ciężkich ciosów takich jak ten, więc nie okazywaliśmy emocji, uodporniwszy się na takie rzeczy przez te wszystkie lata, kiedy tata zabił naszego chomika i królika. Cathy i Pete nie mogli zrozumieć, dlaczego nie płacemy.

- Skoro nie płakaliśmy po morderstwie na naszej mamie -

zauważyła Isobel - tym bardziej nie będziemy płakać z powodu psa.

Wydawało się, że nasi rodzice zastępczy są bardziej przygnębieni od nas, co doprowadziło do pewnych napięć.

- Nie zależy im nawet na własnym psie - mówili, myśląc, że ich nie słyszymy. - Dlaczego więc mielibyśmy cokolwiek dla nich robić?

Był to kolejny cios, po którym musieliśmy się otrząsnąć, zamiast się nad sobą rozczulać. Od początku, jak sądzę, Isobel i ja całkiem dobrze radziliśmy sobie ze wszystkimi ciosami losu, przyjmując każdy nadchodzący dzień i pokonując każdą przeciwność, gdy tylko jakaś się pojawiała. Większa odpowiedzialność spoczywała na Isobel, bo to ona była starsza i bardziej elokwentna. Niektórzy policjanci i pracownicy opieki, na jakich się natykaliśmy, naprawdę nam pomogli, choć nigdy nie mieli na tyle czasu, by zrobić dla nas wszystko to, co może by i chcieli zrobić, pomagając dwojgu dzieciom próbującym na nowo ułożyć sobie życie. Ci dobrzy, jak się zdawało, pracowali ponad siły. Na przykład Stella, policjantka zajmująca się ochroną rodziny, poświęciła nam mnóstwo swego cennego czasu, gawędząc z nami o każdej niepokojącej nas sprawie; dwoje pracowników wydziału kryminalnego, którzy przesłuchiwali nas pierwszego dnia po morderstwie, naprawdę bardzo sumiennie informowało nas na bieżąco o zakulisowych szczegółach rozwoju wydarzeń. Jednak wszyscy ci dobrzy ludzie w ramach swego dnia pracy dysponowali niewielką ilością czasu i gdy dla każdego, kto znał nas bliżej, stawało się coraz bardziej oczywiste, że dobrze idzie nam w szkole i że opiekuje się mną Isobel, coraz rzadziej mieliśmy kontakt z opieką społeczną i z policją, aż w końcu doszło do tego, że w ogóle przestałem się widywać z pracownikami opieki.

Mniej więcej sześć miesięcy po pogrzebie mamy, w sierpniu 2002 roku, nagle uświadomiliśmy sobie, że nie mamy pojęcia o tym, co się stało z jej prochami. Isobel spytała o to naszych przybranych rodziców.

- A jeszcze ich nie dostaliście? - spytali najwyraźniej zdumieni tą rewelacją.

Poczyli pewne starania i odkryli, że pracownicy spo-

łeczni zajmujący się naszą sprawą nie odebrali z krematorium urny z prochami, co należało do ich obowiązków. Ponieważ nie miał kto ich tropić, rozplynęły się w systemie. Wszystko to zakrawało na jawną zniewagę pamięci mamy i Isobel stwierdziła, że coś trzeba z tym zrobić. Zaczęła z powodzeniem stawiać czoła dorosłym, nie pozwalając na to, by traktowali nas protekcyjnie, gdy stanowczo przy czymś obstawaliśmy.

Wszczęto poszukiwania i w końcu udało się wytropić urnę, więc mogliśmy dokonać pochówku prochów i mieć poczucie, że mama spoczywa w pokoju. Nigdy jeszcze nie domknęliśmy żadnej ze spraw. Chcieliśmy ostatecznie zostawić za sobą dzieciństwo, by móc skoncentrować się na myśleniu o przyszłości, zamiast spoglądać w przeszłość, zawsze jednak mieliśmy poczucie, że ciągnie się za nami wiele niezakończonych spraw.

Znaleźliśmy miły cmentarz w Redditch, który, jak są-

dziśmy, spodobałby się mamie, a nagrobek kupiliśmy za reszkę pieniędzy zebranych przez Jillian w szkole mamy i przeznaczonych na pogrzeb. Podczas pochówku odbyła się krótka ceremonia z udziałem księdza, który powiedział kilka słów. Pogrzeb odbył się w bardzo nielicznym gronie, miał charakter zupełnie prywatny, w niczym nie przypominając oficjalnego pogrzebu z udziałem tłumu ludzi, których większość nawet nie znała mamy. Grupkę zebranych wokół grobu stanowiły osoby, w których życiu śmierć mamy naprawdę pozostawiła ślad. Helen przyprowadziła z sobą jednego z synów. Widzieliśmy ją wtedy po raz pierwszy od czasu, gdy zabrali nas do siebie Cathy i Pete, ale była obecna tylko przez jakieś dziesięć minut, więc nie było czasu na rozmowę.

Cathy i Pete również byli obecni, co nie bardzo było w smak Isobel i mnie, zwłaszcza gdy rzucili na trumnę grudkę ziemi, co było gestem zarezerwowanym dla najbliższej rodziny. Może stałem się przesadnie krytyczny, gdyż już wtedy za nimi nie przepadałem, ale nie mogłem przestać myśleć o tym, że skoro nigdy nie poznali mamy i nie powiedzieli ani jednego dobrego słowa na temat tego, jak nas wychowała, jakim więc prawem stali teraz obok ludzi, którzy mamę darzyli miłością? Jak zwykłe nic nie powiedziałem, ale myśl o tym nie dawała mi spokoju.

Przypuszczam, iż myśleli, że stanowią dla nas wsparcie i że pójście z nami na pogrzeb należy do ich obowiązków. Mieli mnóstwo wyobrażeń na temat tego, co powinniśmy robić i jak się zachowywać, my jednak nieszczególnie się tym przejmowaliśmy. Usilnie na przykład próbowali sprawić, byśmy ich traktowali jak rodziców i usiłowali stać się integralną częścią rodziny, mimo że rodzina ta była nam zupełnie obca. Upierali się, żebyśmy ich zapoznali z kuzynami mamy, z którymi nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy i z którymi kontakt podtrzymywali nawet wtedy, gdy przestaliśmy z nimi mieszkać. Jedni i drudzy odkryli, że łączy ich wspólna namiętność - picie wina. Owo hobby ani mnie, ani Isobel wcale nie wciągnęło.

Wkrótce po pochówku prochów mamy nasi rodzice za-stępczy zgodzili się zabrać nas do naszego domu rodzinnego, żebyśmy mogli zabrać trochę swoich rzeczy. Wtedy jeszcze tata nie znalazł

swego wyroku, więc dom w świetle prawa należał

do niego. Już od dawna usiłowaliśmy się doprosić, by nas tam wpuszczono, ale policjanci niewzruszenie stali na stanowisku, że nikomu nie wolno wtargnąć na miejsce zbrodni, mimo że wszystko, co mogło mieć dla nich jakąkolwiek wartość, z pewnością znaleźli w ciągu pierwszych tygodni po dokonanych morderstwie.

Byliśmy wdzięczni Cathy i Peteowi, że ulegli naszym prośbom, choć nie powinni. Sądzę jednak, że ciekawość wzięła górę i chcieli zobaczyć nasze rodzinne strony, skoro tyle słyszeli o naszej przeszłości. Chociaż policja zabroniła nam wracać do domu, nikt nie pomyślał, żeby zabrać nam klucze, tak więc z łatwością mogliśmy tam wrócić, skoro nikt z policji nie bronił już dostępu do budynku.

Byliśmy poruszeni i poczuliśmy lęk, otwierając frontowe drzwi po siedmiu miesiącach od owego dnia, w którym policjant kazał mi zaczekać na zewnątrz. Znowu znaleźliśmy się w opustoszałym teraz domu pełnym wspomnień. Od czasu gdy byliśmy tam po raz ostatni, nasze życie uległo całkowitej zmianie i musieliśmy się teraz również na nowo oswoić z tym miejscem. Wewnątrz okropnie cuchnęło, ponieważ wyłączono prąd, a w lodówce i na kuchennych półkach zostało jedzenie, które

zgniło. Koło zlewu stał karton z mlekiem, które zsiadło, kilka poczerniałych bananów gniło w misce na owoce, a mokre ubrania gniły w pralce. Nadal jednak wszystko wyglądało tak samo, widok każdego pokoju wywoływał w nas wspomnienia i bolesne emocje, wskrzeszając w naszej pamięci obraz wspólnego życia z mamą, uczucie nienawiści i strachu przed tatą, które tliło się w nas przez te wszystkie lata przeżyte pod tym dachem.

Ktoś bardzo się napracował, próbując usunąć ślady krwi z tylnych drzwi, ale bezskutecznie, więc zauważyliśmy brunatno-czerwone smugi na framudze i krawędziach drzwi, skąd nie zostały dokładnie starte. Wszędzie było pełno strzałek narysowanych przez ekspertów sądowych w celu zidentyfikowania miejsc, w których były plamy krwi. Nie ulegało wątpliwości, że odwiedzając dom, w którym upłynęło nasze dzieciństwo, znaleźliśmy się również na miejscu zbrodni.

Z początku przechadzaliśmy się po nim jak turyści, gapiąc się na wszystko, usiłując wszystko ogarnąć i zastanawiając się, co właściwie czujemy. Smutek czy raczej gniew?

Przypuszczam, że najpierw mieliśmy poczucie emocjonalnego dystansu, które wedle wyjaśnień psychologów mogło być następstwem ciężkiego szoku. Wdrapaliśmy się po schodach na piętro i podeszliśmy do zamkniętych drzwi sypialni taty.

Przez całe nasze dotychczasowe życie mijaliśmy je, zastanawiając się, co też się za nimi dzieje i czy ojciec jest w środku. Nic nie mówiliśmy, i bez tego wiedząc, że oboje myślimy to samo. Po raz pierwszy mieliśmy absolutną pewność, że ojca nie ma w pokoju, lecz tego, czy chcemy tam wejść, nie byliśmy już tak pewni.

Po chwili wahania podjęliśmy decyzję i otwiliśmy drzwi, po raz pierwszy w życiu wchodząc do „świątyni” taty. Hlekróć wychodził, zawsze zamykał drzwi na klucz, który miał

zawieszony na łańcuszku na szyi. To, co zobaczyliśmy, było niczym nieznanym krajobrazem, niczym zapuszczony dom wewnątrz innego domu, mała obskurna sypialnia. Trudno było sobie wyobrazić, jak mógł samotnie spędzać tyle czasu w takiej ponurej, odizolowanej od świata komórce. Oboje staliśmy tam, rozglądając się wokół, omiatając spojrzeniem jego telewizor i monitor komputera oraz sprzęt kuchenny, który zgromadził, żeby móc w każdej chwili przygotować sobie coś do picia i jakieś proste potrawy z puszek, bez konieczności wychodzenia z pokoju i ryzykowania, że natknie się na kogoś z nas. Czuli-

śmy się, jakbyśmy wtargnęli do obozu znieprawionego i pokonanego wroga, i już po chwili nasz początkowy lęk, podsycany przez lata jego tyranii, opuścił nas, ustępując miejsca ślepej furii.

Nagle oboje wpadliśmy we wściekłość. Zaczęliśmy ciskać rzeczami po pokoju, ciążę ubrania taty nożyczkami i wszystko rozrzucać, jakbyśmy chcieli w ten sposób go ukarać za krzywdę, którą nam wyrządził, choć on sam przebywał w tym czasie w odległym więzieniu. W naszym ataku szału nie było żadnej logiki; był on jedynie fizjologicznym odreagowaniem stresu wywołanego przez człowieka, który tak długo nas prześladował, by na końcu pozbawić nas mamy: naszych korzeni i zarazem rodziny.

Pobiegłem do garażu i chwyciłem puszkę sprayu. Cathy i Pete dopytywali się, co chcemy zrobić, ale my ignorowaliśmy ich indagacje. Razem z Isobel na przemian wypisywaliśmy sprayem napis „morderca” na ścianach korytarza na parterze, a potem także na ścianach pokoju taty. Wyładowując w ten sposób całą naszą frustrację i gniew, doświadczyliśmy uczucia wyzwolenia, podczas gdy nasi zastępczy rodzice stali z boku z ponurymi minami, bez słowa. Może sprawiał im przyjemność ten nasz akt zerwania z przeszłością; a może uświadomili sobie, że doznaliśmy emocjonalnej ulgi. W końcu cała nasza energia i gniew uległy wyczerpaniu, więc zabraliśmy z naszych pokoi rzeczy, po które przyszliśmy.

Schodząc na dół, zauważyliśmy, że w telefonie miga dioda automatycznej sekretarki, i kiedy naciśniliśmy guzik, by odsłuchać wiadomość, usłyszeliśmy męski głos mówiący ze szkodkim akcentem. Mężczyzna przedstawił się jako jakiś

„Kerr”, więc uznaliśmy, że jest krewnym taty, ale nie rozpoznaliśmy imienia. Zapytał, czy tata nadal zamierza przyjechać do Newcastle, tak więc nie dotarli tam wieści o tym, co się stało. To, że do taty w ogóle ktoś dzwonił, było sytuacją dość niezwykłą, nigdy też nie słyszeliśmy, by rozmawiał o swojej rodzinie, toteż nie mieliśmy pojęcia, czy był to jeden z jego braci czy jakiś kuzyn. Równie dobrze mogliśmy też słyszeć głos kogoś obcego. Policjanci nigdy nie wspomnieli o pozostawionej wiadomości, zatem mężczyzna musiał zadzwonić po tym, jak opuścili dom. Razem z Isobel zastanawialiśmy się, czy tata planował ucieczkę po zabiciu mamy, kontaktując się

z owym „Kerrem”, by się przekonać, czy może do niego pojechać, a potem się rozmyślił. Nie było sposobu, by zyskać w tej sprawie jakąkolwiek pewność.

Policjanci widocznie wrócili po coś do domu już po naszej wizycie i zastali zamęt, jakiego narobiliśmy. Od razu się zorientowali, że to nasza sprawka, kiedy zobaczyli napisy na ścianach. Gdy już ochłonęliśmy, zaczęliśmy się martwić, że dając upust gniewowi, daliśmy tacie okazję do oskarżenia nas o zniszczenie jego własności. Na tym etapie dom w dalszym ciągu należał do niego. Policjanci ostrzegli nas, że taki wybryk nie może się powtórzyć, po czym odebrali nam klucze. Na szczęście nic się nie wydarzyło. Wydało nam się dziwne, że nie możemy robić wszystkiego, na co mamy ochotę, w domu należącym do nas przez tyle lat. Oni jednak pozostali niewzruszeni i zabronili nam się do niego zbliżać. W końcu dom sprzedano. Myślę, że adwokat taty tego dopilnował, nam zaś udało się odzyskać od niego naszą część pieniędzy, gdy tata został skazany, tak więc mieliśmy w depozycie środki na zakup własnego domu. Nie dowiedziałem się, kto był kupcem. Nie chciałbym mieszkać w domu, w którym miało miejsce tyle nieszczęść i okropności i które było sceną tylu cierpień. Może jednak cena była tak niska, że ktoś nie mógł się oprzeć pokusie. Wiele złości przysparzała nam myśl, że mama przez tyle lat tak ciężko pracowała, spłacając wszystkie raty kredytu i regulując wszystkie domowe rachunki, podczas gdy tata przesiadywał w pokoju, tak bardzo jej nienawidząc i gardząc wszystkim, co robiła, by na końcu dostać połowę

domu. Prawnicy próbowali nam wyjaśnić, że ściśle rzecz biorąc, nie „odniósł korzyści” z popełnionej zbrodni, ponieważ dom już wcześniej był na niego zapisany, ale żaden z ich argumentów nie wydawał nam się słuszny z perspektywy moralnej.

Przydzielona nam przez opiekę społeczną kuratorka są-

dowa Marjorie Woodford miała pilnować naszych interesów, przygotowując plan naszej edukacji oraz udzielając porad w sprawie optymalnego miejsca zamieszkania. Isobel i ja lubiliśmy ją, ponieważ zadawała bezpośrednie pytania i przejawiała zdrowy rozsądek. Na dość wczesnym etapie napisała raport, w którym stwierdziła, że nie uważa, by nasi rodzice zastępczy byli dla nas odpowiedni, lecz w opiece społecznej nie wzięto jej opinii pod uwagę. Uznano, że Cathy i Pete wiele dla nas robią, nie szczędząc nam miłych gestów, takich jak zabieranie nas na wakacje - toteż przyjęto, że musimy być z nimi szczęśliwi, jednak po pewnym czasie również inni zaczęli podawać w wątpliwość to, czy nasi przybrani rodzice nadają się do powierzonej im roli. W szkole zastanawiano się, dlaczego nigdy nie pofatygowali się na zebrania rodziców, a ludzie spoza szkoły zachodzili w głowę, dlaczego nie uczęszczamy na żadne z naszych dawnych zajęć, które tak lubiliśmy onegdaj i do których tak się przykładaliśmy.

Mieliśmy nadzieję, że władze zadecydują, że trzeba dla nas znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego, jednak mijały miesiące i nic się nie zmieniało. Najgorsze w sytuacji, w której twoim życiem rządzą biurokraci, jest to, że nigdy nie wiesz, co robią.

Czy faktycznie pociągali za sznurki w naszym interesie?

A może zupełnie o nas zapomnieli, zakładając, że mamy się dobrze, więc mogą zająć się przy padkami bardziej naglącymi? Nie mieliśmy możliwości przekonania się o tym.

Mogliśmy jedynie czekać i obserwować rozwój wypadków.

Cathy zaczęła otrzymywać sygnały od swego pracownika socjalnego sugerujące, że ona i Pete niewłaściwie wywiązują się ze swych obowiązków, co z kolei wywołało napięcia w domu. Nasi rodzice zastępczy nie lubili krytyki. Uważali, że wyświadczyli nam przysługę, zabierając nas do siebie. Byli przekonani, że poświęcili się swemu zadaniu, mając najlepsze intencje, mimo że wszystko w oczywisty sposób nie potoczyło się tak, jakby sobie życzyli. Uznali, że to my ponosimy winę za zaistniały stan rzeczy. Naprawdę trudno im przyszło ukrywanie gniewu i rozczarowania z naszego powodu. Patrząc na to z perspektywy lat, sądzę, że prędzej czy później musiał

nastąpić wybuch.

ROZDZIAŁ 18

ISOBEL

Cathy i Pete musieli być coraz bardziej nami rozczarowani, gdy w miarę upływu czasu nie zaczęliśmy im okazywać uczucia ani nadmiaru wdzięczności za to, że zgodzili się zabrać nas do siebie, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić.

Negatywne emocje między nimi a nami narastały już od dawna, ale do pierwszego gwałtowniejszego wybuchu doszło, kiedy przywiodłam do domu Tanię, przyjaciółkę ze szkoły. Miała w tym czasie problemy rodzinne - bił ją ojczym -

więc dość często zostawała u nas na noc i dla nikogo nie stanowiło to problemu.

Tego wieczoru Cathy i Pete wypili mnóstwo alkoholu i poszli do łóżka przed nami. Nie sądzę, żebyśmy robiły coś złego. Po prostu nie położyłyśmy się zbyt wcześnie spać, chcąc sobie poleżeć w łóżku, gawędząc, jak to zwykły robić nastolatki. Musiałyśmy zbyt głośno się śmiać, bo zbudziłyśmy ich czy też nie mogli przez nas

zasnąć - w każdym razie była to zapalająca lont iskra, która wyzwoliła w nich nagromadzone resentymenty.

Wpadli do mojego pokoju, urządzając taką awanturę, że aż się przeraziłyśmy. Było to tak, jakbym nagle stała się świadkiem jednej z najdzikszych awantur, jakie wybuchały u nas w domu. Nie mogłam tego znieść. Alex obudził się i wybiegł ze swego pokoju, myśląc, że zostaliśmy napadnięci.

Oboje czuliśmy, że nie panujemy nad sytuacją i że musimy uciekać. Wszyscy troje, usiłując rozpaczliwie zażegnać całkiem realną groźbę przemocy, pospiesznie spakowaliśmy rzeczy i wybiegliśmy z domu. Mimo że był środek nocy, musieliśmy zabrać ze sobą Tanię, ponieważ nie mogliśmy zostawić jej w domu sam na sam z ludźmi, którzy tak się zachowują.

Gdy tylko znaleźliśmy się na pogrążonej w ciemnościach ulicy, nie pozostało nam nic innego, jak tylko iść przed siebie w nadziei, że skądś zjawi się pomoc. Zaraz po opuszczeniu przez nas domu nasi zastępczy rodzice musieli wezwać policję, której niewiele czasu zajęło odnalezienie trójki wyglądających na uciekinierów nastolatków włóczących się po opustoszałych ulicach. Policjanci zabrali nas najpierw na posterunek, aby dowiedzieć się czegoś więcej o nas i o tym, co takiego nam się przydarzyło i co skłoniło nas do nocnej włóczki. Byli bardzo przyjaźni, tak jak wtedy gdy po raz pierwszy przesłuchiowano nas po śmierci mamy. Widzieliśmy nawet, jak przez jakiś czas grali w bilard, próbując wy myślić, co powinni z nami zrobić.

Choć nie mieliśmy pojęcia, jakie może być inne wyjście, zaczęliśmy prosić policjantów, żeby nie odwozili nas do naszych rodziców zastępczych. Wyjaśniliśmy, że zawsze są pijani i że nie czujemy się u nich bezpieczni, w końcu jednak policjanci zdecydowali, że nie mają wyboru, ponieważ nie chcą trzymać nas do rana w celi. Mając w pamięci swoją krótkotrwałą karierę

niewydarzonej złodziejki, byłam całkiem zadowolona, że nie muszę znów przez to przechodzić, choć może w towarzystwie Alexa i Tani nie byłoby to aż takie straszne.

W końcu zdaliśmy sobie sprawę, że dalsze próby przekonania policjantów byłyby daremne. Jeśli w ciągu minionego półtora roku czegoś się nauczyliśmy, to właśnie tego, że ktoś taki jak my ma bardzo ograniczone możliwości wpłynięcia na osoby decydujące o naszej przyszłości, by działały zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Mogliśmy powtarzać policjantom, że nie chcemy wracać, że się boimy, ale w ostatecznym rozrachunku to oni decydowali.

Kiedy wróciliśmy do domu, Cathy i Petea już na nas czekali i byli maksymalnie wściekli. Nie tylko nie mogli położyć się spać, ale na dodatek wyglądało na to, że są fa-talnymi rodzicami zastępczymi, więc oboje nie byli w po-jednawczym nastroju. Z założonymi na piersiach rękami oznajmili naszej policyjnej eskorcie, że nie zyczą nas sobie w swoim domu. Przypuszczam, że mieli nas już dosyć, dochodząc do wniosku, że choć dostają niezłe pieniądze z opieki społecznej, to jednak zajmowanie się parą nastolatków-niewdzięczników nie jest warte wszystkich trosk, które się z tym wiążą.

- Jeśli do nas wrócą, skończy się laniem - ostrzegła z ponurą miną Cathy.

Sądzę, że policjanci musieli odnieść wrażenie, iż jest to typowy konflikt między nastolatkami i ich rodzicami. Może ciągle wzywa się ich z powodu takich incydentów; może nie wiedzieli, co począć z nami w środku nocy, poza tym że gotowi byli umieścić nas w celi. Tak więc porozmawiali z każdym z nas na osobności, dopóki nie przekonali się, że wszyscy trochę ochłonęliśmy, po czym mnie i Alexa zostawili w domu, a Tanię zabrali do jej rodziny. Nie wiem, co by zrobili, gdyby Cathy i Pete nas zaatakowali już po ich odjeździe.

Ponieważ miała miejsce interwencja policji, pracownicy opieki społecznej musieli jakoś zareagować, więc pojawili się nazajutrz, żeby się z nami spotkać i zbadać, co było nie w porządku. Cathy i Pete pozostali niewzruszeni i wyraźnie oświadczyli, że nie chcą mieć z nami nic wspólnego.

Najgrzeczniej jak tylko umieliśmy - przez cały czas naszej rozmowy z pracownikami opieki w pokoju obecni byli Cathy i Pete - oznajmiliśmy, że my również chcielibyśmy zakończyć relację z nimi. Patrząc na to wstecz, zastanawiam się, czy zamierzali się nas pozbyć jeszcze przed naszą ucieczką, nie chcąc nam o tym powiedzieć. Może uznali, że będzie to źle widziane w ich dokumentacji - niczym rezygnacja z pracy, zanim się z niej wyłeciało.

Jednak rozwiązanie całej sytuacji - dla nich i dla nas -nie miało przyjść łatwo. Wtedy nie byliśmy tego świadomi, ale znalezienie nam tej rodziny zastępczej kosztowało opiekę społeczną mnóstwo wysiłku. Teraz, gdy nasze relacje z rodzicami zastępczymi się popsuly, znalezienie kolejnej rodziny stało się jeszcze trudniejsze, gdyż potencjalni rodzice zastępczy mogli przeczytać w naszej dokumentacji, jak bardzo kłopotliwe stały się dla wszystkich nasze stosunki z poprzednimi rodzicami. Wydawało się, że nie mamy wyboru. Musieliśmy przez jakiś czas pozostać u Cathy i Petea, starając się, by nasze stosunki z nimi były jak najlepsze.

Teraz gdy również Cathy i Pete wiedzieli, że chcemy od nich odejść i że nie sposób uczynić z nas kochającej się rodziny, jaką sobie wyobrażali, otwarcie wypowiedzieli nam wojnę.

- Nie dziwię się, że wasz tata zabił mamę - oświadczyła brutalnie Cathy w trakcie jednej z naszych licznych sprzeczek -

mając takie dzieci jak wy.

Najwyraźniej według niej byliśmy tak koszmarnymi dziećmi, że doprowadziliśmy ojca do zamordowania mamy, co stanowiło znacznie mocniejszą wersję jego stwierdzeń, gdy bronił się w sądzie. W jaki sposób którekolwiek dziecko mogłoby doprowadzić do czegoś takiego?! Słowa Cathy ubodły nas do żywego i nie bardzo umieliśmy zapanować nad zbierającym w nas gniewem. Nadal nie udzielono nam żadnej pomocy należącej nam się po doznanej utracie i mieliśmy problemy z kontrolowaniem emocji. Nie wiem, dlaczego nikt nam wówczas niczego nie zorganizował. Początkowo zabroniono nam zasięgać takiej pomocy aż do zakończenia procesu taty, żeby przypadkiem nie podsunęto nam żadnych sugestii mogących rzucić cień na obiektywizm przesłuchań.

Potem pomyślałam, że o sprawie po prostu zapomniano

-ponieważ upłynęło tyle czasu i ponieważ wydawało się, że dobrze radzimy sobie w szkole i nie mamy żadnych problemów, pomijając kłótnie z naszymi rodzicami zastępczymi. Ale nawet i te kłótnie nie mogły się wydać policji ani pracownikom opieki niczym szczególnie poważnym w porównaniu z aktami przemocy, które obserwowali w patologicznych rodzinach. Przeważnie byliśmy po prostu cisi, nieobecni myślam i nie wchodziliśmy z nimi w interakcje, tak jakby sobie tego życzyli. Jak zawsze nasza strategia polegała na tłumieniu gniewu i lęków i na podejmowaniu codziennych szkolnych obowiązków, najlepiej jak umieliśmy.

W głębi duszy wiedzieliśmy, że śmieszne jest stwierdzenie, iż to my sprawiliśmy, że tata zabił mamę, a jednocześnie słowa te poruszyły nas i wyzwoliły ukryte na dnie naszych dusz poczucie winy. W chwilach rozpaczki nie potrafiliśmy uwolnić się od myśli, że być może powinniśmy byli zrobić więcej dla mamy. Może sami powinniśmy częściej chodzić na policję i informować, jak niebezpiecznym naszym zdaniem był tata. Jednak wtedy mieszkaliśmy razem z nim pod jednym dachem, więc naprawdę niebezpiecznym wydawał się tylko wtedy, gdy dochodziło do awantur. Może bardziej powinniśmy się postarać nakłonić mamę, żeby go zostawiła.

Skoro nie zrobiła tego głównie przez wzgląd na nas, to być może zdołalibyśmy ją przekonać, że poradzimy sobie, wyprowadzając się z domu. Może nawet lepiej by nam się wtedy wiodło. Czy moglibyśmy ocalić jej życie, gdybyśmy spró-

bowali tak właśnie postąpić? Wątpliwości nie przestawały nas dręczyć, a nie mieliśmy nikogo, z kim moglibyśmy o nich porozmawiać, nie licząc nas samych.

- Nie chcielibyście, żebyśmy wezwali kogoś, z kim moglibyście porozmawiać? - spytali w końcu

Cathy i Pete, gdy proces dobiegł końca.

To wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy taką sugestię, lecz wówczas nie widziałam sensu takich rozmów. Ponieważ nie pozwolono nam na nie przed procesem, przyzwyczailiśmy się do radzenia sobie bez nich. Przetrwaliśmy najtrudniejsze miesiące bezpośrednio po śmierci mamy, gdy rana była najbardziej bolesna, dlatego więc teraz mielibyśmy rozdrapywać ją na nowo? To my wiedzieliśmy najlepiej, jak straszne było nasze życie rodzinne, i w niczym nie mogło nam pomóc ciągle zagłębianie się w jego przerażające szczegóły - i to w rozmowie z obcym - by je nam samym od nowa unaoczniać. Wydawało mi się, że lepiej poszukiwać rozwiązań mogących poprawić naszą obecną sytuację i iść naprzód, zamiast wciąż rozpamiętywać przeszłość.

- Nie, dzięki - powiedziałam. - Myślę, że sobie poradzimy.

Oni jednak mieli inne zdanie. Bez względu na to, jak uparczywie twierdziliśmy, że nie potrzebujemy pomocy, nasi rodzice zastępczy wciąż podejmowali próby zmuszenia nas do takiej czy innej formy emocjonalnego odreagowania tego wszystkiego, co nas spotkało. Gdy w dalszym ciągu nie chcieliśmy przystać na ich propozycję, poinformowali nas, że wstrzymają nam kieszonkowe, jeśli nie zrobimy tego, czego od nas oczekują. Choć zakrawało to na szantaż, osiągnęli swój cel.

Odbyłam z Alexem rozmowę na ten temat i uznaliśmy, że nam to nie

zaszkodzi, choć zapewne i nie pomoże. Bez wątplenia nie chcieliśmy, by wstrzymano nam kieszonkowe, więc zgodziliśmy się.

Alex poszedł pierwszy. Jego terapeuta, mężczyzna, miał

schludny gabinet, którego jedyne wyposażenie stanowiły krzesła i duża roślina. Najwyraźniej w ramach praktykowanej przez niego odmiany psychoanalizy nie zadaje się żadnych naprowadzających pytań, pozwalając pacjentowi, by podejmował pojawiające się w rozmowie tematy, jeśli zechce.

Terapeuta zaczął od próby nawiązania osobistego kontaktu z Alexem, poruszając temat piłki nożnej.

- Widziałem, że dzisiejsze gazety znów piszą o Dawidzie Beckhamie - oznajmił radośnie.

Jednak Alex nie bardzo wiedział, kto to jest Beckham, więc nie podjął rozmowy. Zmieniając strategię, terapeuta zaczął mówić o roślinie stojącej w kącie gabinetu, ale i to na niewiele się zdało, zatem rozmowa utknęła w martwym punkcie. Alex przez pół godziny obserwował przez okno gołębie, dopóki sesja nie dobiegła końca, co oznaczało, że mógł wyjść, dotrzymując warunków umowy. Cathy i Petebwi udało się go przekupić i skłonić, by odbył sesję jeszcze kilka razy, potem jednak Alex się zbuntował. O tym wszystkim, o czym w ogóle chciał mówić, rozmawiał już ze mną albo ze swymi kumplami w ciągu minionych dwóch lat. Nigdy nie miał

żadnych problemów z powiedzeniem tego, co chciał

powiedzieć, w gronie znajomych, spośród których tylko nieliczni znali mamę z naszych zajęć. Jego przyjaciele wręcz przychodzili do niego ze swymi problemami, wiedząc, że wiele przeszedł

i rozumie więcej niż większość osób w jego wieku. Nie mógł pojąć, jaki jest sens rozmawiać o czymkolwiek z zupełnie obcym człowiekiem.

Dzięki temu wiedziałam, co mnie czeka, gdy przysłała moja kolej. Wszłam do gabinetu i usiadłam przed wy-fiokową damulką, którą mi przydzielono.

- Masz godzinę na wygadanie się. Mów o wszystkim, o czym chcesz powiedzieć - zakomunikowała.

W ciągu kilku następnych miesięcy byłam na ośmiu czy dziewięciu sesjach, ale nigdy tak naprawdę nie powiedziałam nic o żadnej ze swych trosk ani o złych wspomnieniach, które nagromadziły się w mojej głowie. Nie miałam nic przeciwko opowiadaniu o rzeczach, które niepokoiły mnie w danym dniu czy tygodniu, ale nie chciałam powtórnie przywoływać tych wszystkich starych historii, które tysiąc razy wałkowaliśmy w sądzie, w rozmowach z rodzicami i we własnych głowach.

Alex i ja mieliśmy w szkole mnóstwo kolegów, mimo że teraz, gdy mieszkaliśmy znacznie dalej, kontakt z nimi był

utrudniony. Nie mieliśmy jednak zamiaru spędzania z nimi czasu marnować, analizując własne emocje; przebywając z przyjaciółmi, woleliśmy uciekać od swoich myśli.

Tuż po swoich siedemnastych urodzinach poznałam w szkole swojego pierwszego chłopaka Martina. Przychodził do nas do domu, czasem spędzał u nas weekendy, a Cathy i Pete akceptowali nasz związek. Przypuszczam, że większość rodziców młodych ludzi ma problem, czy lepiej być surowym, ryzykując, że doprowadzi to do

wyobcowania córki, czy też być liberalnym, mimo iż sytuacja może w końcu wymknąć się spod kontroli.

Ale wtedy wydarzyło się coś, co musi być koszmarem zarówno każdego rodzica, jak i każdego nastolatka - odkryłam, że jestem w ciąży. Martinowi i mnie wydawało się, że jesteśmy naprawdę ostrożni, ale zaryzykowaliśmy i raz zrobiliśmy to bez prezerwatywy. Nie mogłam uwierzyć, że mam takiego pecha. Kiedy zaczęły się pojawiać oczywiste symptomy, zrobiłam testy ciążowe, nie wierząc własnym oczom, gdy wynik każdego z nich był taki sam: pozytywny! Pokazałam je przyjaciółom i nawet nieszczęsnemu Alexowi, który nie chciał

myśleć w ten sposób o swej starszej siostrze. Ostatecznie był

moją jedyną rodziną, i w dodatku najlepszym przyjacielem.

Ty le przeszliśmy, że nie mogłam czegoś takiego przed nim ukryć.

Gdy dotarła do mnie cała nieuchronna prawda, byłam przerażona - po części dlatego że zupełnie nie byłam gotowa na dziecko, a po części dlatego że wiedziałam, iż utwierdzi to wszystkich w przekonaniu, że źródłem problemów w relacji z Cathy i Peteem nie są oni, lecz my -a przy najmniej ja.

Doskonale pasowałam do stereotypu pokrzywdzonego dziecka z patologicznej rodziny. Zawsze chciałam iść na uniwersytet, by móc zrealizować cały potencjał, którego wyzwolenie we mnie kosztowało mamę tyle pracy, więc bycie samotną nieletnią matką stanowczo nie mieściło się w moich życiowych planach.

Gdy wszystkie testy dały pozytywny wynik, byłam tak spanikowana, że wyznałam wszystko Cathy, mimo że nasze wzajemne relacje wcale nie były wtedy dobre. Zabrała mnie do lekarza, który zrobił kolejny test, potwierdzający to, co wiedziałam już wcześniej. I tak nie mogłabym tego ukryć. Powstało jednak pytanie: przed jakim stoję wyborem?

Instynktownie byłam przeciwna aborcji nie tyle z racji swego religijnego wychowania, ile raczej dlatego że czymś złym wydawało mi się zabicie dziecka tylko dlatego, iż jego urodzenie nie było mi na rękę. Nawet pomimo wiszącego nad głową nienarodzonego potomka ryzyka choroby Huntingtona czułam, że po prostu nie mogę się zgodzić na przerwanie ciąży.

Jednak nasi rodzice zastępczy postrzegali aborcję jako najprostszą i najskuteczniejszą metodę pozbycia się problemu i próbowali mnie na nią namówić. Cathy i Pete byli niemal tak samo zakłopotani jak ja, uważając, że będzie źle widziane, gdy się okaże, że pozwalali mi na sprowadzanie do domu chłopaka, i po prostu chcieli mieć problem z głowy. Mój upór - tak to interpretowali - miał tylko ten skutek, że dodatkowo pogłębił

dzielące nas różnice.

Teraz, gdy Cathy i Pete znali całą prawdę, a lekarz wiedział, że oni wiedzą, nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko poinformować o tym opiekę społeczną. Gdy tylko usłyszeli o tym jej pracownicy, zaczęli mieć pretensję do Cathy i Petea o to, że pozwolili Martinowi spędzać u nas tyle czasu, co było, zdaniem opieki społecznej, decyzją nieodpowiedzialną.

Następnie pracownicy opieki zaczęli wywierać na mnie presję, mówiąc mi, że jeśli nie zgodzę się na aborcję, trafię do Mother and Baby [Unit1](#).

1 Ośrodek zajmujący się dziećmi i matkami zaburzonymi lub wywodzącymi się ze środowisk patologicznych (przy p. tłum.).

Zabrzmiało to bardzo złowrogo, ale w dalszym ciągu nie byłam skłonna brać pod uwagę aborcji. Jeśli o mnie chodziło, to dziecko miało takie same prawo przyjść na świat jak każde inne.

Najgorszą rzeczą związaną z ciążą było to, że utrudniłaby mi pozostanie z Alexem i opiekowanie się nim, ponieważ musiałabym wtedy uwzględniać również to, co najlepsze dla dziecka. Pod wieloma względami przejęłam rolę mamy, jeśli chodzi o dopilnowanie, by Alex ciężko pracował i nie pozwolił

na to, by jego atuty, które mama wraz z nim wypracowała, zostały zmarnowane. Nie byłam pewna, czy już wtedy mógł

być pozostawiony samemu sobie - nadal miał tylko czternaście lat - ale gdybym miała dziecko, którym musiałabym się zająć, być może nie byłabym w stanie opiekować się obojgiem tak, jakbym chciała. Miałam poczucie głębokiego rozdarcia, lecz nie mogłam zwierzyć się z moich rozterek Alexowi z obawy, że wywołam w nim poczucie winy; nie chciałam, żeby myślał, że jest mi ciężarem. Nigdy nim nie był, ponieważ stanowił dla mnie taką samą podporę, jaką, mam nadzieję, ja byłam dla niego.

Byłam mniej więcej w dziesiątym tygodniu ciąży, gdy którejś nocy obudziłam się, stwierdzając, że obficie krwawię.

Byłam przerażona i nie wiedząc, co robić, zbudziłam naszych rodziców zastępczych, ci jednak byli zbyt pijani, by mogli mi zaoferować jakąkolwiek pomoc. Musiałam po prostu po sobie posprzątać, najlepiej jak umiałam, nie mając tak naprawdę pojęcia, co się dzieje. Nazajutrz poszłam do lekarza, który powiedział, że przypuszczalnie

straciłam w nocy dziecko i że w ciągu tygodnia powinnam zrobić test ciążowy, który by to potwierdził. Potem Cathy i Pete zaczęli dawać wyraz swym wątpliwościom, czy w ogóle byłam w ciąży, oskarżając mnie o to, że wszystko sfingowałam. Cathy sugerowała, że po prostu zmyśliłam swoją ciążę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak mówiła, skoro pokazałam jej kilka testów z pozytywnym wynikiem, a nawet byłam razem z nią u lekarza, by to potwierdzić. Wydaje mi się, że w jej argumentacji było nie więcej logiki niż w obłąkańczych słowach taty próbującego wyjaśnić, dlaczego zabił mamę.

Ponieważ powiedziałam Martinowi o dziecku, dyrekcja szkoły wezwała Cathy i Petea, by porozmawiać z nimi o mojej sytuacji. Właśnie w tym czasie poroniłam, a Cathy i Pete powtórzyli swoją wersję zdarzeń - że wszystko sfingowałam -

więc na domiar złego w oczach wychowawcy mojej klasy uchodziłam odtąd za wierutną kłamczuchę.

Gdy plotka, że zmyśliłam bajeczkę o ciąży, dotarła do Martina, mój chłopak, co rozumiałe, zdenerwował się na myśl o tym, że mogłam go okłamać w tak ważnej sprawie. Bez względu na to, jak często mu wszystko tłumaczyłam, pokazując testy i proponując, żeby sam zapytał mojego lekarza, owa plotka zasiała w jego umyśle tyle wątpliwości, że w końcu zerwaliśmy ze sobą. Nie byłam tym szczególnie zmartwiona, bo i bez tego nie najlepiej się między nami układało, ale Martina tak to przygnębiło, że przez jakiś czas nie pojawiał się w szkole.

Przypuszczam, że nasilenie się napięć między nami i naszymi rodzicami zastępczymi, prowadzące do kolejnego wybuchu, było tylko kwestią czasu. Jak na ironię, owa iskra podpalająca lont skrzęsana została w Noc Guya Hawkesa.

Zadzwoniła do mnie pewna moja przyjaciółka i kiedy z nią gawędziłam, usłyszałam, że ktoś na parterze podniósł

sluchawkę i zaczął podsłuchiwać. Myślałam, że może któreś z rodziców zastępczych zrobiło to przez przypadek, chcąc samemu gdzieś się dodzwonić, więc posłałam na dół Alexa, żeby poprosił o odłożenie słuchawki. Gdy skończyłam rozmowę, Pete zaczął na mnie krzyczeć: „Dlaczego zawsze jesteście tacy niewychowani?!“.

Powiedziałam mu, że nie wydaje mi się, bym była źle wychowana; po prostu nie chciałam, żeby podsłuchiwał moją prywatną rozmowę.

- To mój dom i mój telefon! - ryknął. - Mogę robić, co mi się podoba, do jasnej cholery! Za karę zabieram ci z kieszonkowego dwadzieścia funtów.

- To nie fair! - zaprotestowałam, a on na to, że zabiera mi kolejne dwadzieścia funtów. Zaprotestowałam ponownie.

- I jeszcze raz dwadzieścia funtów - oświadczył. Oboje z Cathy właśnie wychodzili z domu, wybierając się na jakąś imprezę ze sztucznymi ogniami. Alex lubi sztuczne ognie, więc zgodził się iść z nimi. Gdy cała trójka wyszła z domu, krzyknęłam za nimi.

- Bawcie się dobrze!

Nie miałam intencji wypowiedzenia powyższych słów sarkastycznym tonem, ale być może na tym etapie wydawało im się, że wszystko, co do nich mówię, brzmi sarkastycznie. Bez względu na przyczynę te trzy przypadkowo rzucone słowa były dla mojego ojca zastępczego kroplą, która przelała czarę. Wskoczył z auta i wpadłszy do domu, natarł na mnie, trzęsąc się z gniewu, nad którym najwyraźniej nie panował. Uświadomiwszy sobie, że zagraża mi niebezpieczeństwo, próbowałam zamknąć mu przed nosem drzwi wejściowe, ale nie zdążyłam, więc wykonałam w tył

zwrot i wpadłszy do pokoju gościnnego, skuliłam się na jednym z krzeseł w odruchu obrony przed potencjalnymi ciosami. Nagle odżył we mnie cały dawny strach, jaki czułam, gdy tata wpadał w szal, atakując mamę. Natychmiast też uzmysłowiłam sobie popełniony błąd. Powinnam była uciekać na drugą stronę domu albo na piętro czy gdziekolwiek indziej, zamiast dać się zapędzić w koziego róg. Było już jednak za późno.

Pozostało mi bronić się, najlepiej jak umiałam. Pete dopadł

mnie w kilka sekund. Osłoniwszy się ramieniem, zobaczyłam jego uniesioną pięść.

Przygotowałam się na cios.

Gdy pięść Petea już miała opaść, nagle rozległ się trzask, a za jego plecami zjawił się Alex, który wyskoczył z samochodu, ruszając mi na pomoc. Popchnął Petea, który stracił

równowagę, więc jego pięść tylko przeszła powietrze, nie trafiając mnie, a on sam zachwiał się w tył, wpadając do kuchni, zanim odzyskał równowagę. Odwrócił się i zwróciwszy swój gniew przeciw Alexowi, mocno dzielił go pięścią. Może i był gruby i nie miał kondycji, ale był poza tym dorosłym mężczyzną, więc

Alex, szczupły chłopaczek, nie miał z nim szans w otwartej walce, bez elementu zaskoczenia. Pete chwycił Alexa za gardło i unosząc go nad podłogą pokoju, postawił na kuchennej posadzce. Alex dziko się szamotał i jednym z zadanych mu ciosów zdołał zrzucić Pete'owi okulary z nosa, a sam nos rozkrwawić, czym tylko dodatkowo go rozjuszył. Walka stała się bardzo zażarta - tak właśnie wyobrażam sobie ostatnie starcie taty i mamy. Musiałam coś zrobić, by ich powstrzymać, zanim dojdzie do tragedii.

Zeskoczyłam z krzesła i chwyciłam za słuchawkę telefonu stacjonarnego, próbując wykręcić numer policji, choć trzęsły mi się ręce. Tymczasem do domu weszła Cathy, która wyrwała z gniazdka telefon, dokładnie tak samo, jak robił to tata w trakcie awantur z mamą, tym samym odcinając nas od świata.

Przez ułamek sekundy instynkt kazał mi ją zaatakować, a wszystkie moje dawne strachy znów mną zawładnęły, ale w porę się powstrzymałam.

- W takim razie wezwę ich z mojej komórki - ostrzegłam ją, ona zaś zaczęła okładać mnie pięściami, podczas gdy Pete nie przestawał bić Alexa w kuchni.

- Co ty robisz!?! - wrzasnęłam na nią, nie mogąc uwierzyć, że sprawy zaszyły aż tak daleko.

Moje słowa najwyraźniej ją otrzeźwiły i Cathy na chwilę się uspokoiła.

- Spójrz na niego - powiedziałam, wskazując na Pete'a. -

On zabije Alexa. Musisz coś zrobić! Powstrzymaj go!

Cathy musiała zdać sobie sprawę, że mam rację i że Pete zaraz wyrządzi Alexowi poważną krzywdę, co narazi go na wszelkie możliwe konsekwencje, może nawet na zarzuty karne. Istniało również ryzyko, że w szale walki Alex chwyci za pierwszy lepszy przedmiot, na który natrafi jego dłoń, i dzieli nim Pete'a, co będzie miało jeszcze straszniejsze konsekwencje.

- Puść go! - wrzasnęła na męża Cathy.

Najwyraźniej słysząc ten głos przez mgiełkę szalu, który go ogarnął, Pete zwolnił uchwyt, a ja na sekundę odetchnęłam z ulgą. Lecz już w następnej sekundzie Cathy wykonała obrót i wymierzyła

mi silny policzek, po czym kopnęła mnie w łydkę.

Jak gdyby próbowała sprowokować Alexa, by ponownie zaatakował Pete'a albo ją. Może myślała, że będzie dla nich korzystniej, jeśli po przyjeździe policjantów będzie mogła powiedzieć, że Alex zaatakował pierwszy. Krzyknęłam na brata, żeby nie tracił zimnej krwi, i pędem ruszyłam schodami na piętro ścigana gniewnymi nawoływaniami Cathy, która kazała nam się wynosić precz z ich domu, każąc nam też raz na zawsze zniknąć z ich życia. Oboje wrzasnęli, że ma nas nie być, kiedy wrócą, po czym wypadli na zewnątrz i wsiedli do auta, przypuszczalnie wyruszając na swoją imprezę z ogniami sztucznymi, tak jak planowali.

Czym prędzej chwyciliśmy, co mieliśmy najcenniejszego, jakieś ubrania na zmianę, wpakowaliśmy je do naszych toreb szkolnych i wybiegliśmy z domu. Z powodu tej konfrontacji serca waliły nam jak młotem. Nie mieliśmy najmniejszej ochoty zostawać tam ani chwili dłużej.

Przerażenie z powodu ataku dwojga dorosłych ludzi sprawiło, że naraz ożyły w nas wspomnienia straszliwych domowych awantur, których punktem kulminacyjnym było zamordowanie mamy. Nie mogliśmy zapanować nad drżeniem naszych ciał, krocząc drogą z poczuciem zupełnego zagubienia. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd się teraz udać.

ROZDZIAŁ 19

ALEX

Opuszczenie domu Cathy i Petea stanowiło dużą ulgę, choć nie mieliśmy pojęcia, dokąd mamy się udać ani też co się z nami stanie. Gdy nasze emocje już opadły, zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy głodni, więc poszliśmy na hamburgery, za które zapłaciliśmy posiadaną gotówką. Wciąż jeszcze czułem siniaki i obtłuczenia, jednak zaspokojenie pierwszego głodu sprawiło, że zacząłem widzieć życie w nieco jaśniejszych barwach. Z pewnością po tym, co się wydarzyło, władze musiały nam jakoś pomóc. Policja nie mogła po prostu odesłać nas z powrotem do Cathy i Petea, skoro dopuścili się na nas przemoc.

Nieco sobie podjedliśmy, nie mieliśmy jednak pojęcia, co dalej robić; wiedzieliśmy tylko, że nie zamierzamy wracać do domu. Było tak zimno, że musieliśmy się ruszać, żeby nie zmarznąć. Sądziliśmy, że ktoś będzie nas szukał, tak jak wówczas gdy uciekliśmy w nocy i byliśmy całkiem zagubieni. A jeśli tym razem Cathy i Pete nie zadzwonili na policję, zamierzając pozwolić nam odejść?

Miałem piętnaście lat, Isobel skończyła już siedemnaście, więc może uznali, że jesteśmy wystarczająco dorośli, by sobie poradzić bez nich? Ale nawet jeśli tak było, to i tak nie mieliśmy pojęcia, od czego zacząć.

Całodobowy hipermarket Tesco był, nie licząc pubów i restauracji, jedynym miejscem, o którym wiedzieliśmy, że jest otwarte, a nie mieliśmy już więcej pieniędzy. Poszliśmy do owego hipermarketu i usiedliśmy na znajdującej się na zewnątrz ławce. Nie wchodziliśmy do środka, by nie ściągać na siebie niczyjej uwagi. W pobliżu ludzi czuliśmy się trochę bezpieczniej. Mieliśmy nadzieję, że coś się wydarzy albo że poweźmiemy jakiś plan.

Kilka godzin później zadzwoniła do nas pracownica opieki społecznej przydzielona Cathy i Petebwi. Isobel nie chciała jej powiedzieć, gdzie jesteśmy. Nie byliśmy pewni, po czyjej stronie się opowie, ale w końcu moja siostra poddała się i o trzeciej nad ranem owa pracownica opieki społecznej, pełniąca nocny dyżur, zjawiała się w hipermarkecie, by nas stamtąd zabrać. W ciągu kilku godzin staliśmy się niemal dziećmi ulicy. Czymś przerażającym było przekonanie się, jak niewiele trzeba, by życie młodego człowieka osunęło się w chaos.

Opiekunka od razu zauważyła na mojej twarzy siniaki po uderzeniach Petea, od razu więc zdała sobie sprawę, że nie może oddać nas z powrotem naszym rodzicom zastępczym.

Zawiozła nas w miejsce, które nazwała „ośrodkiem interwencji kryzysowej”. Do ośrodka wpuścił nas ktoś, kto najwyraźniej właśnie został zbudzony ze snu.

Człowiek ten wskazał nam jakieś piętrowe łóżka i kazał nam iść spać.

- Ktoś podjedzie po was o szóstej - powiedziała nam pracownica opieki społecznej - żebyście zdążyli do szkoły.

Byliśmy zdziwieni, że chcą nas odwozić do szkoły po tak traumatycznej nocy, ale zdaje się, że do wyboru mieliśmy to albo szwendanie się po biurze opieki przez cały jutrzejszy dzień, podczas gdy wszyscy będą się zastanawiać, co mają z nami zrobić. W gruncie rzeczy wolałbym nie iść tego dnia do szkoły. Nie chodziło jednak o samą szkołę. Po prostu miałem za sobą długą i ciężką noc i przydałoby mi się kilka dodatkowych godzin snu.

Nadal przygotowywałem się do małej matury, a Isobel wywierała na mnie silną presję. W przeciwieństwie do niej, nie byłem urodzonym naukowcem. Wolałem przedmioty, które były raczej praktyczne i polegały na pracy z ludźmi. Isobel była wobec mnie bardzo surowa, jeśli chodzi o zadania domowe; tak samo surowa jak wcześniej mama, dlatego nigdy nie miałem tyłów, choć czasem dochodziło z tego powodu do awantur. Dorośli nieraz jej mówili, żeby mi trochę odpuściła, ostrzegając ją, że wywiera na mnie zbyt duże naciski, jakby się martwili, że mogę nie wytrzymać stresu. Ona jednak знаła moje możliwości i tak samo jak mama była zdeterminowana nie dopuścić, bym przegapił jakąś nadarzającą się życiową szansę tylko dlatego, że nauka przychodzi mi nie bez trudu i że może nie powinna aż tak się tym przejmować. Zdaje się, że czasami inni ludzie niepokoiли się, iż nadmiernie się obciąża, biorąc za mnie aż tak dużą odpowiedzialność. Niektórzy sugerowali nawet, że mogłoby być lepiej dla niej, gdybyśmy zostali rozdzieleni: mogłaby się wtedy nieco bardziej skoncentrować na swoim życiu, pozwalając, by o mnie martwili się inni. Ale Isobel nie wierzyła, że ktokolwiek inny będzie się mną zajmował tak jak ona, i pewnie miała rację.

Aż do chwili awantury z naszymi rodzicami zastępczymi zajmowała się nami pewna doświadczona pracownica opieki społecznej, choć nie widywaliśmy jej zbyt często. Jednak później jej szefowie odsunęli ją od naszej sprawy, gdyż zaklasyfikowano nas jako „łatwy przypadek”. Nasze dokumenty przekazano dwudziestoletniej praktykantce, dziewczynie zaledwie o cztery lata starszej od Isobel. Owej nocy to nie ona miała dyżur, więc o szóstej rano, nazajutrz po naszej ucieczce od Cathy i Pete'a, przyjechała po nas przydzielona nam pracownica opieki. Mieliśmy za sobą jedynie trzy godziny snu.

Pakując się w pośpiechu, by jak najszybciej wy dostać się z domu naszych rodziców zastępczych, nie pomyśleliśmy o tym, żeby zabrać mój mundur szkolny, więc musiałem pójść do szkoły w ubraniu, które miałem na sobie poprzedniej nocy.

Isobel to nie przeszkadzało, gdyż była już w collegeu i nie musiała nosić mundurka. Zaledwie przekroczyliśmy bramę szkoły, a już kazano mi zgłosić się do dyrektora. Na zapleczu trzymano brzydkie zastępcze mundurki, które zazwyczaj kazano wkładać krnąbrnym uczniom, którzy przychodzili do szkoły we własnych ubraniach, by zdrwić sobie z obowiązujących

w szkole reguł. Dano mi taki właśnie mundur, co odczułem jako upokorzenie.

Kolejny problem wiązał się z tym, że byliśmy głodni, gdyż nie mieliśmy czasu zjeść śniadania przed opuszczeniem ośrodka interwencji. Nie posiadaliśmy też żadnych pieniędzy.

Już wcześniej prosiliśmy raz dyrektora szkoły, czy nie moglibyśmy jadać obiadów na stołówce

szkolnej, gdyż nasi rodzice zastępczy nie dawali nam żadnych pieniędzy, za które moglibyśmy pójść na lunch.

Wcześniej dyrektor nie chciał się na to zgodzić, sądziliśmy jednak, że tym razem będzie inaczej.

- Czy moglibyśmy zjeść dzisiaj lunch w szkole? - zapytała go Isobel.

- Nie - odpowiedział. - Darmowe obiady są tylko dla tych dzieci, których rodzice mają małe dochody, a wy podpadacie pod opiekę społeczną.

Tego najwidoczniej domagał się system, a dyrektor nie zamierzał robić żadnych wyjątków, nawet w tak niepomysłny dla nas dzień. Ostatecznie nasi przyjaciele podzielili się z nami swoim drugim śniadaniem - w przeciwnym razie głodowalibyśmy.

Po lekcjach szkolnych odebrała nas przydzielona nam nasza młoda opiekunka, która zjawiała się w towarzystwie swej bardziej doświadczonej koleżanki. Można było odnieść wrażenie, że nasza sprawa zdecydowanie przerosła ową praktykantkę, która wydawała się całkiem zagubiona. To, że teraz przydzielono nam aż dwie pracownice opieki, choć wcześniej bywało, że całymi miesiącami nie zajmował się nami nikt, uznaliśmy za ironię losu. W takich okolicznościach trudno byłoby zbudować między nimi i nami relację opartą na wzajemnym zaufaniu albo mieć poczucie, że którakolwiek z pracownic ma o naszej sprawie rzetelną wiedzę. Odwozły nas z powrotem do domu Cathy i Pete'a, byśmy wzięli resztę naszych rzeczy, w tym również mój szkolny mundur.

- Nie mamy pojęcia, gdzie umieścimy was na noc

- przyznały nasze opiekunki, gdy wsiedliśmy do samochodu. -

Szukałyśmy cały dzień, ale nigdzie nie ma dla was miejsca.

Nie to chcieliśmy usłyszeć, zanim jednak mieliśmy się zmierzyć z problemem noclegu, musieliśmy załatwić jeszcze inne sprawy. Gdy znów znaleźliśmy się w domu, każde z nas spakowało tyle, ile zmieściło się w jednej torbie, podczas gdy Cathy i Pete siedzieli w salonie na parterze, a pracownice opieki krzątały się po domu, nie dopuszczając do ewentualnej konfrontacji.

Gdy odjechaliśmy, obie panie zabrały nas do pielęgniarki, by obejrzała moje siniaki, które nawiasem mówiąc, wtedy jeszcze nie wyglądały tak źle jak później. Pielęgniarka opatrzyła również skaleczenie na goleniu Isobel - ślad po kopniaku Cathy. Zaczynało się zmierzchać, a my nadal nie mieliśmy się gdzie podziać. Im dłużej trwała niepewność, czy znajdziemy dach nad głową, tym bardziej się denerwowaliśmy, że trafimy z powrotem do domu naszych rodziców zastępczych.

- Nie martwcie się - uspokajały nas pracownice opieki, gdy wyjawiliśmy im swoje obawy. - Na

pewno już nie wrócicie do tych ludzi, a oni nie będą mogli więcej przyjmować dzieci jako rodzina zastępcza ani w ogóle pracować z dziećmi.

Poczuliśmy wielką ulgę. Cieszyliśmy się, że w końcu nam uwierzono i że podjęto jakieś działania. Przypuszczam, że siniaki stanowiły dostateczny dowód, jednak już zdążyliśmy się przyzwyczaić, że składane przez nas skargi nie odnoszą żadnego skutku, toteż na nic już nie liczyliśmy.

Kiedy pracownice opieki zdały sobie sprawę, że przez cały dzień nie jedliśmy nic treściwego, zabrały nas na posiłek do McDonalda, nadal nie mając pojęcia, co później z nami zrobią. Poza tym same już chciały wracać do swych domów.

Przypuszczam, że nie mogły nas zostawić, póki nie znalazły dla nas bezpiecznego noclegu, z pewnością też nie wolno im było zabrać nas do siebie. W takich chwilach rozumieliśmy, dlaczego poszczególni pracownicy opieki są przepracowani i czują się niedoceniani. Ich praca naprawdę bywa niewdzięczna.

Wykonawszy mnóstwo telefonów, w końcu zdołały znaleźć dla nas miejsce w domu dziecka, w którym przyjmowano podopiecznych zjawiających się bez zapowiedzi.

- Ośrodek ten znajduje się w Cheltenham - oświadczyły nam nasze opiekunki. Oznaczało to, że jest jeszcze bardziej oddalony od szkoły niż dom Cathy i Petea, wiedzieliśmy jednak, że nie pora na narzekania.

Droga do Cheltenham zajęła nam około czterdziestu pięciu minut. Gdy byliśmy na miejscu, praktykantka weszła do środka razem z nami. Wyglądała tak młodo, że ludzie prowadzący ów dom dziecka myśleli, że to ona szuka noclegu.

- Spędzicie tu najwyżej dwa tygodnie - zapewniła nas, gdy już nieporozumienie zostało wyjaśnione.

W rzeczywistości jednak Cheltenham było naszym domem przez sześć miesięcy. Teraz mieliśmy już pewność, że staliśmy się wychowanymi ośrodka

opiekuńczo-wychowawczego, nie wiedzieliśmy jednak, że od tej pory świat będzie postrzegał nas zupełnie inaczej. Mając w kartotekach formułkę „wychowanek ośrodka opiekuńczo

-wychowawczego”, zostaliśmy uznani za młodych ludzi, którzy kiepsko rokują. Od tej pory musieliśmy udowadniać, że nie jesteśmy kompletnymi nieudacznikami.

Kilka dni później przyjechali porozmawiać z nami policjanci. Zapytali, czy chcemy wnieść oskarżenie przeciwko Cathy i Petebwi. Braliśmy to pod uwagę, ale ostatecznie doszliśmy do wniosku, że i bez tego mamy dość spraw na głowie i że nie chcemy się wikać w kolejną rozprawę sądową, jeśli nie jest to konieczne. Skoro nie istniało niebezpieczeństwo, że znów do nich trafimy ani że Cathy i Pete będą w przyszłości pełnić funkcję czyichkolwiek rodziców

zastępczych, uznaliśmy, że rozsądniej będzie odpuścić sobie sprawę napaści. Po prostu chcieliśmy zacząć życie na nowo.

ROZDZIAŁ 20

ISOBEL

Nasza zdesperowana opiekunka, gdy tylko odwiozła nas do Cheltenham, najwyraźniej pragnęła tylko jednego: wrócić do domu. Z radością więc przekazała nas pracownikom domu dziecka. Wyjechała bez słowa na temat tego, jak w ogóle do tego doszło, że trafiliśmy pod jej opiekę. Pracownicy ośrodka nie wiedzieli o nas nic - mogliśmy równie dobrze być młodocianymi przestępcami, którzy właśnie podpalili dom rodzinny albo których przyłapano na sprzedawaniu narkotyków.

Natychmiast po jej wyjeździe pracownicy ośrodka przeprowadzili z nami szczegółowy wywiad. Chcieli poznać wszystkie szczegóły naszej sytuacji.

- Macie jakieś tatuaże albo kolczyki? Albo jakieś inne znaki szczególne? - Najwyraźniej musieli wiedzieć tego rodzaju rzeczy, by móc sporządzić szczegółowy opis na wypadek, gdybyśmy w nocy zniknęli w ciągu nocy i gdyby policja zaczęła nas szukać.

- Miałaś robione pasemka? - zapytali mnie.

- Nie - odrzekłam z westchnieniem, już tyle raz wcześniej słysząc to pytanie. - To ich naturalny kolor.

Mam włosy koloru blond o odcieniu brązowym i wyglądają, jakbym miała zrobione sztuczne pasemka, choć nigdy nie użyłam niczego poza szamponem! Są takie, odkąd się urodziłam.

Byliśmy już tak wyczerpani, że chcieliśmy tylko, by nam wskazano, gdzie mamy spać, i żeby zostawiono nas w spokoju.

Personel ośrodka upierał się jednak, byśmy dokonali spisu wszystkich rzeczy, które przywieźliśmy z sobą, na wypadek gdyby potem padło oskarżenie o kradzież. Pracownica opieki założyła kłódki na naszych torbach, by zabezpieczyć nasze rzeczy. Nigdy wcześniej nie musieliśmy się martwić o takie sprawy. Mieliśmy wrażenie, że trafiliśmy do więzienia, jakbyśmy zrobili coś złego. A tymczasem to my sami byliśmy ofiarami napaści. Kobieta przeprowadzająca z nami szczegółowy wywiad była uprzejma, rozmowna i najwyraźniej nie miała pojęcia, co przeżyliśmy w ciągu ostatnich dni. Jej zadanie polegało na tym, by zadać nam wszystkie te pytania i wypełnić kwestionariusz. Gdy jej czas pracy dobiegł końca, zastąpiła ją inna kobieta, pracująca na nocną zmianę i sprawiająca wrażenie, że wykonuje swój zawód od tylu lat, że nic już jej nie zaskoczy.

- Wszystkie dzieciaki są takie same - oświadczyła. - Niech wam się nie wydaje, że różnicie się od reszty.

Zasadniczo uważała, że każde dziecko trafiające do ośrodka opiekuńczo-wychowawczego musi być głupkowane i sprawiać kłopoty. Byliśmy zbyt zmęczeni, by protestować, więc po prostu ją

wyminęliśmy i poszliśmy spać.

Każde z nas trafiło do innego pokoju. Zapadłam w sen, zaledwie znalazłam się pod kołdrą, jednak obudziłam się z przestracchem, a moje serce zaczęło walić jak oszalałe, gdy po upływie kilku godzin, w środku nocy drzwi sypialni otworzyły się ze skrzyknięciem, a do mojego łóżka podeszła jakaś spowita mrokiem postać i pochyliła się nade mną.

- Kto to? - spytałam z przestracchem. - Czego chcesz?

- To tylko rutynowa kontrola - odpowiedział незнаjomy głos. - Śpij już.

Nikt nie ostrzegł nas, że każdej nocy co jakiś czas będą powtarzały się takie kontrole. Nie wiem, czy sądzono, że uciekniemy, czy może obawiano się, że się powiesimy u po-wały. Sama nie wiem. W każdym razie dziwnym uczuciem była świadomość, że w swoim małym pokoiku nie mogę liczyć na prywatność nawet przez te kilka godzin snu. Choć dobrze było znaleźć się daleko od rodziców zastępczych, to jednak mieliśmy wrażenie, że wykonaliśmy kolejny krok wstecz w naszym życiu.

Zatrudnieni w ośrodku w Cheltenham pracowali na zmiany, więc gdy po przebudzeniu zesliśmy nazajutrz na dół, okazało się, że ludzi, którzy nas przyjmowali poprzedniej nocy, zastąpili inni. Znowu nikt nas o niczym nie uprzedził. W rzeczy samej, o niczym nam nie powiedziano, więc ujrzałe przez nas nowe twarze, gdy próbowaliśmy się rozeznac w sprawie śniadania, wprawiły nas w złopotanie. I, rzecz jasna, ludzie ci wiedzieli o nas równie mało jak my o nich.

- Ubraliście się, jakbyście mieli pójść do szkoły! - powiedział jeden z nieznanym. Wyglądał na zaskoczony, że nie korzystamy z okazji, by tego uniknąć.

- Codziennie chodzimy do szkoły - odpowiedziałam.

- Dlaczego nie mielibyśmy pójść tam dzisiaj?

- To fakt. Po prostu większość tutejszych dzieci tym się nie przejmuje.

Nie pytaliśmy o nic więcej. Po prostu zjedliśmy śniadanie i zaczęliśmy, aż pojawi się pracownica opieki społecznej, by nas odwieźć do szkoły. Miała nas tam zabrać, gdyż nie zdążono nam zorganizować dowozu taksówką.

Gdy po południu wróciliśmy ze szkoły do Cheltenham, była już nowa zmiana, a wraz z nią nowe twarze wokół nas. Po ośrodku kręciło się ponadto czworo nowych dzieci. Ponieważ nasza młoda opiekunka zapewniła nas wcześniej, że mamy tu zostać najwyżej przez dwa tygodnie, nie czułam potrzeby nawiązywania znajomości z innymi wychowankami. Nie miało to sensu, skoro zamierzano szybko przenieść nas w inne miejsce. Poza tym żadnemu z młodych ludzi nie zostaliśmy przedstawieni. A zresztą i tak byliśmy dość przerażeni w tym obcym miejscu, w którym wszyscy od dawna się znali, a przez większość czasu, zgromadziwszy się w kręgu, palili i

wrzeszczeli. Najprościej było skierować się prosto do swojego pokoju i odrabiać zadanie domowe. Tak więc przez kilka kolejnych dni trzymałam się na uboczu i rozmawiałam jedynie z Alexem - jak zwykle zresztą. Byłam samotna i tęskniłam za mamą tak bardzo, że aż czułam ból w klatce piersiowej.

Reszta naszych *ntczy* została spakowana i wywieziona z domu Cathy i Petea przez prywatną firmę przewozową. W

sumie były tego ze dwadzieścia trzy pudła, nikt jednak nie oznaczył żadnego z nich z osobna i dopiero po przeszukaniu wszystkich zorientowałam się, że zginął nasz wspólny laptop.

Złożyliśmy skargę, żądając od firmy przewozowej odszkodowania, okazało się jednak, że któraś z pracownic opieki społecznej nie wypełniła poprawnie dokumentu, więc skarga została odrzucona. Wtedy złożyliśmy podanie do opieki społecznej, by kupiono nam zastępczy komputer, jednak w odpowiedzi na nasze pismo oświadczone, że opieka nie ponosi żadnej odpowiedzialności za zaginięcie komputera. Podanie o zwrot kosztów moglibyśmy złożyć do firmy przewozowej, gdyby pracowniczka opieki poprawnie wypełniła odpowiedni formularz, ale ponieważ tak się nie stało, nasze podanie z jakiegoś powodu zostało odrzucone. Oznajmiono nam również, że długo nie będzie nam on potrzebny, skoro mamy niebawem zakończyć naszą szkolną edukację. Było to mocno deprymujące wprowadzenie w niezbyt humanitarne realia państwowego systemu opieki, w którym trzymano się zasad, odstępując od nich sporadycznie.

Mniej więcej po tygodniu spędzonym w Cheltenham pracownicy placówki namówili Alexa, by zszedł do świetlicy i obejrzał w telewizji mecz piłki nożnej. Tym sposobem Alex nawiązał kontakt z innymi dziećmi. Mój brat nigdy nie miał trudności z zawieraniem znajomości w nowych miejscach, gdyż był otwarty z natury i lubił rozmawiać z ludźmi. Pod koniec kolejnego tygodnia było oczywiste, że póki co nie zamierzają nas nigdzie przeno-sić. Ja zaś zdałam sobie sprawę, że nie mogę spędzić reszty życia w pokoju na piętrze, i także zaczęłam go opuszczać.

Nasz nowy dom dziecka nie był wielką placówką. Nam jednak wydawał się duży, gdyż nigdy wcześniej nie mieszkaliśmy pod jednym dachem z więcej niż dwiema osobami. Przy domu znajdował się osobny ośrodek dla ludzi, niemal już gotowych do samodzielnego życia, którzy jednak nie mieli jeszcze ukończonych osiemnastu lat. Niektórzy z wychowanków mieli na swoim koncie przestępstwa, takie jak kradzież samochodu, niszczenie mienia albo jakieś błahе wykroczenia popełnione w tym ośrodku wychowawczym.

Polityka zarządu polegała na tym, by dzwonić na policję, gdy ktokolwiek z nas w jakikolwiek sposób naruszył obowiązujące reguły. Zetknęłam się również z innymi domami dziecka, których dyrekcja stosowała tę samą zasadę, i nie uważam, by było to słuszne, gdyż w rezultacie osoby bardzo młode mają założony rejestr karny, choć niczym sobie nań nie zasłużyły z racji małej szkodliwości popełnionych wykroczeń. Gdy już masz założony rejestr karny, jest to kolejny stygmat, z którym musisz żyć przez całe lata. I bez tego trudno jest przekonać kogokolwiek, że jesteś coś wart, jeśli dorastałeś w domu dziecka; gdy w dodatku jesteś notowany, wówczas przeszkody, które zaczynają się przed tobą piętrzyć, jeżeli chcesz dostać dobrą pracę, stają się

niemal nie do pokonania.

Policjanci zjawiali się w ośrodku zawsze po to, by dokonać przeszukania pod kątem posiadania narkotyków. Kazali nam wtedy zdejmować płaszcze i pulowery i podnosić nogawki spodni. Zawsze podejrzewali, że coś przed nimi ukrywamy. Miałam wrażenie, że w większości przypadków działania te były nielegalne, skoro nie istniały żadne dowody na to, by którekolwiek z nas, Alex lub ja, miało styczność z narkotykami, nie mówiąc już o ich sprzedawaniu. Oboje od urodzenia mieliśmy rozszerzone źrenice i czuliśmy się już zmęczeni koniecznością wyjaśniania tego faktu, ilekroć ktoś nas oskarżył, że jesteśmy pod wpływem narkotyków. Zgodnie z Ustawą o policji i dowodach przestępstw kryminalnych (Police and Criminal Evidence Act) policjant nie ma prawa nikogo przeszukiwać, jeśli brak mu wiarygodnych podstaw do podejrzeń, że znajdzie jakieś przedmioty kradzione lub takie, których posiadanie jest nielegalne. A ponieważ nigdy nie stwierdzono, byśmy posiadali narkotyki lub byli pod ich wpływem, nie istniały racjonalne podstawy, by nas o to podejrzewać, pomijając fakt, że mieszkaliśmy w domu dziecka. Ustawa stwierdza również, że przed rozpoczęciem przeszukania dokonujący go policjant musi podać przeszukiwanemu swoje imię, nazwisko oraz adres i numer telefonu posterunku policyjnego, na którym jest zatrudniony, a także wskazać, w jakim celu przeprowadza przeszukanie i jakie ma ku temu podstawy. Żaden z tych warunków nigdy nie został

spełniony.

Zdaje się, że policjanci mieli powody, by żywić podejrzewania wobec wychowanków naszego ośrodka, gdyż każdy handlarz narkotyków w okolicy ich właśnie obierał sobie za cel swej działalności. Handlarze kręcili się przy bramie wejściowej, czekając tylko na okazję. Zdaje się, że dzieje się tak w wielu tego typu miejscach, o których wszyscy wiedzą, że przebywają tam rozczarowane życiem dzieci, które co tydzień dostają jakieś kieszonkowe, a nie mają nic konkretnego do kupienia. Narkotyki zawsze będą stanowić pokusę dla tych, których życie jest nic niewarte, nie bez znaczenia była również presja rówieśników. Dzieciakom mówiono, że będą mogły spotykać się z miejscowymi, którzy im imponowali, jeśli tylko zrobią coś dla nich, na przykład ukradną jakieś rzeczy, które łatwo można sprzedać. Dzieci z ośrodka wychowawczego, chcąc zyskać akceptację innych i przynależność do jakiejś grupy, czasami łatwo dają się sprowadzić na manowce. W

wielu przypadkach zażywanie narkotyków jest nieuchronną tego konsekwencją. Przypomina to błędne koło, a właściwie cały szereg błędnych kół, z których większość na siebie zachodzi.

Policjanci dokonywali przeszukań co kilka tygodni. Raz pojawiło się ich w ośrodku ponad dwudziestu, po czym przetrząsnęli cały budynek od poddasza po piwnice. Choć nigdy nie znaleźli niczego ani na Alexa, ani na mnie, a szkolone psy, które z sobą przyprowadzali, nigdy niczego u nas nie wywąchały, prowadzili raporty, w których notowali wszystko, co się działo podczas takich przeszukań, ja zaś poważnie się martwiłam, że kiedy w przyszłości wybiorę się na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy, nagle na monitorze pracodawcy pojawi się informacja, że byłam podejrzewana o zażywanie narkotyków.

Kiedy całe twoje życie znajduje się w rękach innych, nigdy nie wiesz, co takiego umieszczą w twojej kartotece, co może później do ciebie wrócić i wlec się za tobą. Wielu ludzi martwi nasze „społeczeństwo nadzoru”, ale nikt nie cierpi na tym bardziej niż dziecko, które weszło w orbitę państwowego systemu opieki.

Tymczasem naszą sprawę przejął bardzo miły pracownik opieki społecznej, tym razem mężczyzna, który był

zaskoczony, że tyle przeszliśmy w naszym krótkim życiu, i zmartwiony, że nikt nas nie poinformował o innych formach pomocy, z których moglibyśmy skorzystać, zważywszy, że te podstawowe najwyraźniej okazały się nieskuteczne. Był

pierwszą osobą, która zdała sobie sprawę, że nasze emocjonalne potrzeby nie zostały zaspokojone. Zaglądając do naszych akt, potrafił stwierdzić, że formy terapii, z których korzystaliśmy dotychczas, nie sprawdziły się, chciał więc przedstawić nam inne możliwości. Jednocześnie wyraził

zdziwienie, że nie przeżyliśmy jak dotąd zupełnego załamania nerwowego.

Nie chciałybyśmy sugerować, że wszyscy pracownicy opieki społecznej są beużyteczni. Niektórzy z nich to wspaniali ludzie. W domu dziecka na przykład jedno z kluczowych stanowisk zajmował mężczyzna o imieniu Paul, z którym Alex nawiązał bardzo silną więź, a który sam również był w młodości objęty systemem opieki. Był zapewne pierwszym od czasu śmierci mamy dorosłym, z którym taka relacja stała się możliwa. Bardzo Alexowi pomógł, udzielając mu wyjaśnień na temat całego systemu opieki i jego działania.

W owym czasie w naszym ośrodku pracowało również kilka kobiet. Vanda, Sandy i Jeanette pomogły mi przede wszystkim w moich zmaganiach z zespołem natręctw OCD.

Nie okazywały zniecierpliwienia i nie krzyczały na mnie jak Cathy i Pete. Zauważyły na przykład, że gdy zapada wieczór i zbliża się pora spania, ogarnia mnie niepokój. Kuchnię zawsze zamykano na noc, ale one otwierały ją dla mnie, bym przed snem mogła do niej wejść i upewnić się, że wszystkie wtyczki wyłączono z gniazdek. Jeśli tego nie zrobiłam, trudno mi było się zrelaksować i zasnąć. Zazwyczaj irytowało to inne dzieciaki, które sądziły, że mam jakieś specjalne przywileje i że wolno mi coś sobie podjeść w kuchni oprócz posiłków.

Vanda świetnie rozpoznawała, kiedy staję się niespokojna, i zachęcała mnie, żebym mówiła o swoich emocjach.

Spędziłyśmy wiele godzin na rozmowach, a ona pomogła mi rozwiązać kilka problemów. Sandy i inna pracownica o imieniu Debbie również były niesamowite. Rozumiały, że czasem muszę wyrwać się z ośrodka, więc zabierały mnie na przejażdżki samochodem, bym mogła porozmawiać z nimi o swoich zmartwieniach. Dzięki nim uświadomiłam sobie, że mogę mówić o swoich problemach, choć nadal nie chciałam roztrząsać przeszłości ani zwierzać się z tego, jak

bardzo tęsknię za mamą.

Ludziom z ośrodka w pełni udało się też spojrzeć na mnie i na Alexa jak na dwoje odrębnych indywidualności, zamiast postrzegać nas jako dwie połowy jednego problemu, do czego przyzwyczaili nas pracownicy opieki społecznej, którzy zajmowali się nami do tej pory. Przez

znaczłą część minionych osiemnastu miesięcy otaczający nas ludzie zdawali się przyjmować, że będę się opiekowała Alexem, więc oni nie muszą się o nic martwić, jeśli tylko zapewnią nam dach nad głową. W domu dziecka było inaczej i to, że zaczęto rozmawiać z nami oddzielnie, bardzo nam pomogło.

Ponieważ Cheltenham było ośrodkiem opieki krótkoterminowej, podopieczni wciąż pojawiali się i znikali, toteż nie udało nam się zawrzeć żadnych trwalszych znajomości. W

pewnym momencie wszyscy ci młodzi, z wyjątkiem jednego, zostali przeniesieni w inne miejsce i przez jakiś czas nie pojawił się nikt nowy, więc na jednego wychowanka przy padał

jeden opiekun. Niebawem do ośrodka trafiły nowe dzieci, ale tamta wcześniejsza sytuacja była czymś pozytywnym; miało się wrażenie, że znów jest się członkiem rodziny.

Pracownicy opieki bardzo niechętnie wymierzali kary za niewłaściwe zachowanie. Czasem wydawało mi się to dość bezsensowne. Kiedy ktoś zaczynał się awanturować, personel nieśmiało próbował go uspokoić. Nieraz przebywające w ośrodku, dzieci robiły taki hałas, że nie mogliśmy w nocy spać.

Wydaje mi się, że niewłaściwe zachowanie uchodziło innym na sucho, podczas gdy ani mnie, ani Alexa nigdy nie nagrodzono za to, że zachowujemy się spokojnie i że chodzimy codziennie do szkoły. Choć członkowie personelu byli dla nas bardzo mili, nikt z opieki społecznej nigdy nie zapytał, czy czegoś potrzebujemy albo czy coś jeszcze mogliby dla nas zrobić - tylko dlatego że po prostu znosiliśmy cierpliwie swój los i nie robiliśmy wokół siebie hałasu.

Gdy miesiąc po naszym przybyciu do Cheltenham nadeszły święta Bożego Narodzenia, sądziliśmy, że Helen i Steve zaproszą nas do siebie. Zanim trafiliśmy do rodziny zastępczej, jeszcze za życia mamy, często spędzaliśmy z nimi święta, wiedzieliśmy też, iż powiadomiono ich, że nie mieszkamy już u Cathy i Petea, jednak żadnego zaproszenia się nie doczekaliśmy. Jeden z kuzynów mamy, którego widzieliśmy zaledwie dwa czy trzy razy w życiu, był tak miły, że zaprosił

nas do siebie na kilka dni, jednocześnie wyjaśnił, że będzie gościł całą rodzinę, której nie znaliśmy. Przemysławszy tę propozycję, doszliśmy do wniosku, że ów kuzyn po prostu chce być uprzejmy i że będzie lepiej, jeśli odmówimy. By nie miał

żadnych wyrzutów sumienia, zapewniliśmy go, że zaprosili nas już do siebie nasi rodzice chrzestni. Koniec końców, spędziliśmy te święta w domu dziecka, podczas gdy wszystkich innych

wychowanków zabrali krewni.

W tych okolicznościach trudno było poczuć ducha świąt, choć pracownicy ośrodka dołożyli wszelkich starań, by zapewnić odpowiednią atmosferę. Dokładnie tak samo sprawy potoczyły się rok później w kolejnym domu dziecka, w którym nas umieszczono. Dla nas jednak zawsze będzie to czas, gdy będziemy myśleć o śmierci mamy, a przysłuchiwanie się, jak inni ludzie, podekscytowani i pełni optymizmu, snują swoje świąteczne plany, zawsze będzie nam wtedy sprawiać ból.

Tego roku, w Cheltenham, Alex i ja nie odłożyliśmy żadnych pieniędzy, więc kupiliśmy sobie nawzajem po płytce CD. Rozpakowywanie tych prezentów zajęło nie więcej niż dwadzieścia sekund. Personel przygotował dla nas świąteczny obiad, ale nikt nie jadł razem z nami, gdyż wszyscy oszczędzali siły na spodziewany posiłek w rodzinnym gronie, we własnym domu. Widzieliśmy, że pracownicy starają się tego nie pokazywać, ale było dla nas oczywiste, że patrząc, jak jemy obiad, też chcieliby już się znaleźć we własnych domach. Rozumieliśmy to. Ostatecznie przebywając z nami, byli wszak w pracy, i to w święta Bożego Narodzenia.

Gdybyśmy tylko mieli gdzie się podziać, mogliby zamknąć na kilka dni oddział i cieszyć się tymi świątami. Żaden z nich nie mógł zaprosić nas do siebie, nawet gdyby chciał, gdyż było to sprzeczne z regulaminem. Nie mogli nam nawet powiedzieć, gdzie mieszkają. Zdaje się, że to ze względu na ich bezpieczeństwo, w razie gdyby jakieś dziecko chciało ich prześladować czy śledzić. Praca w ośrodku z założenia miała być tylko i wyłącznie pracą i żaden z wychowawców nie powinien sobie pozwalać na emocjonalne przywiązywanie się do któregokolwiek z podopiecznych. Ktoś, kto złamałby tę zasadę, dopuszczając do tego, by serce zwyciężyło nad rozumem, dostałby surową naganę, a może nawet zwolniono by go. Zdaje się, że opiekunowie społeczni nie mogą sobie pozwolić na to, by kierować się odruchami serca, bo jeszcze mogłoby ono zostać złamane.

Trzy miesiące później obchodziłam osiemnaste urodziny, ale wcale nie miałam ochoty ich świętować. Owa data oznaczała, że mogłam teraz wykonać badanie, by się przekonać, czy cierpię na dziedziczną chorobę Huntingtona.

Poprosiłam, by pozwolono mi poddać się testowi kilka tygodni przed moimi urodzinami. Wyniki poznałam parę tygodni później. Sandy towarzyszyła mi w czasie tej wizyty i była przy mnie, gdy genetyk przekazał mi fatalną wiadomość - wynik testu był pozytywny. Cierpiałam na tę chorobę, tak samo jak mama, a wcześniej babcia. Nagle moja wizja własnej przyszłości uległa radykalnej zmianie. Przede wszystkim wiedziałam już teraz, że nigdy nie będę chciała mieć dzieci, gdyż istniało pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że odziedziczę po mnie tę chorobę i że one również będą przekazywały ją dalej. Poza tym mogłabym nie dożyć chwili, gdy będą dorosłe, istniało też duże prawdopodobieństwo, że stałabym się dla nich jedynie ciężarem. Pozytywną stroną takiego rozwoju wypadków było to, że nie musiałam martwić się o emeryturę, gdyż wiedziałam, że i tak jej nie dożyję. Nie będę mogła również pracować w wojsku ani policji, nawet gdybym chciała - co jednak większe znaczenie miałyby w przypadku

Alexa, gdyby to on cierpiał na tę chorobę, gdyż w owym czasie rozważał wstąpienie do sił powietrznych.

Gdy otrzymałam wyniki badań, głowa pękała mi od nadmiaru myśli i nie od razu zareagowałam na te wieści.

Zdawało się, że genetyka zaniepokoiło to, iż nie płakałam, i że wolałby, żebym od razu się załamała. Dlaczego wszyscy zawsze oczekiwali, żebym raz po raz wybuchła płaczem? Jeśli o mnie chodziło, to uznałam tę chorobę za kolejną rzecz, z którą będę musiała się pogodzić, bo tylko to mogę zrobić. Gdy poznałam wyniki, Sandy zabrała mnie na przejażdżkę za miasto. Wiedziała, że nie

chciałabym, by Alex zobaczył moje przygnębienie, a jednocześnie była to sposobność do rozmowy w cztery oczy, gdybym czuła taką potrzebę. Tak naprawdę gotowa byłam rozmawiać jedynie o tym, jak owa choroba może wpłynąć na szanse ubiegania się o ciekawą pracę, a moim największym zmartwieniem było to, jak Alex poradziłby sobie w razie mojej śmierci. Pozostałby wtedy bez najbliższej rodziny. I gdy tak rozmyślałam o wszystkich potencjalnych problemach, po mojej twarzy spłynęła pojedyncza łza.

Gdy wróciliśmy do domu dziecka, poinformowałam Alexa o wynikach badań, lecz i on na to nie zareagował.

Członkowie personelu myśleli nawet, że może nic mu nie powiedziałam, że trzymam to przed nim w tajemnicy, by oszczędzić mu zmartwień. W rzeczywistości jednak żadne z nas nadmiernie się tym nie martwiło. Pracownicy ośrodka zaczęli gromadzić dla mnie rozmaite informacje o chorobie, ale ja w gruncie rzeczy nie chciałam wiedzieć za dużo.

Postanowiłam, że zacznę się martwić później, gdy pojawią się pierwsze symptomy. Przygotowywanie się na wszystko już teraz nie miało według mnie zbyt wiele sensu, skoro choroba mogła się nie ujawnić przez kolejne dwadzieścia lub trzydzieści lat.

- Każdy z nas może wpaść jutro pod autobus - zauwa-

żyłam. - Ale nie myślcie o tym na co dzień, prawda? Tymczasem właśnie to mi doradzacie. Mogę zmarnować całe życie, myśląc o tym, jak umrę, a mogę też po prostu żyć każdym dniem, maksymalnie go wykorzystując. Wielu ludzi jest w o wiele gorszej sytuacji: niepełnosprawnych albo cierpiących na chorobę, która wciąż postępuje. Ja tymczasem nadal mogę całkiem normalnie żyć.

Takie podejście do problemu wydało mi się zupełnie oczywiste.

Po diagnozie złożyłam wizytę w jednym z londyńskich szpitali, gdyż lekarze chcieli mnie dokładnie przebadać. Nie mieli styczności z wieloma podobnymi przypadkami osób, które w tak

młodym wieku wiedziały już, że mają chorobę Huntingtona. Oświadczyli mi, że nawet gdyby wynaleziono na nią lek, i tak nie wiedzieliby, kiedy należałoby go zaaplikować, gdyż nie potrafią przewidzieć, kiedy pojawią się jej pierwsze symptomy ani tego, co je wywoła. Któregoś dnia być może uda się wynaleźć lek na tę chorobę, orzekli lekarze, i być może nawet badania nad moim przypadkiem się do tego przyczynią, jednak muszę pogodzić się z myślą, że przyuszczalnie już nie zdążę z tego skorzystać.

Zasady dotyczące nawiązywania znajomości z różnymi pracownikami opieki nie zawsze działają na korzyść podopiecznych. Alex i ja musieliśmy opuścić Cheltenham wkrótce po tym, jak zdiagnozowano u mnie chorobę Huntingtona, po sześciomiesięcznym pobycie w ośrodku.

Przez pierwsze tygodnie zezwolono, by kontakt z nami zachowały Vanda, Sandy i Paul, jednak po upływie tego czasu owe kontakty musiały zostać zerwane. Sądzę, że przesłanką wprowadzenia takiej zasady była obawa o to, że w przeciwnym razie trudno byłoby pracownikom kolejnego domu dziecka nawiązać z nami relację i mieć u nas posłuch. Vanda wysyłała mi SMS-y

przez kilka następnych miesięcy, lecz w końcu szef kazał

jej przestać. Jestem pewna, że istnieją jakieś ważne powody wprowadzenia tak surowych zasad. Trzeba jednak pamiętać, że nawiązywanie relacji z innymi, gdy jest się w sytuacji, w jakiej znajduje się większość z nas, jest dostatecznie trudne nawet i bez nakazu zrywania owych kontaktów, ilekroć jest się przeniesionym w nowe miejsce. Nakaz taki sprawia, że zostaje się pozbawionym możliwości nawiązania zwykłej ludzkiej przyjaźni, która mogłaby przetrwać przez lata, jak to bywa z większością z nich.

Sandy mogła zachować ze mną kontakt, gdyż zwołniła się z pracy w Cheltenham, zaskoczyło mnie jednak, jak bardzo bolesne jest być nagle pozbawionym kontaktu z innymi, do których się zbliżyłam - zwłaszcza w okresie gdy przyzwyczajałam się do nowego domu dziecka i do zmiany środowiska. Czułam się trochę tak jak wówczas, gdy zginęła mama, kiedy to z dnia na dzień znikła bez śladu kawał twojego życia. Ilekroć tak się dzieje, utwierdzasz się w poczuciu, że nie możesz liczyć na to, iż ktoś lub coś będzie ci już zawsze towarzyszył.

Poczucia, że muszę być samowystarczalne, od tamtej pory już się nie wyżyłam. Zamiast prosić kogoś o cokolwiek, staram się robić wszystko sama - ze strachu, że w jakikolwiek sposób się od kogoś uzależnię. Moje doświadczenie wskazywało na to, że jeśli się na kimś polega, kończy się to rozczarowaniem.

Istnieje tyle błędnych wyobrażeń na temat podobnych nam dzieci, które trafiają do państwowych domów dziecka, że doprawdy nie wiadomo, od czego należałoby zacząć, gdyby się chciało je wszystkie zakwestionować.

Jeśli kiedykolwiek powiesz komuś, że jesteś wychowankiem

„zakładu opiekuńczo-wychowawczego”, niemal zawsze pada pytanie: „Co złego zrobiłeś?”. Od

razu zakłada się, że w takim ośrodku znalazłeś się za karę albo dlatego że z jakichś powodów twoi rodzice nie mogli dać sobie z tobą rady.

Zapewne w dawnych czasach ja i Alex powiedzielibyśmy, że trafiliśmy do „domu sierot”, a wówczas wszyscy wiedzieliby, że tak się stało, gdyż nie z własnej winy straciliśmy rodziców.

Teraz jednak nikt już nie używa tego określenia. Taka stygmatyzacja może poważnie wpływać na szansę uwzględnienia twego podania o pracę, na nawiązywanie relacji z innymi i na wiele innych spraw. To cię naznacza - ludzie sądzą, że wywodzisz się z określonego środowiska; że sprawiasz kłopoty, a w najlepszym razie jesteś nieudacznikiem.

Gdy kogoś poznaję, wówczas jeśli nie chcę wglębiać się w całą tę historię i opowiadać, jak to się stało, że znalazłam się w ośrodku wychowawczym - po prostu w ogóle o tym nie wspomynam. Czytałam gdzieś, że tylko niewielki procent dzieci przebywających w podobnych placówkach (zdaje się, że jest ich mniej niż trzy procent) trafia tam z własnej winy.

Tymczasem większość ludzi, gdyby mieli zgadywać, stwierdziłaby, że jest dokładnie na odwrót. Ogromna większość z nas znalazła się takich ośrodkach, ponieważ dorośli, którzy powinni się nami opiekować, nie są do tego zdolni. Podejrzewam, że nawet owe trzy procent zachowuje się źle z przyczyn związanych z tym, jak traktowali ich dorośli.

Nie twierdzą, że

wszystkie dzieciaki to aniołki; twierdzą tylko, że zawsze istnieją powody, dla których zachowują się tak a nie inaczej.

Póki byłam w szkole lub przebywałam w domach dziecka, wszyscy zawsze wiedzieli, że jestem tą dziewczyną, której ojciec zabił jej matkę. Zdecydowaliśmy się pozostać w szkole, w której fakt ten ogłoszony został na ogólnym apelu - choć zapewne i tak sprawa ta ciągnęłaby się za nami, nawet gdybyśmy zmieniali szkoły, ponieważ informowano by o niej nauczycieli i ponieważ inne dzieciaki wkrótce musiałyby odkryć, że jesteśmy objęci systemem opieki, i chciałyby poznać tego przyczynę. Pozostając w szkole, do której uczęszczaliśmy od początku, nie musieliśmy przy najmniej ciągle się tłumaczyć, ponieważ każdy i tak już z grubsza znał

naszą historię.

Innym minusem tego, że ludzie znają naszą przeszłość, jest to, że czasem niechętnie mówią o swoich własnych problemach, gdyż uważają, że wszystko, co powiedzą, zabrmi śmiesznie w porównaniu z tym, przez co my przeszliśmy.

Trudno stwierdzić, co jest gorsze - niemożność mówienia o swojej przeszłości czy bycie nieustannie ocenianym z powodu tego, co cię spotkało przed laty.

ALEX

Z ośrodka w Cheltenham zostaliśmy przeniesieni kilka dni po tym, jak poinformowano Isobel, że ma chorobę Huntingtona. Termin przeprowadzki wyznaczono nawet na następny dzień, jednak pracownicy ośrodka uznali, że zważywszy na to, czego się właśnie dowiedziała moja siostra, może warto byłoby jej udzielić nieco więcej wsparcia. Okazało się wprawdzie, że Isobel nie potrzebuje szczególnej pomocy, ale nawet gdyby informacja o chorobie wywołała w niej traumę, nie wydaje mi się, by owe kilka dni zwłoki czyniły jakąś różnicę.

Co się tyczy przeprowadzki, najgorsze było to, że straciliśmy kontakt z członkami personelu, z którymi tak dobrze się dogadywaliśmy - był tam facet o imieniu Paul, z którym się bardzo żyłem - i kilkoma naszymi rówieśnikami, z którymi się zaprzyjaźniliśmy. W ciągu owych sześciu miesięcy spędzonych w Cheltenham zawarłem wiele nowych znajomości, gdyż tamtejsza młodzież nie ma zbyt wielu rozrywek, więc gromadzi się po prostu w centrum miasteczka, spędzając czas na rozmowie. Miejscowi zachowywali dystans wobec osób, o których wiedzieli, że są wychowankami ośrodka, a jeśli jakiś policjant przyłapał nas na szwendaniu się, zawsze nas zatrzymywał, pytając, dokąd idziemy i co zamierzamy, jakbyśmy koniecznie musieli kraść albo sprzedawać narkotyki ty lko dlatego, że mieszkamy w zakładzie opiekuńczo-wychowawczym.

Zdawało się, że każde kolejne miejsce, w którym nas umieszczano, było coraz bardziej oddalone od szkoły. Ostatnie miejsce naszego pobytu stanowiło niezależny oddział przy innym domu opieki, co wydało nam się zmianą na lepsze, chcąc jednak dotrzeć do naszej szkoły, potrzebowaliśmy teraz aż półtorej godziny jazdy samochodem. Dojazd do szkoły autobusem był niemożliwy. Byliśmy teraz zupełnie odcięci od towarzystwa naszych szkolnych kolegów, gdyż było zupełnie nierealne spotkanie się z nimi wieczorami. W niezależnym oddziale opiekuńczo-wychowawczym gotujesz dla siebie i sprzątasz po sobie, więc Isobel mogła się mną opiekować sama, wciąż jednak mogła poprosić o pomoc personel z sąsiedniego domu dziecka, gdyby takowej pomocy potrzebowała. Tak czy inaczej, przez większość czasu to Isobel była najbardziej kompetentną, jeśli chodzi o nasze sprawy, osobą na terenie ośrodka - zajmowała się wszak nimi od ponad dwóch lat.

Miałem wtedy piętnaście lat, a Isobel właśnie skończyła osiemnaście. Nigdy nie narzekła, że musi się mną opiekować - co nie oznacza, żebym wymagał specjalnej troski, zwłaszcza w porównaniu z niektórymi innymi dziećmi, które poznaliśmy, przebywając w ośrodkach opieki. Isobel nalegała jedynie, bym zawsze skrupulatnie odrabiał zadania domowe, omawiała też ze mną problematykę wszystkich przedmiotów. Pracownicy ośrodka wyrażali czasem obawę, czy robiąc dla mnie tak wiele, nie utrudnia mi osiągnięcia samodzielności. Żadne z nas tak nie uważało.

Gdyby mama nadal żyła, robiłaby dla mnie jeszcze więcej, podobnie jak większość matek piętnastoletnich chłopców.

Bez względu na to, co twierdzili inni, zawsze domagaliśmy się jednogłośnie, by nas nie rozdzielano. Gdybyśmy w owym okresie nie mieli siebie nawzajem, nie mielibyśmy już nic. Choć uważano, że Isobel nie powinna w takim stopniu ingerować w moje życie, to jednak ilekroć pojawiała się jakieś wyzwanie, często proszono ją, by zrobiła dla mnie to a to. Na przykład po naszej przeprowadzce do innego domu dziecka to właśnie do niej zadzwoniono, prosząc, by mnie poinformowała, że pracownik opieki, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem, zmarł na niewydolność wątroby.

Przypuszczano, że ta wiadomość może mną wstrząsnąć, i nikt z opieki nie miał odwagi, by mi to zakomunikować.

We wszystkich domach opieki, do których trafialiśmy, zawsze było tak, że odbywaliśmy nasze okresowe spotkania z opiekunami wspólnie z Isobel, aż w końcu pracownicy opieki społecznej i osoba prowadząca nasz ośrodek zdecydowali, że będzie lepiej nas rozdzielać, ponieważ nigdy nie mam szansy wypowiedzenia się. Jednak była to opaczna interpretacja naszej sytuacji. Nie miałem nadmiernego szacunku dla osób zjawiających się na owych spotkaniach ani dla tego, co mieli do powiedzenia. Uważałem, że dorzucanie własnych trzech groszy do rozmowy byłoby marnowaniem mojej energii. Zresztą zawsze wolałem myśleć, niż mówić; czasem nadmiernie analizuję sytuację - aż do przesady. Zawsze taki byłem; jeśli nie miałem nic do powiedzenia, po prostu milczałem, czekając, aż wszyscy się wypowiedzą. Jednak to, że jestem dosyć cichy, nie oznacza, że mało rozmyślam.

Czasem mój mózg pracuje na takich obrotach, że mam problemy z zaśnięciem. Zawsze myśli kłębią się w mej głowie, snują teorie na temat wszystkich i wszystkiego, badam nowe możliwości. Jako dziecko nie rozumiałem bardzo wielu rzeczy, a w miarę dorastania nierzadko byłem zupełnie zagubiony, odnosząc swoje nowe ustalenia do wspomnień, które niegdyś wprawiały mnie w zakłopotanie. Usiłowałem zwłaszcza wymyślić logiczne wyjaśnienie całej sekwencji wydarzeń, które miały miejsce w dniu śmierci mamy. Od czasu do czasu dzieliłem się wymyślonymi teoriami z Isobel, aż w końcu siostra kazała mi się zamknąć.

- Przez ciebie boli mnie głowa - narzekała.

Kiedy nam powiedziano, że na kolejne spotkanie z pracownikami opieki społecznej mam pójść sam, Isobel wpadła w gniew. Wiedziała, że nie jestem tak obeznany z przysługującymi nam prawami i że łatwo może dojść do sytuacji, w której zgodzę się na coś, co nie leży w moim interesie, tylko dlatego że nie mam ochoty na sprzeczkę.

Przed owym spotkaniem musiałem wypełnić kwestionariusz, w którym między innymi widniało pytanie, czy chciałbym, by ktoś mi tego dnia towarzyszył. Musieli zapomnieć o tym standardowym pytaniu lub sądzili, że go nie zauważę.

Napisałem więc tylko imię Isobel. Na ich twarzach odmalowała się frustracja, gdy na początku spotkania Isobel weszła do pokoju razem ze mną. Gdy zapytali o powód, wydobyla kopię formularza. Czasem musieliśmy ich naprawdę irytować.

Isobel miała za kilka miesięcy skończyć szkołę i bardzo poważnie rozmyślała nad tym, co będzie robiła potem. Po wstępnym rozpoznaniu sytuacji porzuciła pomysł pójścia na studia, ponieważ kierunek, który ją interesował - medycyna sądowa - wykładano tylko na uniwersytetach znacznie oddalonych od Cheltenham. Ja miałem zostać w ośrodku jeszcze przez kilka lat, przygotowując się do matury, i myśl o tym, że mielibyśmy zostać rozdzielonymi, nie podobała się ani Isobel, ani mnie. Oboje jednak wiedzieliśmy, że nawet jeśli Isobel nie pójdzie na studia, i tak będzie musiała opuścić ośrodek, szybko znaleźć pracę i zacząć się utrzymywać, zamieszkać w schronisku, mieszkaniu socjalnym lub też opłacać czynsz za wynajem. Tak właśnie działo się w przypadku większości innych dzieciaków, z którymi rozmawialiśmy w ośrodku. Zdawało się, że wszystkie dziewczyny uważały, że zajście w ciążę i otrzymanie mieszkania socjalnego stanowi dla nich najlepsze wyjście, a nikt spośród członków personelu nie próbował ich wyprowadzić z błędu ani zasugerować

jakichś innych rozwiązań. Kiedy Isobel oświadczyła, że chciałaby pójść na studia, pracownicy powiedzieli jej, że traci czas, gdyż na pewno obleje; że nie może jej się to udać i że nie jest na to gotowa. Zdaje się, że nikt nie uważał, że warto zachęcać dzieci takie jak my, by miały jakieś życiowe aspiracje. Nikt na przykład nie pomyślał, że należy nas chwalić lub nagradzać za to, że chodzimy codziennie do szkoły, w nadziei, że to zachęci inne dzieci, by brały z nas przykład.

Rozumiem, że dla pracowników domu dziecka stanowiło to problem, gdy z ich siła oddziaływania na podopiecznych była ograniczona. Kiedy dzieciom mieszkającym w ośrodku nie chciało się zwlec rano z łóżek, pracownicy z rzadka zawozili je do szkoły wbrew ich woli, co zapewne próbowaliby zrobić rodzice. Ilekroć poruszaliśmy ten temat w rozmowie z pracownikami ośrodka, natrafialiśmy na sprzeciw.

- Łatwo wam mówić - stwierdzali. - Etykę pracy macie we krwi z racji tego, jak wychowała was matka. Większość tutejszych dzieci pochodzi z rodzin żyjących z zasiłku i nigdy nie zamyślały niczego innego. To jest wszystko, do czego aspirują.

Nie sądzę, by owi pracownicy mieli pojęcie, jak bardzo musieliśmy walczyć, by się nie poddać, gdy było nam trudno.

Isobel i ja sądziliśmy, że pełniący funkcję rodziców zastępczych opiekunowie z domów dziecka powinni w ramach swoich obowiązków robić to samo, co robiła dla nas mama, choć to Isobel częściej ode mnie wyrażała na głos tę opinię.

Gdyby moja siostra zdecydowała się pójść na studia, zamiast wkraczać od razu w dorosłe życie, opieka społeczna nadal łożyłaby na jej utrzymanie, ponadto Isobel otrzymywałaby niewielką kwotę z renty po mamie tak długo, jak długo uczyłaby się w pełnym wymiarze godzin. Po skończeniu studiów miałyby również lepszą pozycję na rynku pracy i mogłyby podjąć pracę zgodną z zainteresowaniami. Jeśli nie zdecydowałyby się na podjęcie studiów, musiałyby natychmiast zacząć się utrzymywać i mogłyby mieszkać blisko domu, w którym przebywałem, lecz straciłaby pieniądze, jakie przysługiwały jej z tytułu renty. Sądzę, że Isobel w głębi serca zawsze wiedziała, iż powinna iść na uniwersytet i zmierzać do osiągnięcia celów, które z takim

trudem wyznaczyła jej mama.

Plan ten był jednak pełen niewiadomych, zwłaszcza w porównaniu z pomysłem pozostania w okolicy, z którą już się żyła, i ze znalezieniem pracy.

Moja siostra długo się tym zadreślała, gdy jednak w końcu musiała zapaść decyzja, jasne było, że najrozsądniej będzie kształcić się tak długo, jak tylko będzie to możliwe - i że tak właśnie nakazuje rozsądek. Choć zawsze w znacznym stopniu polegałem na Isobel, to jednak nauczyłem się również samowystarczalności, byłem też pewien, że dam sobie radę dzięki podwalinom położonym przez mamę i Isobel, jak również dzięki wsparciu pracowników sąsiedniego domu dziecka, do którego przynależała nasza placówka. Zdobywając się na odwagę, Isobel wypełniła stosowne kwestionariusze, które wysłała do sześciu różnych uniwersytetów, nie mając pojęcia, czy

w któryś znajdzie się dla niej miejsce, czy też - jak przewidywali pracownicy domu dziecka - spotka się z nie-uchronnym odrzuceniem.

W ciągu kolejnych kilku tygodni pocztą zwrotną otrzymała propozycje studiowania na wszystkich sześciu uniwersytetach, ku wielkiemu zdumieniu swoich opiekunów.

Przepełniała mnie duma, a równocześnie czułem smutek, że mama nigdy się nie dowie, jak bardzo opłaciła się jej ciężka praca. Zdaje się, że nikt z pracowników opieki nie oczekiwał, że ich wychowankowie pójdą na studia wyższe. Żaden z pracowników, z którymi mieliśmy do czynienia, nie ukończył

takich studiów, a żaden spośród naszych rówieśników, również podopiecznych zakładu, nie uważał, by warto było podjąć próbę udowodnienia innym, że jest się coś warty.

Wiedzieliśmy, jak ciężko jest wywalczyć choćby to, by traktowano cię poważnie, starając się uzyskać zastępczy komputer, kiedy nasz skradziono podczas przeprowadzki do Cheltenham.

Choć przebywaliśmy w niezależnym ośrodku, reporter z ekipy telewizyjnej związanej z serią dokumentalną *Dispatches* zdołał przeniknąć do naszej placówki, podszywając się pod pracownika opieki. Przygotowywał program poświęcony prowadzeniu na owym obszarze domów dziecka. Program ten nie koncentrował się wyłącznie na naszej placówce, gdyż ukrytą kamerą sfilmowano również i inne. Reporter zaprzyjaźnił się z nami oraz z innymi dziećmi, by skłonić wszystkich nas do szczerych wypowiedzi, jednak nie pokazano w programie materiału z udziałem Isobel i moim.

Przypuszczam,

że nie pasowaliśmy do schematu zachowań, które chciano przedstawić. Zamierzano pokazać dzieci przejawiające buntownicze zachowania ilustrujące tezę o rozczarowaniu systemem, tymczasem Isobel i ja po prostu radziliśmy sobie najlepiej, jak umieliśmy, w danych

okolicznościach, co nie wydało się ekipie telewizyjnej niczym interesującym. Byliśmy świadkami wielu rozmów, które później znalazły się w programie, i wiedzieliśmy, że w trakcie obróbki materiału częstokroć wypaczano sens tego, co było mówione, by uzyskać bardziej dramatyczny efekt, kładąc nacisk na to, na czym zależało reżyserowi.

Podejrzewam, że część wyemitowanego materiału filmowego mogła poważnie zaszkodzić dzieciom, które w nim wystąpiły. Pokazano na przykład jakieś dziecko wygrażające pięścią innemu z powodu ukradzonego peta, co pracownik naszego domu opieki komentuje słowami: „Jeśli teraz on ci odda, będzie to twoja wina”. Pokazano „również kilku pracowników w pokoju personelu, nazywających jedno z dzieci „śmieciem”. To prawda, że nie wszyscy członkowie personelu placówek opiekuńczo-wychowawczych byli święci, jednak na filmie również niektórzy spośród rzetelnych pracowników zostali ukazani w negatywnym świetle, wskutek czego stracili pracę. Zwolnieni pracownicy mieli zostać zastąpieni ludźmi zatrudnionymi za pośrednictwem agencji, którzy bardzo szybko się zmieniali, a żaden z nich nigdy nie nawiązał z żadnym z podopiecznych trwałej relacji. Wielu spośród owych pracowników było cudzoziemcami niewiedzącymi nic na temat systemu edukacyjnego w Anglii i jeszcze mniej

przygotowanymi do tego, by udzielać nam rad w jakiegokolwiek kwestii, niż ci zwolnieni. Na domiar złego, niektóre dzieci słyszały dzięki ukrytej kamerze, jak pracownicy rozmawiali ze sobą na ich temat. Takie rozmowy powinny mieć charakter poufny i upublicznianie ich jeszcze bardziej podkopywało w wszystkich zaufanie do personelu. Wszyscy wiedzieliśmy, że rozmawiają o nas we własnym gronie, ale przekonanie się o tym za pośrednictwem telewizji musiało być bardzo irytujące dla dzieci, których te rozmowy dotyczyły.

Isobel zaczęła chodzić na kurs nauki jazdy samochodem, kiedy mieszkaliśmy u Cathy i Petea. Płaciła instruktorowi dwadzieścia funtów ze swego tygodniowego kieszonkowego.

Zdawała egzamin, gdy byliśmy w Cheltenham, lecz za pierwszym razem go oblała z powodu niewłaściwego parkowania tyłem. Nie miała pieniędzy, żeby zapłacić za dodatkowe lekcje, więc mogła tylko zapisać się na kolejny egzamin i liczyć, że jej się uda. Tym razem zdała. Gdy tylko skończyła osiemnaście lat i otrzymała pieniądze, które zapisała

jej dziadek, postanowiła kupić samochód.

Gdy w nowej placówce powiedziała, że zamierza mieć auto, wyśmiano ją i powiedziano, że najpierw musi uzyskać prawo jazdy. Nie mogli uwierzyć własnym oczom, kiedy im je pokazała. Wtedy pracownicy opieki dowiedzieli się, że zdobyła je już wcześniej. Była przypuszczalnie pierwszym posiadającym własny samochód dzieckiem z placówki opiekuńczo-wychowawczej, z jakim kiedykolwiek się zetknęli.

Gdy w końcu mogliśmy jeździć

samochodem, nie musząc wciąż prosić innych, by ze-chcieli nas podwieźć tu czy tam, i gdy nie byliśmy już skazani na taksówki ani autobus, ogarnęło nas cudowne uczucie wolności.

W październiku 2004 roku nadszedł czas, by Isobel opuściła placówkę i poszła na uniwersytet. Dla nas obojga było to strasznie trudne, ale skoro miała teraz samochód, mogła przynajmniej przyjeżdżać, by czasem spotkać się ze mną w weekend. Isobel musiała się borykać z trudnościami finansowymi, nie mając rodziców, którzy mogliby jej pomóc, ale jakoś nadal była w stanie przywozić mi książki mające mi pomóc w przygotowaniu się do matury. Miała kredyt studencki, ale musiała z niego pokryć wszelkie koszty akomodacji, wskutek czego z renty po mamie bardzo niewiele zostało jej na życie. Musiała też zajmować się wszystkimi sprawami praktycznymi, takimi jak zakup przyborów toaletowych, środków czyszczących czy znalezienie mieszkania. Większość studentów mogła liczyć na to, że ich rodzice pomogą im przynajmniej w niektórych spośród tych spraw, podczas gdy Isobel o wszystko musiała zadbać sama, sama też musiała wszystko zrobić i jeszcze dopilnować, bym miał wszystko, czego potrzebowałem w ośrodku. Starałem się nie prosić o zbyt wiele rzeczy i nie wywierać na niej dodatkowej presji, ale Isobel, podobnie jak wcześniej mama, była zdeterminowana, by żadne z nas nie zmarnowało w życiu ani jednej szansy, co kosztowało ją mnóstwo wysiłku. Brak pieniędzy stanowił źródło naszych nieustannych zmartwień.

Dopóki byłem w domu dziecka, miałem otrzymywać dwadzieścia

funtów tygodniowo na zakup jedzenia (co oznaczało, że jadłem głównie makaron i pomidory). Pracownicy opieki dawali mi kolejne dziesięć funtów kieszonkowego na własne potrzeby, lecz pod koniec tygodnia nie zostawało mi już nic.

W ciągu pięciu lat, które upłynęły od śmierci mamy, Isobel i mnie przydzielono trzynastu pracowników opieki.

Wielu z nich było miły mi ludźmi, którzy starali się, jak mogli, ale po prostu nie wystarczyło im na wszystko czasu. Z ostatnią z przydzielonych mi pracownic socjalnych spotkałem się raz, ale od ponad roku, jaki minął od tamtego czasu do chwili, gdy piszę te słowa, już jej nie widuję. Jestem pewien, że nigdy nie miałbym wyższego wykształcenia, gdyby Isobel przy każdej okazji nie motywowała mnie do wyteżonej pracy. Żaden pracownik opieki nigdy mnie zapytał, jak mi się wiedzie w szkole, ani o to, co chciałbym robić po jej ukończeniu.

Ostatecznie, jak sądzę, poradziłem sobie całkiem dobrze, ale tylko dlatego że zawsze mogłem zwrócić się do Isobel. 11

stycznia zastąpiła mi mamę i od tamtej pory nie przestała się mną opiekować. Moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie ona.

ROZDZIAŁ 22

ISOBEL

Idąc na studia, po raz pierwszy w życiu rozstawałam się z Alexem na kilka lat. Przyjęłam ofertę uniwersytetu w Stafford.

Samotna podróż samochodem do Stafford, gdy już samodzielnie poczytałam wszystkie przygotowania, była doświadczeniem przytłaczającym. Gdy widziałam, jak rodzice podwożą wszystkich innych studentów, objuczonych garnkami, rondlami i wszelakim dobytkiem, bardzo doskwierała mi samotność. W domu dziecka kupiono mi jeden rondel, jeden talerz, koldrę i poduszkę. Ponieważ o życiu studenckim nie wiedziałam nic, nigdy nie przyszło mi do głowy, że również i ja będę potrzebowała tego wszystkiego, co inni studenci wyładowywali właśnie z samochodów swoich rodziców.

W ciągu następnych tygodni, ilekroć słyszałam, jak jakiś student rozmawia przez telefon z rodzicami, albo widziałam, jak rozpakowuje przyslaną z domu paczkę z jedzeniem, uznysławiałam sobie, jak bardzo jestem samotna.

Potrzebowałam kogoś starszego i bardziej doświadczonego, komu mogłabym zaufać i kto upewniłby mnie co do tego, że takie poczucie samotności nie jest niczym złym, jednak nie było wokół mnie nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, ponieważ ludzie, z którymi zaprzyjaźniłam się w domu dziecka, mieli zakaz kontaktu ze mną. Jediną osobą, do której mogłam się zwrócić, był mój braciszek, który nie miał pojęcia o życiu studenckim i miał dość własnych problemów. Nagle wydało mi się, że jest bardzo daleko, i zaczęłam bardzo za nim tęsknić.

Cztery tygodnie po rozpoczęciu semestru wpadłam w panikę na myśl o tym, że już zawsze będę się czuła samotna i nieszczęśliwa, więc pojechałam się z nim zobaczyć. Gdy dotarłam na miejsce, uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd i że muszę skończyć zaczęte studia, żebyśmy - Alex i ja - mogli być znowu razem. Gdy personel domu dziecka i pracownicy społeczni dowiedzieli się o moim powrocie, na ich twarzach pojawiły się znaczące uśmiešky.

- A nie mówiliśmy, że ci się nie uda? - napawali się moją kłeską, a ja nic na to nie mogłam odpowiedzieć.

Nikt z personelu nie zasugerował, że może powinnam wrócić i spróbować jeszcze raz - Alex jako jedyny mnie zachęcał: „Nie poddawaj się! Poradzisz sobie!” Koniec końców, powinnam być im wdzięczna, bo to właśnie ich krytyczne komentarze zmotywowały mnie do podjęcia ostatecznej decyzji, z czystej potrzeby udowodnienia im, że się mylą. Po dwóch tygodniach włączenia się do domu dziecka, słuchania podobnych opinii i rozmyślenia nad konsekwencjami swoich postępów postanowiłam, że zacznę jeszcze raz, i wsiałam do samochodu. Po dłuższym namyśle uzmysłowiłam sobie, że niepodjęcie studiów jest znacznie gorszym wyjściem i że decydując się na to, przypuszczalnie czułabym się równie wyizolowana w jakimś mieszkaniu komunalnym czy schronisku dla młodzieży. Na uniwersytecie miałam przynajmniej szansę nawiązać jakieś nowe

przyjaźnie i używać kwalifikacje zawodowe. Z chwilą gdy dziecko, dorósłszy, przestaje podlegać opiece, musi iść w świat i zatroszczyć się o siebie, najlepiej jak potrafi. Zazwyczaj wszystkim, co może osiągnąć, jest zdobycie pracy i dachu nad głową. Uniwersytet był przypuszczalnie moją jedyną szansą zyskania czegoś więcej.

Carol, pracownica opieki, którą szanowałam, powiedziała mi kiedyś:

- Czasem w sytuacji takiej jak twoja ludzie mają do wyboru: zwyciężaj albo giń. Ty, rzecz jasna, postanowiłaś zwyciężyć.

Słowa te bez końca sobie powtarzałam w drodze z domu dziecka, postanawiając dobrze się bawić, a przy okazji i jak najlepiej wykorzystać wszystkie nadarzające się okazje.

Jeszcze teraz, ilekroć mam poczucie, że się z czymś zmagam, powtarzam sobie: „Zwyciężaj albo giń, zwyciężaj albo giń”. To zabawne, że takie proste frazy potrafią czasami wyrazić całą mądrość świata. Wiem, że w chwilach słabości takich jak te, których doświadczyłam w pierwszych tygodniach z dala od Alexa, wielu ludzi stwierdza, że walka ich przerasta, i się poddaje. Może

gdybym nie czuła się odpowiedzialna również i za niego, nie byłabym w stanie walczyć na tyle długo, by przetrwać ciężkie czasy.

Ludzie często pytają mnie, czy wybrałam medycynę sądową z powodu tego, co przydarzyło się mamie. Nie sądzę, by to było przyczyną. Zawsze skłaniałam się ku naukom przyrodniczym, co przypuszczalnie było skutkiem wpływu mamy, wiedziałam jednak, że byłam nie dość dobra z biologii, chemii i fizyki, by robić specjalizację z którejś z nich. Zawsze interesowałam się gromadzeniem danych na miejscu zbrodni, umożliwiających skazywanie przestępców, niezależnie od tego, co owego fatalnego dnia zdarzyło się w naszym domu, więc kiedy się dowiedziałam, że mogę się zapisać na studia z tym związane, wydało mi się to użytecznym i interesującym przedmiotem dalszej nauki.

Jedną z najprzyjemniejszych rzeczy wiążących się ze studiowaniem w innym mieście było to, że mogłam wybrać, z kim chciałam rozmawiać o własnej przeszłości. Na uniwersytecie możesz niejako stworzyć siebie na nowo, wybierając te fragmenty swojej biografii, które chcesz udostępnić innym. Nikt nie wie, skąd pochodzisz i jakich masz rodziców. Było to bardzo wyzwalające uczucie. Gdy nawiązałam tam bliższe znajomości, wspominałam czasem o swojej przeszłości, wyłącznie wtedy gdy kwestia ta pojawiała się w rozmowach, ale czyniłam to dopiero wówczas, kiedy moi nowi znajomi już wcześniej zdążyli wyrobić sobie opinię na mój temat i nie osądzali mnie na tej podstawie, że tata zamordował mamę.

Gdy trażałam na uniwersytet, moim największym problemem była niemożność skoncentrowania się na pracy. Stały temat żartów moich kolegów stanowiło to, że w pięć minut po rozpoczęciu wykładu pogrążam się we własnym świecie, rozmyślając o wszystkim tym, co muszę zrobić, by uporządkować życie swoje i Alexa, snując plany, zapisując sobie, do których prawników mam

zadzwoić, albo pisząc listy. Przypuszczam, że na takich zajęciach upływało również życie mamy; że zawsze była zajęta obmyśleniem, jak nas podwieźć w takie czy inne miejsce, jednocześnie wykonując swą pracę, najlepiej jak potrafiła.

Na szczęście mój brak koncentracji na wykładach nie miał

większego znaczenia, ponieważ zawsze potrafiłam sama się uczyć. Tak samo było w przypadku małej matury, a potem matury, kiedy to uczyłam się z książek w domu, gdy opuściłam jakąś lekcję z powodu rozprawy sądowej albo przesłuchań na policji. Kiedyś zdarzyło się, że w naszym programie szkolnym było zagadnienie, którego większość klasy nie zaliczyła, ponieważ nauczyciel zapomniał je omówić, ja jednak, ponieważ opanowałam je samodzielnie, nie wiedząc, że nie przerobiono go na lekcjach, jako jedna z nielicznych zdałam końcowe testy. Tak samo działo się na uniwersytecie. Odkryłam, że tak naprawdę nie muszę się koncentrować na wykładach, ponieważ i tak cały materiał można znaleźć w książkach albo skryptach. Na ćwiczeniach czy wykładach inni częstokroć odnosili wrażenie, że jestem raczej tępa, bo gdy zaskoczono mnie jakimś pytaniem, rzadko kiedy potrafiłam na nie odpowiedzieć. Bywało, że musiała upłynąć chwila, nim się zorientowałam, że to mnie o coś pytają, i zbierałam bury za myślenie o niebieskich migdałach i bujanie w obłokach. Ale na jakiś miesiąc przed egzaminami po prostu przysiadłam i uczyłam się wszystkiego, czego musiałam się nauczyć, wkuwając i powtarzając przez całą dobę i irytując się, gdy w sąsiedztwie rozlegały się choćby czyjeś kroki, które rozpraszały moją uwagę. Byłam bardzo zestresowana, obawiając się, że nie zdam i wszystkich zawiodę, więc całymi dniami z nikim nie rozmawiałam. Nie mogłam znieść myśli, że nie będę świetna w czymś, w co się zaangażowałam. Gdy w końcu nadchodził czas egzaminów, nagle ogarniał mnie spokój. Dzięki takiemu systemowi zawsze miałam w szkole wysokie oceny, i tak też było na studiach.

Każdy był zdumiony, łącznie ze mną, gdy jako jedyna z mojego rocznika ukończyłam uczelnię z wyróżnieniem.

Gdy jakiś wychowanek domu dziecka decyduje się pójść na studia, władze pomagają mu zdobyć fundusze, przyznają mu granty i udzielają kredytów, jednak nie uwzględniają faktu, że takie osoby nie mają gdzie się podziać w czasie wakacji. Pod koniec pierwszego semestru, gdy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, uświadomiłam sobie, że nie będzie mi wolno zostać w akademiku, a jednocześnie, ponieważ zakończyłam edukację szkolną, nie wolno mi było wrócić do domu dziecka.

Nie miałam jednak pieniędzy, by wynająć pokój. Śmiem twierdzić, że wiele osób w mojej sytuacji ma jakiegoś krew-nego czy kogoś innego, kto by ich przygarnął, my jednak, mając w pamięci dotychczasowe święta Bożego Narodzenia, wiedzieliśmy, że w naszym przypadku byłyby to płonne nadzieje.

Na szczęście dom, w którym mieszkał Alex, wystosował

aplikację o specjalne pozwolenie, więc mogłam wrócić i spędzić z bratem swoje pierwsze ferie.

Gdy zapytano nas, co zamierzamy robić w Boże Narodzenie, wyjaśniliśmy, że przypuszczalnie nie będziemy mieli świątecznego posiłku, ponieważ nie mamy pieniędzy, by kupić składniki. A zresztą i tak nie wydawało nam się sensowne przygotowywanie wielkiego posiłku tylko dla nas dwojga, zwłaszcza że jestem wegetarianką, a Alex nie. Ostatecznie pozwolono nam spędzić ten czas w domu dziecka i zjeść posiłek z pewnym wychowankiem, który nie wyjeżdżał na święta. Jasno dano mi do zrozumienia, że mogę tam pozostać tylko kilka dni i że taka sytuacja nie może się powtórzyć.

Gdy wróciłam do domu dziecka w czasie przerwy wiel-kanocnej, nadal nie miałam dachu nad głową, więc pracownicy opieki musieli znaleźć dla mnie jakąś kwatery, w przeciwnym razie znalazłabym się na bruku. Dlatego też umieszczono mnie w hotelu bed & breakfast. Wystawiono mnie przed drzwiami hotelu, gdzie oznajmiono mi, że mam zarezerwowane miejsce.

Gdy weszłam do środka, stwierdziłam, że nie jest tam zbyt zachęcająco, ale i tak byłam wdzięczna, że mam dach nad głową. Gdy minęła pierwsza noc, zdałam sobie sprawę, że mój tymczasowy dom jest czymś pośrednim między domem publicznym a noclegownią. Pod prysznicem było miejsce dla sześciu osób, a w czasie dnia wszyscy pensjonariusze musieli zniknąć z budynku. Nazajutrz, o siódmej rano menedżer hostelu wyrzucił nas wszystkich na ulicę.

Nie miałam zbyt dobrej nocy, musząc słuchać prostytutki pracujących w innych pokojach, i gdy zbudziłam się owego poranka, na który przypadły akurat moje dziewiętnaste urodziny, zdecydowałam, że nie zostanę tam ani chwili dłużej.

Zadzwoniłam do przydzielonej mi pracownicy opieki, gdy tylko otwarto biuro, lecz nieznaną mi osobą, która odebrała telefon, oznajmiła mi, że osoba ta jest na corocznym urlopie i że w tej chwili nikt nie może mi w żaden sposób pomóc. Alex nadal był w szkole, więc miałam przed sobą cały dzień, a nie miałam dokąd pójść. A nawet i po powrocie Alexa, jako osoba odwiedzająca, mogłam przebywać w domu dziecka jedynie pomiędzy dziesiątą rano i dziesiątą wieczorem. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko czekać w samochodzie i liczyć upływające godziny. Tak właśnie spędziłam tego roku swoje urodziny.

Mogłam owe ferie wykorzystać bardziej owocnie, zdo-bywając jakieś tymczasowe zatrudnienie, ale robiąc to, ryzykowałabym utratę całej renty i pieniędzy uzyskiwanych w ramach świadczeń socjalnych, z których się utrzymywałam w trakcie semestru. Poza tym ferie trwały tylko trzy tygodnie, co ograniczało zakres wchodzących w grę rodzajów pracy, jaką mogłabym wykonywać. Zachodziłam w głowę, do kogo mogłabym się zwrócić w tej sprawie, ale z chwilą podjęcia studiów straciłam kontakt niemal ze wszystkimi znajomymi ze szkoły, po części dlatego że

nie chciałam im się już więcej narzucać. W końcu wsadziłam swą dumę do kieszeni i zadzwoniłam do Helen, z którą prawie nie rozmawiałam od czasu, gdy razem z Alexem zostaliśmy umieszczeni w domu zastępczym, i poprosiłam ją o spotkanie w mieście. Ostatecznie się zgodziła, choć kiedy jej powiedziałam, że potrzebuję pomocy, z początku nie okazała entuzjazmu. Wreszcie zaczęłam ją tak usilnie prosić, że niezbyt chętnie wyraziła zgodę, bym

spała na rozkładanym łóżku w oficynie do czasu rozpoczęcia się nowego semestru. Dach nad głową i to, że nie musiałam spać w aucie, na tym etapie w zupełności mi wystarczyły.

Chociaż Helen pozwoliła mi zostać u siebie na czas ferii, wkrótce uświadomiłam sobie, że postąpiła tak tylko dlatego, że uznała, iż nie ma innego wyjścia. Miałam poczucie, że wszystkim przeszkadzam, i bardzo mi nie odpowiadało takie narzucanie się. Helen nie dała mi klucza od domu, więc którejś nocy, po powrocie od Alexa, stwierdziłam, że gdzieś wyszła, a ja nie mogę dostać się do domu. Nie chciałam stwarzać problemu, prosząc domowników, żeby wrócili owej nocy wcześniej, więc spędziłam noc w samochodzie. Pracownicy domu dziecka, w którym przebywał Alex, przeczuwali, jak się sprawy mają, więc zaproponowali mi łóżko w pokoju personelu, co było miłym gestem, ale odmówiłam. Uparłam się i nie chciałam przyznać, że potrzebuję ich pomocy. W końcu powiedziałam Helen, że wracam na uniwersytet nieco wcześniej - tak bardzo czułam się winna, że się jej narzucam - i kilka ostatnich nocy przespałam w samochodzie.

Choć dostałam tyle ofert z uniwersytetów, choć jedną z nich przyjąłem i dobrze sobie radziłam, pracownicy opieki nadal nie dowierzali, gdy Alex oświadczył im, że zamierza pójść w moje ślady. Próbowaliśmy się zorientować, jakie dofinansowanie mógłby uzyskać Alex, gdyby przyjął jedną z ofert uniwersytetów, jednak pracownicy opieki nawet nie chcieli o tym rozmawiać, mówiąc mi, że rozmowy o tym jest stratą czasu, bo i tak nie ma szans gdziekolwiek się dostać.

Kiedy z uniwersytetów zaczęły napływać oferty, musieli przyznać nam rację, stało się też oczywiste, że nie mają pojęcia, od czego zacząć, i że uczą się wszystkiego razem z nami, ponieważ zasady przyznawania kredytu studenckiego zmieniły się, więc uprawnienia Alexa były inne niż moje, gdy zaczęłam studia.

Wraz ze zbliżaniem się osiemnastych urodzin Alexa zbliżał się też termin przeprowadzenia bardzo ważnego badania. Serce podchodziło mi do gardła, gdy pomagałam Alexowi przygotować się do testu na chorobę Huntingtona.

Los nie będzie chyba aż tak okrutny, myślałam, by skazać nas oboje na tę samą wadę genetyczną. Gdyby się okazało, że oboje ją mamy, istniałaby wtedy szansa, że to ja umarłabym pierwsza, po prostu dlatego że jestem starsza, więc zaczęłam się martwić, kto w takiej sytuacji miałby się opiekować moim bratem po mojej śmierci. Mama musiała w ostatnich latach życia mieć podobne zmartwienia, dręcząc się myślami o tym, kto będzie jej doglądał, gdy zupełnie podpadnie na zdrowiu, oraz o tym, kto zajmie się nami, gdy jej zabraknie.

Nie miała pojęcia, że pozostało jej znacznie mniej czasu, niż sądziła.

Nie potrafię opisać nieodpartego poczucia ulgi, jakiego doświadczyłam, gdy otrzymaliśmy wyniki badań i gdy się okazało, że Alex nie cierpi na tę chorobę. Zdaje mi się, że płakałam wtedy bardziej niż wówczas, gdy dwa lata wcześniej moje badanie dało wynik pozytywny. Nie musiałam już się martwić, że Alex zachoruje, i mogliśmy teraz przedsięwziąć konkretne plany związane z jego przyszłością. Musiałam jedynie myśleć o swojej chorobie i o tym, jak poradzę

sobie z jej objawami, gdy się pojawią. Szczerze mówiąc, cieszę się, że padło na mnie, a nie na Alexa, skoro już jedno z nas musiało zapaść na tę straszną chorobę. Nie zniósłabym opiekowania się nim, mając poczucie, że sama jestem zdrowa. Byłoby to zbyt straszne.

Kolejnym przełomowym wydarzeniem mającym miejsce, gdy Alex ukończył osiemnasty rok życia, było to, że kupił

sobie samochód z pieniędzy pochodzących z funduszu powierniczego, który założył dziadek. Test na prawo jazdy zdał po ukończeniu siedemnastego roku życia. Niestety, nie zdążył się nim nacieszyć, bo niedługo potem miał stłuczkę. Nie była to jego wina, lecz samochód nadawał się do kasacji, a Alex nie mógł sobie od razu pozwolić na następny. W

towarzystwie ubezpieczeniowym powiedzieli mu, że jeśli wystąpi z roszczeniami, nie otrzyma ponownego ubezpieczenia aż do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia, więc nie bardzo wiedział, co ma zrobić.

Zanim kupił samochód, opieka społeczna pokrywała koszty związane z opłacaniem przewozów taksówką do szkoły i z powrotem; wynosiły one blisko tysiąc funtów miesięcznie, jednak po owej stłuczce nie chciano mu już refundować przejazdów, więc powstał problem, jak Alex ma dojeżdżać do szkoły. Czasami zdawało nam się, że los wziął się na nas, toteż bezustannie powtarzałam sobie w myślach: „Zwyciężaj albo giń!”.

Zamiast pomóc mu znaleźć jakąś formę tańszego dojazdu do szkoły, uznano, że Alex ulega buntowniczym nastrojom, nie chodząc codziennie do szkoły, z czego wyciągnięto wniosek, że nie traktuje poważnie swojej edukacji. Nikt nie zaoferował mu pomocy przy wypełnianiu podań o przyjęcie na uniwersytet, ale ponieważ już wcześniej przebyłam tę drogę, wiedziałam, co powinien zrobić, i poradziłam sobie z tym sami bez czyjejkolwiek pomocy.

Doświadczysz tyłu zawodów przez te wszystkie lata, wielokrotnie obiecywałam sobie, że nigdy nie będę polegać na opiece społecznej. Jednak tym razem postanowiłam wprowadzić swój zamiar w czyn. Wiedziałam, że jeśli będę liczyć na to, że opieka społeczna zajmie się sprawą Alexa, srodze się zawiodę. Postanowiłam, że sama wezmę wszystko w swoje ręce, tak jak wtedy gdy sama pisałam podania o przyjęcie na uczelnię.

Pracownicy opieki nie dowierzali, że Alex trafi na uniwersytet, póki faktycznie się tam nie znalazł, ale i tak musiał

opuścić dom dziecka zaraz po ostatnim z egzaminów dojrzałości, gdy tylko ukończył osiemnasty rok życia. Nawet wtedy gdy zaczął otrzymywać pisemne oferty z uniwersytetów, pracownicy opieki nadal nie dawali wiary, że zacznie studiować. W jego obecności mówili, że w to nie wierzą, gdyż ich zdaniem był „zbyt tępy”, by pójść na studia. W dzień jego osiemnastych urodzin pracownicy opieki po prostu chcieli zostawić go w hotelu, mimo że nadal był w trakcie zdawania egzaminów dojrzałości. Musiałam z nimi stoczyć prawdziwą batalię, żeby w końcu zgodzili się pozwolić mu zostać w domu dziecka przez kolejny tydzień, by mógł zdać wszystkie egzaminy, ale

to było wszystko, co udało się wypertraktować. Nawet gdybyśmy nadal byli objęci opieką społeczną, coś podobnego i tak mogłoby spotkać Alexa, ponieważ tak czy owak przestaliby wypłacać mu świadczenia z chwilą osiągnięcia pełnoletności, bez względu na to, czy nadal się uczy. Odniosłam wrażenie, że jest to jeszcze jedna przeszkoda, jaką na drodze swej dalszej edukacji napotykają dzieci z sierocińców. Czyż nie byłoby wam trudno dobrze zdać matury, gdybyście w połowie egzaminów musieli przenieść się do hostelu?

Tak mnie to rozwścieczyło, że napisałam do premiera Tony'ego Blaira, informując go o wszystkim. W odpowiedzi powiadomiono mnie jedynie, że premier przekazuje mój list do Ministerstwa Edukacji i Polityki Rodzinnej. Po jakimś czasie odpisano mi, że nic nie da się zrobić, ponieważ obecne prawo stanowi, że w okresie pomiędzy ukończeniem szkoły a rozpoczęciem studiów wyższych oficjalnie dana osoba nie podlega edukacji, nawet jeśli załatwiono już miejsce i wszystkie inne formalności. Był to

ponury przykład bezdusznej biurokracji niechcącej uznać oczywistości tego, co należało uczynić.

Oznaczało to, że Aleksowi nie przysługuje żadna akomodacja ani pomoc finansowa ze strony opieki społecznej w czasie wakacji w okresie między zakończeniem szkoły i rozpoczęciem studiów. Zgodnie z otrzymaną odpowiedzią, nie dało się nic zrobić, ponieważ formalnie Alex nie podlegał

edukacji aż do rozpoczęcia zajęć na uniwersytecie. Tak więc w czasie owych wakacji musiałam znaleźć jakieś lokum dla nas obojga. Właściciele mieszkań odnajmowanych studentom nie życzą sobie, by ci ostatni przebywali w mieszkaniach w czasie wakacji, a w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym z pewnością też nie chciano nas oglądać, skoro oboje skończyliśmy osiemnaście lat. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko drobne oszustwo, jeśli nie chcieliśmy spędzić lata w moim samochodzie. Udało mi się przemyścić Alexa do wynajętego pokoju bez wiedzy właściciela, gdyż w przeciwnym razie mój brat przez całe lato pozostałby bez dachu nad głową. A w żaden sposób nie mogliśmy sobie pozwolić na wynajem dwóch pokoi.

Na początku października 2006 zawiozłam Alexa do Manchesteru, żeby mógł zacząć studia, załatwiwszy mu mieszkanie i zakupiwszy wszystko to, o czym wiedziałam z własnego doświadczenia, że będzie potrzebne. Alex był

pełnoletni i nie podlegał opiece społecznej, więc system nie ponosił już za niego żadnej odpowiedzialności.

Gdy już znalazł się na uczelni, nikomu nie opowiadał o swojej przeszłości, ciesząc się, że może nawiązywać nowe znajomości i iść naprzód. Przystosował się do nowych warunków znacznie szybciej i łatwiej niż ja, być może dlatego że przed przeprowadzką kilka lat spędził, mieszkając sam w niezależnym ośrodku, a może dlatego że taką już miał

naturę.

Na pierwszym roku zaczął od informatyki, a na drugim przeniósł się na medycynę sądową, ucząc się, jak zdobywać dane i zachowywać spójność systemu. Praca z komputerami, telefonami i kamerami CCTV jest dziś istotnym elementem pracy policji, ponieważ technologia ta pozwala zmagazynować mnóstwo danych o charakterze poszlaki masę informacji.

Cennym nabytkiem jest ktoś, kto wie, jak szukać owej informacji i jak nadać jej postać, którą da się wykorzystać jako materiał dowodowy. Gdyby Sherlock Holmes pracował w dzisiejszych czasach, prawie na pewno miałby tego rodzaju umiejętności informatyczne jako część swego portfolio.

Gdyby policjanci robili nalot na dom, w którym ktoś

-wedle ich wiedzy - pobierał na przykład pliki z dziecięcą pornografią, potrzebowaliby kogoś z umiejętnościami Alexa, by dopilnował, żeby nie przeoczyli czegoś cennego albo nie wyłączyli ze śledztwa jakichś materiałów dowodowych z powodu uchybień proceduralnych. Policjanci musieliby też wiedzieć, jak dostać się do pamięci komputera, unikając jednocześnie zarzutu ingerowania w dane.

Alex był zawsze świetny, jeśli chodzi o komputery, które nie miały przed nim tajemnic, odkąd mama przyniosła nam jeden z nich do domu. Zdawało się, że nie czytając podręczników ani nie zadając żadnych pytań, instynktownie wiedział, jak je składać i naprawiać. Byłam dumna, widząc, jak samodzielnie zaczyna własne życie; wiedziałam, że mama również czułaby dumę. Tylko sporadycznie pozwalałam sobie na chwilę nostalgii, że nie ma jej z nami i że nie może tego widzieć.

ROZDZIAŁ 23

ALEX

Kiedy kupiłem swój pierwszy samochód, poczułem się świetnie, mogąc swobodnie się przemieszczać

i być niezależnym, nie musząc się na nikogo zdawać.

Pracownicy opieki zgodzili się dawać mi tyle pieniędzy, ile potrzebowałem na zakup paliwa niezbędnego, by codziennie dojeżdżać do szkoły i z powrotem, co stanowiło sumę znacznie mniejszą od tej, jaką pochłaniała jazda taksówką.

Ale właśnie wtedy doszło do wypadku, który wszystko bardzo skomplikował.

Jechałem samochodem z dwoma kolegami, gdy nagle ten, który siedział obok kierowcy, dostał ataku epileptycznego.

Zamierzałem zjechać na pobocze, gdy kolega siedzący z tyłu wpadł w panikę i gwałtownie pociągnął za hamulec ręczny, wskutek czego straciłem panowanie nad samochodem, który zjechał z jezdni i z impetem uderzył maską w słup latarni.

Nadawał się tylko do kasacji, choć żadnemu z nas nic się nie stało. Byłem ubezpieczony,

ale w towarzystwie ubezpieczeniowym ostrzeżono mnie, że jeśli wystąpię z roszczeniami, będę mógł uzyskać kolejne ubezpieczenie dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, bym przez kolejne trzy lata nie miał auta, więc musieliśmy pogodzić się z tym, że cały spadek po dziadku zniknął w ciągu tych kilku sekund, kiedy samochód wpadł w poślizg i uderzył w słup.

Byłem kompletnie załamany, a na domiar złego w opiece społecznej nie chciano ponownie opłacać mi przejazdów taksówką do szkoły. Oświadczono, że mam jeździć autobusem.

Jazda autobusem zajmowała ponad dwie i pół godziny w każdą stronę, ponadto pierwszy poranny autobus jechał zbyt późno, bym mógł dotrzeć na czas do szkoły, więc coraz trudniej mi było dojechać na zajęcia. Zasugerowano, żebym przeniósł się do jakiejś innej szkoły, znajdującej się bliżej domu dziecka, ja jednak właśnie miałem przystępować do egzaminów maturalnych, więc pomyślałem, że nawet pomimo problemów z dojazdem lepiej będzie, jeśli w tak ważnym dla mnie okresie nie będę zmieniał szkoły. Sądzę, że pracownicy opieki liczyli na to, że zupełnie zrezygnuję z nauki i rozpocznę praktykę zawodową, jednak wszystkie pouczenia mamy o doniosłości edukacji zbyt głęboko zapadły mi w podświadomość, bym na tak zaawansowanym etapie skłonny był się poddać. Nie muszę dodawać, że Isobel nie pozwoliłaby mi na to.

Jak zwykle stoczyła w moim imieniu całą batalię, żądając, by przez kilka kolejnych miesięcy

opłacano mi taksówkę, żebym mógł przystąpić do egzaminów, ale nawet w obliczu jej furii ci z opieki pozostali niewzruszeni. Gotowi byli płacić za paliwo do mojego samochodu, i nic ponadto.

- Ale on już nie ma samochodu! - protestowała Isobel, dzwoniąc do nich z uniwersytetu. - Po cóż mu więc wasz przydział na paliwo?!

- To już wasz problem - usłyszała w odpowiedzi. - Jedyne, co możemy zrobić, to zapewnić przydział na paliwo.

Na szczęście dla mnie Isobel pracowała latem w sklepie wielobranżowym jako kierownik drugiej zmiany i była w stanie odłożyć trochę pieniędzy, więc kilka tygodni później rozwiązała problem, kupując mi jakiś grat. Choć opuściłem wówczas dość sporo dni w szkole, to i tak jakoś sobie poradziłem w tych ostatnich tygodniach, a maturę zdałem z takimi stopniami, jakie zapewniały mi przyjęcie na uniwersytet, na który chciałem się dostać. Ale i tym razem Isobel uratowała mnie, po prostu nie godząc się z ewentualnością, że przegra swą batalię.

Gdy po rozpoczęciu studiów przenieśliśmy się do innego miasta niż moja siostra, nie widywaliśmy się zbyt często w trakcie semestru, ale i tak odbywaliśmy codzienne co najmniej półgodzinne rozmowy telefoniczne, zawsze też spędzaliśmy razem wakacje. Razem kupiliśmy dom za pieniądze uzyskane ze sprzedaży części naszego starego domu odziedziczonej po mamie. Traktujemy go jako inwestycję, a obecnie mieszkają w nim najemcy. Nie trzeba dodawać, że wszystko to załatwiła Isobel, tak jak większość spraw praktycznych w naszym życiu, odkąd umarła mama.

Opieka społeczna bardzo rzadko się teraz ze mną kontaktuje. Przypuszczam, że od czasu do czasu nawiązuje kontakt z Isobel, a dowiedziawszy się, że u mnie wszystko w porządku, oświadcza jej po prostu: „Powiedz mu, żeby zadzwonił, jak będzie miał jakiś problem”. Trudno mi sobie wyobrazić, bym miał to kiedykolwiek zrobić. Jeśli mam problem, to zawsze dzwonię do Isobel - i mam nadzieję, że ona robi to samo.

Jesteśmy duży mi szczęściarzami, że mamy siebie nawzajem.

Nie sądzę, by którekolwiek z nas zaszło tam, gdzie jest dzisiaj, gdybyśmy byli tylko dziećmi. W rzeczy samej, wiem, że tak by się nie stało, bo gdy umarła mama, a my rozpaczliwie potrzebowaliśmy troskliwych rodziców, którzy by się nami zaopiekowali, nie było nikogo, kto by nas wysłuchał.

EPILOG

ISOBEL

Po skończeniu studiów wiedziałam, że chcę pracować w domu dziecka. Byłam pewna, że mogę naprawę coś zrobić dla tych dzieci, dobrze znając cały ten system od środka. Uważam, że objęte opieką dzieci częstokroć są nią rozczarowane, więc chciałabym zrobić wszystko, co w mojej mocy, by zmienić tę sytuację. Nie wynika ona z braku starań samych pracowników opieki, lecz ze sposobu, w jaki zaprojektowano cały system.

Słyszałam, że zaledwie jeden procent dzieci wychowujących się w domu dziecka idzie na studia. Nawet w samych owych domach przyjęto za pewnik, że dalsza edukacja nie jest „dla takich jak my”.

Ponownie to sobie uświadomiłam, gdy pracując w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym po ukończeniu studiów, poznałam tam pewną młodą dziewczynę, która miała problemy. W trakcie rozmowy zapewniłam ją, że doskonale rozumiem, jak się czuje, ponieważ ja też byłam objęta opieką państwową. Personelowi tego akurat domu niewiele opowiadałam o własnej przeszłości, głównie dlatego że mnie o to nie pytano, gdy więc ta wieść dotarła do jednej ze starszych pracownic, osoba ta zaprosiła mnie do swego biura na pogawędkę. Poinformowała mnie, że była obecna przy rozmowie innego pracownika z ową dziewczyną, która wspomniała, że również i ja byłam w domu dziecka.

- Czy to prawda? - zdziwił się ów pracownik - A ja myślałem, że Isobel studiowała na uniwersytecie!

Kobieta, z którą rozmawiałam, pracowała w ramach systemu i nie mieściło jej się w głowie, że jakiś wychowanek domu dziecka może się dostać na uniwersytet. Tymczasem większość dzieci trafia do domów dziecka nie z własnej winy, dlatego więc większa ich liczba nie otrzymuje szansy kontynuowania edukacji? Trafiają tam nie dlatego, że są złe czy głupie, ale po prostu dlatego, że nie było nikogo, kto byłby gotów lub potrafiłby się nimi zająć. Czyż nie dzieje się tak po prostu z tego powodu, że społeczeństwo nie ma wobec nich żadnych oczekiwań, zatem nie robi nic, by im pomóc?

Pomijając pracę włożoną w naukę, niezbędną, by zostać zaakceptowanym przez jakiś uniwersytet, istnieje też cała strona administracyjna sprawy, umiejętność wypełniania stosownych formularzy, odbywania rozmów i zorganizowania sobie lokum. Nawet młodej osobie mającej dwoje rodziców i wspierającą rodzinę nietłw jest przedzierać się przez ten gąszcz. Jaką

więc szansę dokonania tego samego ma ktoś, kim zajmują się pracownicy opieki, którzy zazwyczaj nie mają wobec niego kompletnie żadnych oczekiwań i przypuszczalnie sami nic nie wiedzą na temat systemu edukacji wyższej?

- To prawda - odpowiedziałam swej rozmówczyni

-Dziewczyna ma rację. Byłam powierzona opiece społecznej.

- Ach tak - odparła tamta z wyrazem zrozumienia w oczach. - Co to było? Dom opieki?

Wydawało mi się, że nie jest w stanie uwierzyć, że jakieś dziecko z ośrodka takiego jak ten, w którym pracujemy, byłoby w stanie dostać się na uniwersytet.

- Nikt z naszego domu nie kontynuował nauki

-oświadczyła z naciskiem.

Można odnieść wrażenie, że osoby zatrudnione w opiece społecznej czują się przytłoczone ogromem zadań, przed którymi stają, i nie mieści im się w głowach, że powierzone im dzieci dobrze radzą sobie w życiu. Osoby te nie mają dosyć energii ani entuzjazmu, by pomóc owym dzieciom w zdobyciu czegoś więcej niż to, co niezbędne do przeżycia. Nie mają też poczucia, że mogłyby coś zmienić w życiu konkretnego dziecka, więc wypełniają tylko swój obowiązek zapewnienia dzieciom bezpieczeństwa, i do tego się ograniczają. Dzieje się tak po części dlatego, że kiepsko zarabiają. Trudno pozyskać pełnych entuzjazmu, wykształconych i oddanych pracy ludzi, każąc im pracować w różnych porach dnia i nocy, niewiele im za to płacąc. Jak mają utrzymać własne rodziny?

Kiedy po otrzymaniu dyplomu sama zaczęłam pracę w placówce opiekuńczo-wychowawczej, spotkałam dziecko, które chciało pójść na studia. Natychmiast zapłonęłam entuzjazmem i chciałam pomóc owej dziewczynie w zdobyciu odpowiednich formularzy i prawidłowym ich wypełnieniu.

Gdy wspomniałam o tym jednej z pracownic, ta usiłowała natychmiast wyperswadować mi ten zamiar.

- Ta mała wciąż o tym gada, ale to i tak nigdy nie nastąpi -

usłyszałam w odpowiedzi.

Przypuszczam, że to samo pracownicy opieki mówili między sobą o mnie i o Alexie, gdy bez końca powtarzałismy, że chcemy kontynuować naukę.

Ale dlaczego nie? Czy rezygnacja z marzeń przyszłaby im równie łatwo, gdyby to któreś z ich własnych dzieci dążyło do samodoskonalenia i chciało się nauczyć nowych rzeczy? Czy nie powinno być szkoleń dla personelu zatrudnionego przez państwo jako opiekunowie zastępujący tym dzieciom rodziców? Państwo powinno mieć pewność, że ludzie ci potrafią wypełniać podstawowe zadania wiążące się z nowoczesnie pojmowanym rodzicielstwem, takie jak przygotowanie dzieci do realizacji ich zamierzeń związanych z studiami. Dzieci z domów dziecka mają rzekomo określone prawa, łącznie z prawem do edukacji, jednak tylko nieliczne uzyskują wsparcie niezbędne, by się domagać wcielenia tego prawa w życie. Ponieważ

większość tych dzieci owych praw nie zna, więc nie upo-mina się o nie, a system działający na zasadzie bezwładu nie robi nic, by to zmienić.

To, że Alex i ja dostaliśmy się na studia, jest tak naprawdę wielkim zwycięstwem mamy. Wszystkie usiłowania taty mające na celu zaprzepaszczenie jej starań, byśmy daleko nie zaszli, wzięły w łeb. Fundamenty, które położyła na naszej drodze, okazały się wystarczająco mocne, by stawić opór wszystkim tym napięciom i presjom, które wyzwoliła w naszym życiu dokonana przez ojca zbrodnia. Czuję dumę, gdy pomyślę, że mama nie byłaby nami rozczarowana. Teraz zaś moja kolej, by tyle samo uczynić dla innych dzieci.

A może również i coś dobrego wyniknęło z tragedii, która spotkała naszą rodzinę: Alex i ja przekonałiśmy się, jak wygląda życie dzieci pozbawionych rodziny mogącej się nimi opiekować; może ten właśnie wgląd sprawił, że zyskaliśmy w życiu nowy cel. Widząc na własne oczy, jak ciężkie życie ma wielu młodych ludzi, zyskaliśmy głębokie przekonanie, że na tym właśnie polu naprawdę możemy coś zmienić.

Otwarli nam się oczy, gdy zrozumieliśmy, jak wiele osób w innych krajach również potrzebuje praktycznej pomocy.

Ponieważ od czasu śmierci mamy nasze święta Bożego Narodzenia zawsze były smutne, w czasie przerwy świątecznej 2006 roku oboje z Alexem postanowiliśmy, że zamiast wzorować się na któryś z stereotypów rodzinnego spędzania świąt, zrobimy coś, co ma realne

znaczenie. Uznaliśmy sobie, że jeśli nie będziemy mieli jakiegoś pozytywnego planu, skończy się na tym, że po prostu zasiądziemy oboje przy stole, przez cały ten dzień wpatrując się w ekran telewizora. Pomyśleliśmy sobie, że z pewnością jest coś, co moglibyśmy zrobić, i że moglibyśmy się wybrać tam, gdzie święta Bożego Narodzenia nie są aż tak obrzydliwie skomercjalizowane, a każdy, kto nie wpisuje się w ten schemat, tak jak my, musi czuć się jak kompletny outsider.

Z początku myśleliśmy po prostu o tym, żeby pojechać na wakacje za granicę, ale kiedy zaczęłam nieco głębiej wnikać w tę sprawę, natrafiłam na program dla wolontariuszy gotowych udać się do Ghany, by edukować tamtejszą ludność na temat AIDS, podstawowych zasad higieny i zapobiegania chorobom, na temat zasad zdrowego odżywiania się oraz stosowania ogólnodostępnych leków. Od razu uznaliśmy, że tak właśnie chcemy spędzić ferie świąteczne - robiąc coś pożytecznego i jednocześnie ucząc się nowych rzeczy.

Wioska, do której trafiliśmy, usytuowana była na wyspie na środku jeziora Wolta, jednego z największych stworzonych przez człowieka jezior na świecie. Jest ono tak wielkie -

długość wynosi około 400 kilometrów, a szerokość około 25

kilometrów - że gdy się jest na wyspie, nie sposób zobaczyć drugiego brzegu. Opłaty za dotarcie na drugą stronę są tak wysokie, że większość tubylców nigdy nie opuszcza wyspy.

Ponieważ są zupełnie odcięci od świata zewnętrznego, mieszkańcom wioski wszystkiego brakuje, począwszy od edukacji, na dostawach leków skończywszy. Bardzo nas poruszyła wdzięczność, jaką okazali nam za to, że przyjechaliśmy ich odwiedzić, mimo że jesteśmy tak młodzi, a pomoc, jaką możemy zaoferować, z konieczności jest znikoma. Ludzie ci wyobrażali sobie, że żyjemy w kraju pod każdym względem przewyższającym ich własny, toteż nie mogli zrozumieć, dlaczego chcieli nam się odbyć tak długą drogę, żeby ich poznać. Pomijając ich niewątpliwe ubóstwo, uważamy, że ich kultura pod niejednym względem nieskończenie góruje nad tym, co przedstawia sobą Zachód.

Będąc w Ghanie, pracowaliśmy również jako wolon-tariusze w sierocińcu na łądzie stałym, zaciekawieni, jak system opieki działa w kraju afrykańskim. Urządźwisy bożonarodzeniowy bal charytatywny, przygotowaliśmy spektakl, a następnie poprosiliśmy zamożną część widowni o datki mogące umożliwić zmianę siedziby sierocińca na większą. Uderzyło nas to, jak dalece postawa sponsorów wobec sierot różniła się od tego wszystkiego, z czym spotykaliśmy się w Anglii. Gdy w Ghanie jakieś dziecko ma trafić do sierocińca, cała wioska bierze na siebie wszystkie obowiązki związane z opieką nad nim. Rząd nie wpłaca na ten cel ani pensa.

A znów kiedy indziej pewna mieszkająca w owej wiosce kobieta karmiąca piersią wyjaśniła nam, że niemowlę nie jest jej dzieckiem.

- Jeśli matka umiera, pozostawiając niemowlę - wytłumaczyła - obowiązek karmienia go piersią automatycznie przechodzi na inną kobietę.

Przed wszystkim dziwne wydało nam się to, że spo-

leczność, której większa część jest niedożywiona i nie stać jej na niezbędne do przeżycia leki, stać na taką pogodę ducha i taką wspaniałość, podczas gdy w Anglii, gdzie każdy tyle posiada, brak ludzi gotowych zająć się dziećmi, które straciły swe rodziny.

Istnieją, rzecz jasna, organizacje charytatywne, które próbują wypełnić tę lukę. Jako niezależna wolontariuszka pracuję dla jednej z nich - a jest to organizacja zdumiewająca -

o nazwie Krajowa Służba Pomocy Młodzieży (National Youth Advocacy Service - NYAS). Organizacja ta przydziela mi jakiegoś młodego człowieka, który wskazany został jako osoba mogąca odnieść korzyści z projektu. Dostaję 50 funtów na miesiąc, mające pokryć koszty mojej opieki nad ową młodą osobą, to znaczy koszty paliwa, jedzenia, podróży i wszelkich innych zajęć. Oczekuje się ode mnie, że przez osiem godzin w miesiącu będę wymyślała zajęcia dla kilku takich osób, ja zaś staram się organizować im w ten sposób podwójną liczbę godzin, przez większą część dnia. Czasami po prostu wychodzimy, żeby coś zjeść albo do kina, wybieramy się na przejażdżkę samochodem lub też jedziemy do wesołego miasteczka. Młodym ludziom objętym systemem opieki społecznej stwarza się w ten sposób szansę zapomnienia na chwilę o tym systemie. Moja rola obejmuje zasadniczo zaprzyjaźnienie

się z dzieckiem i bycie w pobliżu, jak również organizowanie wspólnych wyjść i rozrywek. Dzięki

temu dzieci odkrywają, że istnieje ktoś, komu zależy na ich dobrym samopoczuciu; ktoś, kto jest niezależny od systemu opieki społecznej i kto ich nie ocenia jedynie na podstawie ich kartoteki. Dzięki temu dzieci te mogą na kilka godzin uciec od atmosfery sierocińca. NYAS dysponuje również własnymi prawnikami, mogącymi reprezentować młodych ludzi na rozmaitych spotkaniach i dbać o to, by nie lekceważono ich praw.

W Anglii doskwiera brak osób, które chciałyby przyciągnąć cudze dzieci czy też pracować z nimi w placówkach opiekuńczo-wychowawczych. Zaprojektowaliśmy nasze społeczeństwo w taki sposób, by jego podstawową komórkę stanowiła rodzina dwupokoleniowa, i kiedy ktoś przestaje podpadać pod ten piękny schemat - jak przydarzyło się to nam, i to nie z naszej winy - bardzo nieliczni gotowi są przyjść z pomocą. W opiece społecznej pracuje wielu pełnych poświęcenia, wielkodusznych i miłych ludzi. Wciąż jednak jest ich zdecydowanie za mało. Ci najlepsi są przepracowani, za mało zarabiają i w rezultacie nie są w stanie zrobić tyle, ile by mogli, często też utrudnia im życie biurokracja i nadmiar roboty papierkowej.

Ponieważ młodzi ludzie często zmieniają zakwaterowanie, znacznie trudniej jest im wypracować z pracownikami opieki relacje oparte na wzajemnym zaufaniu. Pisanie raportów i sporządzanie rozmaitych szacunków ryzyka sprawia, że nie mają czasu, by wykrzesać z siebie miłość i zainteresowanie. Czasami jakiś młody człowiek potrzebuje jedynie, by ktoś go przytulił, lecz pracownicy opieki źle reagują na takie sytuacje w obawie, by ktoś nie oskarżył ich o kierowanie się motywami seksualnymi. Wielu spośród nich kończy jako ludzie rozczarowani - z powodu systemu.

W większości rodzin dwupokoleniowych rodzice nie pozwalają dzieciom na częstą zmianę szkół, a potem na to, by w wieku osiemnastu lat zostały rzucone w świat bez dalszego wsparcia i pomocy. Dlaczego więc społeczeństwo uważa za rzecz normalną, że coś takiego powinno być udziałem wrażliwych młodych ludzi podlegających systemowi opieki?

Należałoby nagłośnić tę sprawę, należałoby też wprowadzić zmiany, tak by dzieciaki z domów opieki miały takie same szanse i wsparcie jak ich rówieśnicy dorastający w swoich rodzinach.

Być może gdyby ośrodki opiekuńcze były mniejsze, skupiając zaledwie kilkoro dzieci - wówczas upodobniłyby się do rodzin. Warto byłoby położyć większy nacisk na edukację i na dalsze wsparcie udzielane młodym ludziom powyżej szesnastego czy osiemnastego roku życia, by nie pojawiały się problemy, takie jak samotność, nadużywanie narkotyków czy bezdomność. Każdy bez namysłu przykleja dzieciom z placówek opiekuńczo-wychowawczych etykietę „tych złych”, zamiast uznać je po prostu za skrzywdzone, i natychmiast uważa się je za materiał na młodziaków przestępców.

Musimy stworzyć system stawiający przed nimi i jakieś cele, nagradzający je i wspierający te spośród nich, które decydują się na kontynuację nauki.

Łatwo jest światu zapomnieć o niewygodnych dzieciach takich jak Alex czy ja. Gdyby jednak

dzieci z domów dziecka były lepiej traktowane, wszelkich innych problemów pojawiających się z chwilą gdy takie dzieci konfrontują się ze światem, dałoby się unikać.

Table of Contents

[Unit1.](#)